



KSIAZKA NAGRODZONA NA KONKURSIE  
KOMENDY GŁÓWNEJ MILICJI OBYWATELSKIEJ  
I „ISKIER”

# BARDZO DUŻO PAJACYKÓW

Andrzej Zbych





— Która to mogła być godzina?  
— Już mówiłam. Po dwunastej... Nie mogłam spokojnie usiedzieć w mieszkaniu. On często wylączył telefon, na noc prawie zawsze, bo miał numer podobny do informacji dworcowej. Postanowiłam pojechać do niego... Czesia wyszła razem ze mną... W bramie stała moja syrenka, ja ją zawsze stawiam w bramie.

— A kluczyki?

— Były w środku, proszę pana... Zosta-

wił otwarty samochód. To mu się nigdy nie zdarzało... Zobaczyłam światło w jego oknie, gdy wysiadaliśmy z wozu, i nie wiem, co zobaczyłam najpierw... czy to światło, czy białe golf na dziedzińcu...

Nieszczęśliwy przypadek! Przejechała dokładnie w chwili, gdy wykończył z okna.

— Zył jeszcze, gdy pani telefonowała.

— Zył jeszcze — powtórzyła — gdybym wyjechała piętnaście minut wcześniej, gdybym wyjechała...

— Ciepło ci —



Andrzej Zbych

Bardzo dużo pajacyków



Okładkę projektował

MIECZYŚLAW KOWALCZYK

PRINTED IN POLAND

Państwowe Wydawnictwo „Iskry” Warszawa» 1968 r.

Wydanie I. Nakład 50 000+3S7 egz.

Ark, wyd. 7,8. Ark, druk, 11,25.

Papier druk, mat, kl. VII, 60 g, 75 cm<sup>2</sup> z fabryki w Myszkowie.

Oddano do drukarni w lutym 1968 r.

Druk ukończono w czerwcu 1968 r.

Zakłady Grsfinne „Dom Słowa Polskiego” w Warszawie.

Zam, nr 1084,58. N-27. Cena zł 16.—

## 1

Usiadł ostrożnie na krześle. Miał na sobie brązowe polo, rozdarte na ramieniu, i brudne dżinsy. Gruba warstwa bandaża osłaniała czoło i podbródek; gdy wszedł i powiedział „dzień dobry”, głos wydał się inspektorowi znajomy. Oczywiście także, nieco przekrwione i podpuchnięte. Olszak musiał je już kiedyś widzieć.

— Podobno chcieliście ze mną rozmawiać? — zapytał. — Kazałem więc przynieść tutaj wasze dokumenty. Słucham...

Na biurku leżały te dokumenty: dowód osobisty, książeczka wojskowa, karta pływacka i parę pogniecionych banknotów. Olszak odsunął wszystko na bok, pozostała tylko ta kartka, jedyne, co interesowało inspektora naprawdę. Strzęp papierowej serwetki i parę ołówkowych bazgrołów, trudno czytelnych, ale dostatecznie wyraźnych. „Żołnierska 22, ósme piętro”. Dziwaczny zbieg okoliczności. Czy zresztą naprawdę zbieg okoliczności? Właśnie na ósmym piętrze domu przy ulicy Żołnierskiej mieszkał Konrad Sielczyk. Olszak najchętniej zapytałby wprost, czyj to adres, ale najpierw musiał wysłuchać, co tamten miał do powiedzenia.

— Nazywam się Wojciech Kozłowski — powiedział chłopak.

Spojrzał na strzęp serwetki. Ruch ręki, jakby chciał ją przyciągnąć do siebie; dłoń zastygła na biurku.

— Palicie? — Inspektor podawał mu ostrożnie ogień. Kozłowski zaciągnął się łapczywie.

— Cudem uniknęliście śmierci — Olszak powtórzył słowa porucznika Małka. „Zobaczysz faceta urodzonego w czepku — powiedział Małek. — Dzwonili z pogotowia, że chce koniecznie z tobą gadać. Już przyszedł do siebie. Jego dokumenty i to, co było w marynarce, przynieśli z radiowozu”. Rzucił na stół papiery. Inspektor już chciał powiedzieć, że nie ma czasu, że niech sam Małek przesłucha faceta, ale zobaczył ten strzęp serwetki z adresem. Według relacji Małka było tak:

Tłum walił właśnie w dół tymi szerokimi schodami na drugi peron, gdzie stają elektryczne, gdy nadjechał ekspres warszawski. Zrobiło się jak w maglu, bo z warszawskiego jest od razu przesiadka na szczeciński i ludzie lecą na złamanie karku; megafony ogłaszały, że szczeciński przyszedł punktualnie, gdy rozległ się krzyk faceta, to znaczy świadkowie opowiadają, że krzyczał, choć trudno przypuścić, aby cokolwiek usłyszeli w tym harmiderze. Po sąsiednim torze przetaczano parowóz, ten chłopak spadł z peronu prosto pod koła, świadkowie myśleli, że krwawa miazga, ale gdy tylko dym opadł, zobaczyli, że facet leży między szynami z twarzą wciśniętą w ziemię. Albo miał cholerny refleks, albo po prostu szczęście. Przyjechało pogotowie i milicyjny radiowóz, milicjanci niewiele tam mieli do roboty, tyle że pozbierali jego papiery, bo sanitariusze nie zauważyli. Więc nieszcześliwy wypadek, trochę niezwykły, notatka służbowa i koniec, ale zanim odjechał radiowóz, zgłosił się świadek z warszawskiego ekspresu,

nazwiskiem Stanisław Pielecki. Otóż Pielecki twierdził, że faceta zepchnął z peronu mężczyzna w szarym płaszczu gabardynowym. Pielecki nie może wykluczać nieszczęśliwego wypadku; Kozłowski szedł blisko toru, tłok, pośpiech, niektórzy mocniej niż trzeba pracują ramionami, ale postanowiono wszcząć sprawę. W pogotowiu przeleżał dwa dni, doznał potężnego szoku, bo drobne draśnięcia opatrzyli mu zaraz, i teraz chce koniecznie mówić z inspektorem Olszakiem.

I oto jest, wyciąga rękę po zmiętą kartkę i cofa ją znowu, jakby się obawiał, iż inspektor dostrzeże ten gest. Nic przecież mu nie grozi, nie jest podejrzany i sam się zgłosił do Olszaka. Skąd więc ten lęk, widoczny w spojrzeniu, okazywany z niemal aktorską precyzją?

— Dlaczego chcieliście rozmawiać właśnie ze mną? — powtórzył Olszak.

— Znam pana inspektora — rzekł Kozłowski. — Pan inspektor nie pamięta?

Ciągle nie mógł sobie przypomnieć, gdzie widział już te oczy. Musiało to być niezbyt dawno, ale chyba nie w związku ze sprawą Sielczyka. Nie lubił strzałów na oślep, ale tym razem jednak zdecydował, zanim Kozłowski zdążył cokolwiek powiedzieć.

— Znaliście Konrada Sielczyka?

Chwila wahania, zmieszanie zupełnie dostrzegalna, znowu strach. Ten człowiek musiał jednak słyszeć to nazwisko.

— Nie wiem, o kim pan mówi — powiedział. Miał długie, nerwowe palce. Jego dłonie leżały ciągle na biurku, inspektor widział, że drżą.

— To nazwisko nie jest mi zupełnie obce — poprawił się. — Gdzieś je słyszałem, proszę pana, ale nie pamiętam gdzie. Dlaczego pan pyta?

Bał się. Olszak umiał bezbłędnie dostrzec strach; było to szczególnie cenne podczas przesłuchań. Wiedział, kiedy nadchodzi kryzys.

— Jak to było na dworcu? — Zmienił temat, już teraz rozumiał, że na tamto ma jeszcze czas.

— Spadłem z peronu — powiedział Kozłowski. — Potem straciłem przytomność.

— Wiecie, kto was zepchnął?

Chwila wahania.

— Może kto i zepchnął, tłok był, panie inspektorze. — Nagle wybuchnął: — Ja przecież nie w tej sprawie. Ja chciałem się przyznać.

— Do czego?

— Chciałem zgłosić o popełnieniu przestępstwa.

Niemal milicyjna formułka.

— Sumienie was ruszyło?

— Chyba sumienie, panie inspektorze. Nie mogę inaczej. Trzeba będzie powędrować do kicia.

Olszak obserwował go uważnie. W ciągu dziesięciu lat nieraz się zdarzało, że ludzie przychodzili sami i wyznawali swoje winy. Wyglądali rozmaicie i rozmaicie się zachowywali. Rzadko jednak bywało, by po przyznanie sięgali jak po ratunek.

— Gadajcie.

Kozłowski uspokoił się natychmiast. Referował teraz sucho i oszczędnie. Widać było, że zdążył sobie przygotować to, co ma powiedzieć. Zeznał więc, że 10 maja, to znaczy przed czterema miesiącami, dokonał włamania — tak właśnie powiedział: „dokonałem włamania” — do prywatnego sklepu Antoniego Spawacza przy ulicy Warmińskiej cztery. Podał szczegóły: do sklepu prowadziły drzwi od podwórza zamykane na zasuwę i sztabę z kłódką. Podwórze było



przez całą noc otwarte i nie strzeżone Z zasuwał nie miał kłopotu, dobrał odpowiedni klucz a kłódkę po prostu wyłamał łomem. Wyniósł ze sklepi towar wartości — zawahał się — około dwudziestu pięciu tysięcy złotych, zagraniczne sweterki, trochę biżuterii sztucznej oczywiście, plastikowe drobiazgi, torebki damskie.

Inspektor wypełniał protokół przesłuchania, myślał Sprawę musiała chyba prowadzić komenda dzielnicowa bo on nie pamiętał takiego włamania, nie przypominaj sobie nawet meldunku, a chyba powinien.

— Co zrobiliście z towarem?

Znowu wahanie.

— Sprzedałem, panie inspektorze... takim różnym, no, na ciuchach...

— Gdzie pracujecie?

Znacznie bardziej interesował go sam Kozłowski niż szczegóły włamania sprzed czterech miesięcy.

— Dorywczó. Przed dwoma laty wyleli mnie z politechniki, robiłem trochę w prywatnym warsztacie u Machulewicza, potem u Bolengi... Produkuje broszki.

— Mieszkacie przy rodzinie?

— Nie, mieszkam sam, u takiej jednej... To nie jest moja dziewczyna, panie inspektorze... Rozwódka, wynajmuję u niej pokój.

— Więc twierdzą, że włamaliście się do sklepu Antoniego Spawacza? Czy popełnialiście również inne przestępstwa?

— Nie, panie inspektorze, jak Boga kocham, nic więcej nie mam na sumieniu.

— Zadaję wam po raz drugi pytanie — Olszak mówił teraz oficjalnie i sucho — dlaczego postanowiliście się przyznać? To ma znaczenie

w śledztwie i będzie miało wpływ na wymiar kary.

— Sumienie mnie ruszyło — powtórzył Kozłowski jak echo.

— A nie strach? — Olszak powiedział to tak cicho, że tamten mógł nie dosłyszeć, ale usłyszał. Uciekł wzrokiem gdzieś w bok. Olszak pochylił się nad papierami. — Podpiszcie.

Kozłowski z trudem wstał i umieścił swoje nazwisko na dole kartki.

— A teraz możecie iść — powiedział Olszak. — Jeśli oczywiście nic więcej nie macie mi do powiedzenia.

Spodziewał się takiej reakcji. Kozłowski opadł na fotel, twarz miał zupełnie białą.

— Co? — wyszeptał. — Ja mam iść? Dlaczego pan inspektor to powiedział?

— Możecie iść — powtórzył. — Znajdziemy was. Nie zamierzacie chyba uciekać.

— Ja... uciekać? — Kozłowski nie wstał z krzesła. Ręce leżały znowu na biurku.

— Weźcie swoje dokumenty. — Olszak położył dłoń na serwetce i odsunął ją na bok. Robił to ostentacyjnie, może nawet zbyt ostentacyjnie.

— Ja popełniłem przestępstwo — Kozłowski już niemal krzyczał. — Mnie trzeba zamknąć!

— O tym my decydujemy. Przyznanie nie jest jeszcze dowodem winy. Przeprowadzimy śledztwo.

— Jakie tu śledztwo?! Ukradłem — chcę ponieść karę. Czy pan nie rozumie? — wybuchnął. Twarz ukrył w dłoniach, bandaż, widać nie-  
zbyt starannie zawiązany, Zsunął się na oczy.

— Dość! — ryknął Olszak. — Uspokój się!

Kozłowski ostrożnie poprawił bandaż. Patrzył na inspektora wzrokiem skrzywdzonego dziecka. Olszak przypomniał sobie nagle, gdzie go widział, zobaczył teraz tę scenę i serce podjechało mu do gardła.

— Gadaj, czego się boisz?!

— Ja się nie boję — wyszeptał. — Niech pan mnie zamknie.

— Gadaj prawdę albo idź do domu.

— Powiedziałem prawdę — mówił. — Ukradłem. Czy pan nie rozumie ludzi, którzy sami się przyznają?

Za chwilę wybuchnie płaczem. Olszak podniósł dwoma palcami skrawek bibuły. Przeczytał głośno notatkę. Odczekał chwilę, a potem oświadczył:

— Milicja, człowieku, to taka instytucja, która dużo wie. Czy myślisz, że my o tobie nic nie wiemy? To twój adres?

— Nie — wyszeptał chłopak.

— Nie warto kłamać, prawda? A czyj to adres?

— Jakiejś dziewczyny, panie inspektorze. Siedziałem z jakąś dziewczyną w kawiarni i zanotowała mi, gdzie mieszka. Pan wie, jak to jest.

— Jak się nazywa ta dziewczyna?

Chłopak zawahał się. Wahanie trwało zbyt długo, by jakakolwiek odpowiedź mogła być wiarygodna.

— Gdzie poznałeś Konrada Sielczyka? — powtórzył Olszak.

— Ja tylko to nazwisko słyszałem. A może czytałem w gazecie. Tak, na pewno to ten facet, który popełnił samobójstwo.

— Na tej kartce — Olszak znów strzelał na ślepo — zanotowano adres Sielczyka. Dlaczego się do tego nie przyznajesz?

— Nie znałem go, panie inspektorze, jak Boga kocham, może kiedyś widziałem faceta, i to wszystko, może o nim słyszałem...

Olszak wstał i pochylił się nad Kozłowskim. Widział teraz bardzo blisko jego twarz.

— On wyskoczył oknem w noc poprzedzającą twój wypadek. A może ty także chciałeś popełnić samobójstwo? — powiedział. — Od początku kłamiesz. Za wprowadzenie w błąd milicji grozi kara. Zastanów się; lepiej powiedzieć prawdę, zanim ja ją tobie powiem.

Chłopak spojrzał na niego spode łba. Poprawił bandaż, petem znalazł w kieszeni chusteczkę i wytarł gwałtownie nos. Olszak wrócił do biurka.

— Jesteście zatrzymani na czterdzieści osiem godzin — oświadczył oficjalnie. — O waszych dalszych losach zadecyduje prokurator. — Schował skrawek serwetki do szuflady biurka. Potem kazał wyprowadzić zatrzymanego.

Czemu go zatrzymał? Często bywało z nim tak, że postępował „na niucha” i nie zawsze umiał to uzasadnić. Naczelnik wydziału kryminalnego, major Kercz, młodszy od Olszaka przynajmniej o dziesięć lat, zdecydowałby bez wahania: „Wypuścić, sprawdzić, przyjrzeć się...” Major Kercz powie oczywiście: „Znowu ta intuicja, kapitanie Olszak”. I zapewne pomyśli: Starzeje się facet. Rzeczywiście — jeżeli ktoś, mając pięćdziesiątkę na karku i dwadzieścia lat służby, jest tylko kapitanem... Kercz tak pomyśli i wróci do sprawy włamania do jubile-ra, która paskudzi się już drugi miesiąc bez widocznych rezultatów. A czym zajmuje się tymczasem grupa kapitana Olszaka, dobra, zgrana grupa, do której należą tacy zdolni ludzie, jak choćby porucznik Kulicz

albo wywiadowca starszy sierżant Marysia Kleja? Zajmuje się wyjaśnianiem motywów samobójstwa magistra ekonomii Konrada Sielczyka. Dlaczego Olszak nie zamyka tego śledztwa? Ciągłe nowe komplikacje? Czy naprawdę nowe komplikacje? Człowiek wyskoczył z ósmego piętra domu przy ulicy Żołnierskiej i zostawił list. Grafolodzy nie mają wątpliwości. Sielczyk własnoręcznie napisał: „Proszę nikogo nie winić, umieram, bo to najlepsze rozwiązanie”. Ustalenie motywów samobójstwa jest sprawą istotną, ale...

— Czego się spodziewasz? — zapytał Kercz. Przeszli na ty przed paroma laty, gdy Olszak znalazł morderców taksówkarza Grzelaka. Był to jego największy sukces.

— Spodziewam się — powiedział Olszak i jak zwykle wiedział, że nie będzie umiał przekonać naczelnika wydziału kryminalnego... — Spodziewam się — powtórzył — wyjaśnienia paru istotnych szczegółów.

— Szantaż, przymus, a może jednak po prostu zawiedziona miłość?

Ciągle nie wiedział. Wierzył, jak zwykle w takich sprawach, że stanie się coś, co rzuci światło... Wyjął z kieszeni brudny strzępek serwetki znaleziony u Kozłowskiego i rozpostarł go na biurku. Czy naprawdę nie myli go intuicja?

## 2

Siedział na fotelu naprzeciwko majora Kercza. Kercz czytał dokumenty, raporty ze śledztwa w sprawie włamania u jubilera, a Olszak starał się przez ten czas jeszcze raz uporządkować fakty i dziwaczne

szczególony — tak to nazywał — dziwaczne szczegoly związane ze śmiercią Konrada Sielczyka. Za chwilę przedstawi je naczelnikowi i potem będzie musiał odpowiedzieć na pytania, które Kercz notował zwykle na świstkach papieru i rzucał swoim podwładnym już po ukończeniu raportu, bo nigdy nie przerywał i choć miał skłonności do działań pochopnych, słuchać umiał uważnie.

Otóż czwartego września, to znaczy przed trzema dniami, o godzinie 1.15 z okna nowego domu przy ulicy Żołnierskiej 22, na nowym osiedlu za torami, wyskoczył magister ekonomii, Konrad Sielczyk, lat trzydzieści trzy, kawaler. Radiowóz, wezwany telefonicznie przez dozorcę, przybył po dwunastu minutach. Przy zwłokach zastano już narzeczoną Sielczyka, Jolantę Kasztel. Dziewczyna była półprzytomna, musieli ją siłą odrywać od ciała. Gdy po paru minutach nadjechał wyrwany ze snu Olszak, paru mieszkańców osiedla wyszło na podwórze, nikt jednak nie podchodził bliżej, bo widok naprawdę nie należał do przyjemnych. Bywają rozmaite śmierci, niejedną się już widziało, ale ta... Osiedle oddano do użytku niedawno; nie rozebrano jeszcze baraków służących do magazynowania narzędzi i materiałów. Sielczyk, spadając z ósmego piętra, zawadził najpierw głową o ukośny dach baraku, by potem runąć na betonową płytę dziedzińca, niedaleko piaskownicy. Uderzenie musiało być silne — but, który spadł z nogi samobójcy, odskoczył ze dwadzieścia metrów. Ekipa radiowozu wykonała, co należało, wezwany lekarz pogotowia zajął się Jolantą Kasztel, a milicjanci weszli na ósme piętro. W windzie nie opuszczał Olszaka żałosny widok samobójcy leżącego z podwiniętymi pod siebie drobnymi stopami. Niemal płodowy układ ciała — pomyślał.

Sielczyk mieszkał w kawalerce pod numerem trzydzieści cztery, drzwi zamknięte były od wewnątrz na zasuwę i łańcuch; łańcuch należało przeciąć piłą, zasuwę wyważono bez trudu. Powierzchnia osiemnaście metrów kwadratowych, wszystkie te ostatnio zbudowane kawalerki są według tej samej receptury: pokoik, łazienka, kuchnia gazowa we wnęce korytarza. Rzucił się od razu w oczy niezwykle porządek panujący w mieszkaniu; Sielczyk musiał być nie lada pedantem, dosłownie do ostatniej chwili. W pokoiku zastali tapczan przykryty cepeliowską narzutą, regały z porządnie według działów i alfabetu ułożonymi książkami, stół, dwa fotele i krzesło — wszystko jakby przed chwilą odkurzone i czyszczone. Na stole — nic oprócz tej kartki, ostatniej kartki samobójcy, i starannie oczyszczonej popielniczki, żadnego, dosłownie żadnego przedmiotu, który nie znajdowałby się na swoim miejscu. Naczynia w szafce na korytarzu, ręczniki porządnie wiszące w łazience, drobiazgi toaletowe na półce pod lustrem. Ten sam idealny porządek zastał inspektor Olszak, gdy przyszedł tu znowu rano. Biały proszek pokrywał meble, stół, słuchawkę telefonu, naczynia we wnęce; ekipa radiowozu zdjęła odciski palców, właściwie zwykła formalność w wypadku tak oczywistym, ale przecież właśnie Olszak powiedział: „Przejmuję śledztwo”, zanim jeszcze otrzymał wyniki daktyloskopii i zanim rozpoczęto przesłuchania.

Ulegał zwykle pierwszemu wrażeniu; ten porządek, ta doskonała czystość zaskoczyły go od razu. Nie umiał wyobrazić sobie człowieka, który najpierw sprzątnął dokładnie mieszkanie, a potem wyskoczył z ósmego piętra. Usiadł w głębokim fotelu, otworzył szuflady biurka. W środkowej znalazł rękopis nie ukończonej pracy doktorskiej: *Relacje*

*cen vo oparciu o analizę statystyczną.* Pierwszy rozdział zawierał rozważania, które zmarły kandydat na doktora zatytułował: „Typowe błędy albo magia statystyki”. Roilo się tam od naukowych terminów, ale można było zrozumieć, że Sielczyk pragnie dowieść, iż wyniki badań statystycznych ograniczają w jakiejś mierze nasze możliwości dostrzegania drobnych zespołów faktów, odrzucanych jako statystycznie nieistotne czy wręcz nieważne. Tymczasem wyjaśnienie tych statystycznych nietypowości lub rezygnacja z ich wyjaśniania, jeśli nie potwierdzają ogólnie przyjętych prawideł — może mieć w konkretnych wypadkach decydujące znaczenie. Interesowały więc nieboszczyka fakty nietypowe i zdarzenia, które zazwyczaj w tabelach statystycznych figurują w rubryce „Inne”. Olszak pomyślał, że coś w tym jest, i spenetrował następne szuflady. Znalazł parę kartek z pozdrowieniami z miejscowości wczasowych i parę listów od kolegów ze studiów, w których nie było nic prócz wspominek, wreszcie list od jakiejś ciotki z Warszawy i trochę starych zdjęć. Zapewne rodzice Sielczyka, zapewne on sam w czasach studenckich. Było też jedno uliczne, nieco zatarte, i jedna fotografia z plaży: wesołe towarzystwo, przewrócony kajak. Ani jednego zdjęcia kobiety, ani jednej kartki od dziewczyny — to od razu rzucało się w oczy. Jakby samobójca zniszczył przed śmiercią wszystko, co charakteryzować mogło jego życie osobiste. Była także związana starannie teczka z dokumentami; dyplom, parę zaświadczeń o nagrodach i premiach, kopia umowy z Państwową Inspekcją Handlową, gdzie Sielczyk pracował. Mało, straszliwie mało. Inspektor Olszak nieraz przeglądał szuflady umarłych i



żyjących i wiedział, ile papierów, ile świstków, drobiazgów i pamiątek gromadzi człowiek w ciągu lat życia.

To, co zostawił Sielczyk, świadczyło o starannym wyborze: ani jednej osobistej notatki, nawet zdjęcia narzeczonej, nawet notesu z numerami telefonów. Potem, gdy inspektor przejrzał szuflady Sielczyka w PIH-u, stwierdził podobny stan. Teczka z dokumentami służbowymi, którą ostatnio przeglądał, krótkie notatki dotyczące ostatnich kontroli przeprowadzanych w sklepach, wreszcie zostawione jakby na pokaz ręczne brulionowe zapisy, potrzebne do sporządzenia raportu z inspekcji. Wynikało z nich, że Sielczyk sumiennie i poważnie traktował swoją robotę, nie bywał pobłażliwy, a można by nawet sądzić, że czepiał się także mniej istotnych drobiazgów. Wszystko w tych szufladach, i w domu, i w biurze, przypominało akta starannie przygotowane do przeglądania i kontroli. Olszak nie umiał sobie wyobrazić człowieka, który w każdej chwili może otworzyć każdą szufladę i powiedzieć: „Patrzcie”. Byłby to niewątpliwie wypadek nietypowy. A tak działo się w wypadku Sielczyka.

Biblioteka domowa zawierała popularne dzieła z zakresu filozofii, ekonomii, historii i polityki. Ani jednej powieści, ani jednego tygodnika, nawet w koszu od śmieci. Kosz od śmieci był zresztą, jak wszystko w tym domu, starannie wyczyszczony. W szafie w korytarzu wisiały dwa garnitury, trzy pary czarnych półbutów (tylko czarne półbuty, wszystkie tego samego kroju) stały w równym rzędzie na najniższej półce. Ani dużo, ani mało — właśnie tyle, ile powinien posiadać młody mężczyzna, któremu powodzi się średnio.

Inspektor Olszak spacerował po mieszkaniu, usiłując znaleźć cokolwiek, co by raziło lub nie pasowało do tego niemal doskonale, jak

gabloty w muzeum, wyczyszczonego wnętrza. Bezskutecznie. Dopiero gdy zamierzał odejść, poczuł, że coś go jednak niepokoi, że brak w tym mieszkaniu czegoś naprawdę ważnego. Stał na środku pokoju. Panowała doskonała cisza, nie dochodziły odgłosy z ulicy. Olszak spojrzął na zegarek i po chwili już wiedział. W kawalerce Sielczyka nie było zegarka. Można oczywiście nie posiadać budzika, ale magister ekonomii Konrad Sielczyk powinien być mieć przecież zegarek ręczny. Zanotował. Postanowił zapytać narzeczonej i to był właściwie pierwszy szczegół z tych, które później tak komplikowały śledztwo.

Wyszedł jeszcze na balkon. Była to właściwie wąska loggia, biegnąca wzdłuż całego piętra, każdy balkon odgradzała od sąsiedniego murowana ściana. Olszak oparł się o barierę; od biedy można by sobie wyobrazić, że ktoś bardzo zręczny, trzymając się bariery, uczyni krok nad przepaścią. Przejście z balkonu na balkon byłoby nawet stosunkowo proste, gdyby wbić w ścianę hak; rozważania te miały jednak charakter czysto teoretyczny i nie wiadomo, dlaczego nękały inspektora. Sielczyk napisał przecież: „Proszę nikogo nie winić”. Gdy grafolodzy ukończyli studia porównawcze i stwierdzili ponad wszelką wątpliwość, że tych słów nie mógł napisać nikt inny, tylko zmarły magister Sielczyk, inspektorowi zaczęło się wydawać, że wątpliwości, które nasunęły mu się wówczas pierwszego dnia w loggii zawieszanej nad betonowym prostokątem dziedzińca, nie mają sensu.

Loggia była zresztą porządna i czysta jak cała kawalerka. Może dlatego od razu dostrzegł na wymytej kamiennej podłodze niedopałek papierosa. Gaulois — zanotował. Podniósł, zawinął w papier i schował

do kieszeni, choć nie bardzo wiedział, po co to robi. Wyobrażał sobie Sielczyka stojącego tu w nocy i palącego ostatniego papierosa. Czyżby palił gauloisy? Po trzydzieści złotych paczka w hotelach dla cudzoziemców. Trzeba sprawdzić. Więc wypalił tego papierosa i przydeptał niedopałek butem. Skoczył w dół. Przedtem napisał parę słów banalnych i oschłych, brzmiących jak wzgardliwe pożegnanie. „Proszę nikogo nie winić”. Żadnego wyjaśnienia. A przecież samobójstwo — Olszak wiedział to z doświadczenia — bywa najczęściej gestem protestu wobec świata. Inspektor pomyślał, że człowiek postanawiający umrzeć ma zapewne do ostatniej chwili nadzieję, że będzie żył. Ludzie nie umierają zresztą bez powodów, a jeśli nawet bywa tak niekiedy, on, inspektor Olszak, nie może przyjąć tego do wiadomości.

Przesłuchania zaczął pierwszego dnia. Prowadził je we dwójkę z Kuliczem, który już właściwie na stałe przystał do grupy Olszaka. Kulicz robił to pracowicie, solidnie, Olszak nieco chaotycznie, właściwie bez planu, bo żaden plan jeszcze nie istniał, a drobne, jak powiadał, „zahaczki” zrodziły się dopiero później. Na pierwszy ogień poszła Jolanta Kasztel. Ciało leżało jeszcze w Zakładzie Medycyny Sądowej, ona wróciła właśnie stamtąd, postawiła pod ścianą walizkę, w której nosiła rzeczy Sielczyka, i przyjęła od Olszaka sporta.

— Dlaczego on to zrobił, inspektorze?

Była ładna ta Jolanta Kasztel. O takich dziewczętach mówiono „ostra blondyna”. Olszak nie wiadomo czemu przypomniał sobie to wyrażenie. Wyglądała na kogoś z charakterem.

— Widziałam go — mówiła — kazali mi go zobaczyć. Leżał na tych deskach i patrzyłam tylko na jego palce... Miał bardzo długie palce.

— Rozgniotła papierosa w popielniczce, wstała i podeszła do okna. Była w krótkiej spódniczce i płtykich czółenkach. Jej plecy drgały.

— Co pan chce wiedzieć, inspektorze?

Opowiadała szybko i chętnie. Olszak znał ten stan: jeszcze przez wiele tygodni będzie mówiła o Sielczyku. Każdy fakt, przedwczoraj nieistotny, błahy, stanie się teraz ważny i znaczący.

— Poznałam go przed czterema laty — powiedziała. — Krótko, a mnie wydaje się, że to już cała wieczność. — Pracowała wtedy w centrali usług elektrotechnicznych, jeszcze w charakterze maszynistki, bo dopiero przed czterema miesiącami awansowała i jest sekretarką naczelnego. — Zostałam jego dziewczyną — powiedziała. Mieli się pobrać. Konrad dokładnie obliczył, on zresztą zawsze dokładnie obliczał, że nastąpi to w tym roku. Miał zrobić doktorat i wtedy próbować przenieść się do Warszawy. Odkładali na mieszkanie.

— Sielczyk dostał niedawno kawalerkę.

— On chciał mieć mieszkanie — powiedziała Jolanta. — Ja mam pokój sublokatorski — ciągnęła — a przed dwoma miesiącami wygrałam syrenkę na książeczkę. To nas zbliżyło do celu.

— Ma pani samochód? — zdziwił się Olszak.

— Najpierw chcieliśmy go sprzedać, ale przyjemnie wyjechać w niedzielę za miasto.

Była to zresztą jedyna ich rozrywka.

— Konrad — wyjaśniała dziewczyna — dużo pracował.

Miała do niego nawet pretensję, trzeba przecież zabawić się od czasu do czasu, popatrzeć na ludzi. Był ambitny, chciał mieć stanowisko,

jakby to było ważne albo jakby jej na tym zależało; pięćset złotych więcej, pięćset złotych mniej — jakie to ma znaczenie? On należał do tych, którzy lubią piąć się w górę, ale od pięciu lat nie awansował i bolało go to bardzo.

— Nie miał nikogo oprócz mnie — mówiła. — Wychowała go ciotka, stara panna, bo rodzice zginęli podczas powstania. Żadnego rodzeństwa. — Otworzyła torebkę i zerknęła ukradkiem w lustro. — Czy pan uwierzy, że przez cały czas tylko trzy razy byłam z nim w lokalu: na samym początku, kiedyś na moje imieniny i raz tak przypadkiem, bo nie miałam nic do jedzenia w domu.

Wytarła chusteczką oczy; oczy były suche, ani śladu łez. Czy ostatnio spostrzegła coś niezwykłego? Chyba tak, nawet na pewno tak. Był rozdrażniony. Starał się to ukryć. Konrad był zresztą zawsze skryty. Nie lubił mówić o sobie.

Ożywiła się trochę, potem znowu przygasła i opowiadała monotonie, jakby powtarzając wyuczoną lekcję.

— Nawet koszule sam prał. Miał dwie nylonowe koszule, ale rzadko w nich chodził, oszczędzał... Najchętniej nosił gruby wełniany golf, który przywiozłam mu z Zakopanego. Nawet w lecie... Właśnie w tym golfie...

— Kiedy widziała go pani po raz ostatni?

— Było tak... — Spojrzała ukradkiem na inspektora i Olszakowi wydało się, że zobaczył w jej oczach lęk. — Konrad zawsze jadał obiad w stołówce, a potem przychodził do mnie, jeśli, oczywiście, nie zamierzał pracować.

— Długo zostawał?

— Czasami do rana — powiedziała po prostu — a niekiedy ja przychodziłam do niego. Tego dnia zjawił się zaraz po obiedzie. Do mnie przyjechała właśnie koleżanka z Niedzicy. Konrad nie był zadowolony,

zachowywał się nawet niezbyt przyjemnie, trochę opryskliwe... Obejrzeliliśmy dziennik telewizyjny, potem zrobiłam kolację. Położył się na tapczanie, myślałyśmy, że zasnął. Czesia, to jest moja koleżanka, chciała szukać miejsca w hotelu, ale to było przecież beznadziejne... Około dziewiątej Konrad zerwał się i oświadczył, że ma coś do załatwienia na mieście. Poprosił o kluczyki od samochodu. Chciałam z nim jechać, burknął niegrzecznie, że nie trzeba. Obiecał, że za godzinę odstawi samochód i wpadnie jeszcze na górę. — Urwała i spojrzała znowu na inspektora. — Czekałam, proszę pana... Minęło dwie, trzy godziny, w telewizji był jakiś film, nic z tego nie pamiętam... Potem, chyba około dwunastej, pomyślałam, że coś się musiało stać. Nakreśliłam jego numer, nikt nie odpowiadał... Potem znowu...

— Która to mogła być godzina?

— Już mówiłam. Po dwunastej... Nie mogłam spokojnie usiedzieć w mieszkaniu. On często wyłączał telefon, na noc prawie zawsze, bo miał numer podobny do informacji dworcowej. Postanowiłam pojechać do niego. Czesia wyszła razem ze mną... W bramie stała moja syrenka, ja ją zawsze stawiam w bramie.

— A kluczyki?

— Były w środku, proszę pana. Zostawił otwarty samochód. To mu się nigdy nie zdarzało. Zobaczyłam światło w jego oknie, gdy wysiadałyśmy z wozu, i nie wiem, co zobaczyłam najpierw... czy to światło, czy biały golf na dziedzińcu...

Niezwykły przypadek! Przyjechała dokładnie w chwili, gdy wyskoczył z okna.

— Żył jeszcze, gdy pani telefonowała.

— Żył jeszcze — powtórzyła — gdybym wyjechała piętnaście minut wcześniej, gdybym wyjechała...

Zapytał jeszcze o zegarek. Wydawała się zdziwiona. Tak, oczywiście, Konrad miał ręczny zegarek, nie pamięta już jakiej marki. Kiedy milicja pozwoli wejść do jego mieszkania? Chciałaby zabrać pamiątki, fotografie, listy...

— Niewiele tego — powiedział sucho inspektor.

Potem przesłuchiwał dozorcę. Sądził, że cała sprawa zajmie mu trzy, cztery dni czasu, zanim wystąpi o umorzenie śledztwa. Samobójstwo z nie ustalonych powodów. Nie cierpiał tej formułki. Nie ustalonych... to znaczy, których nie potrafił ustalić.

Dozorca miał niewiele do powiedzenia. Pan Sielczyk mieszkał tu niedawno... wszyscy zresztą mieszkają niedawno, bo dom jest nowy. Porządny, spokojny człowiek. Dozorca pamiętał, że od czasu do czasu przychodziła do niego dziewczyna i chyba nikt więcej. On w każdym razie nikogo więcej nie widział. Tej nocy spał i właściwie nie wie, co go obudziło. Miał otwarte okno od dziedzińca, a mieszka na parterze, więc chyba łomot, jakby worek uderzył o bruk, a potem krzyk dziewczyny... Wyskoczył z łóżka i jeszcze z okna zobaczył biały golf pana Sielczyka. Po tym golfie poznał go od razu. Zatelefonował na milicję. A narzeczona zmarłego już przy nim była.

Żona dozorcę, chuda babina, o twarzy płaskiej, jakby niestarannie wystruganej, mówiła chętniej i więcej.

— Bardzo ładna ta panna Jolanta — wywodziła. — Czasami otwierałam jej windę, bo zapominała klucza. Bywało, że wychodziła dopiero rano, razem z nim, do pracy. Nawet dziwiłam się, dlaczego nie wezmą ślubu jak ludzie, ale dzisiaj to każdy żyje jak chce i żadnego wstydu nie ma... A u pana Sielczyka sprzątałam raz na tydzień... niewiele tam było roboty, bo rzadko który mężczyzna utrzymuje taki porządek jak on. Tylko podłogę napastować, umyć okno, posadzkę w

łazience i na balkonie. Nawet naczynia sam zmywał. Płacił niewiele, ale człowiek na tych nowych osiedlach nie ma żadnego zarobku, nie to co gdzie indziej... wszystko pootwierane, dozorca nawet z bramy zarobku nie ma nijakiego. Tego wieczoru myłam właśnie podłogę w windzie, bo lokatorzy zawsze zapaskudzą, kiedy pan Sielczyk przyszedł do domu...

— Która to mogła być?

— Chyba dobrze po dziewiątej, panie władzo, bo o dziewiątej trzydzieści dawali obraz w telewizji. Zaraz potem skończyłam już i zdążyłam jeszcze na film. A pan Sielczyk z tym drugim pojechali do góry.

— Sielczyk nie był sam?

— Właśnie mówię. Puścił go nawet pierwszego do windy.

— Jak wyglądał towarzysz Sielczyka?

Kobieta wzruszyła ramionami. — Ściągałam wodę z podłogi — powiedziała. — Nie przyjrzyłam się. Jakiś mężczyzna w szarym płaszczu. I w fikuśnych półbutach.

— A może widziała go pani wychodzącego?

— Nie. Patrzyliśmy z mężem na telewizję, potem poszliśmy spać.

Przed dziewiątą Sielczyk opuścił mieszkanie narzeczonej i wyjechał samochodem na miasto. Po pół godzinie wrócił do domu w towarzystwie jakiegoś mężczyzny. Potem odstawił samochód narzeczonej. A może samochód Jolanty odstawił wcześniej i nie opuszczał już mieszkania?

Kim był mężczyzna, którego widziała dozorczyńni? Olszak i Kulicz przesłuchiwali później kolegów biurowych magistra, sąsiadów i znajomych. Nie znaleźli nikogo, kto by tego wieczoru widział Sielczyka. Zresztą...

Wyniki badań daktyloskopijnych Olszak otrzymał dość szybko.



Ekipa radiowozu zdjęła odciski palców denata.

Było ich oczywiście sporo w mieszkaniu. Nie znaleziono ich jednak w dwóch miejscach, gdzie, zdaniem inspektora, powinny były być na pewno. Na barierze balkonu i na wyrwanej z bloku kartce papieru, którą zostawił samobójca. Sielczyk starł odciski palców ze swego ostatniego listu? Starał się pisać tak, żeby ich nie zostawić? Po co?

A może przypadek? Mógł to być oczywiście także przypadek... A bariera balkonu? Skoczył w dół nie dotykając jej dłońmi? W kawalerce znaleziono także ślady palców Jolanty i wreszcie odciski należące niewątpliwie do mężczyzny... Było ich sporo... Nawet w korytarzu, na szafce z naczyniami, nawet w łazience, więc ktoś, kto przebywał w mieszkaniu Sielczyka dość długo, w każdym razie ostatniego wieczoru... Olszak posłał te odciski do centralnej kartoteki, ale, tak jak przypuszczał, nie zdołano ich zidentyfikować. Nie należały do nikogo ze znanych mu osób.

Ani do starszego kontrolera Rowaka z PIH-u, ani do sąsiadów Sielczyka, profesora Gurena i Kralskich. Do żadnego ze znajomych lub kolegów, których zdołał przesłuchać w ciągu następnych paru dni.

Oczywiście nie zidentyfikowany osobnik mógł nie mieć nic wspólnego ze śmiercią Sielczyka. Na przykład przypadkowo spotkany na ulicy stary kolega. Ale gdy gromadzi się nazbyt wiele dziwnych szczegółów, nie wolno rezygnować z ich wyjaśnienia. Tego przynajmniej Olszak był pewien. Więc kim był mężczyzna, którego widziała dozorczyńni i który zapewne pozostawił odciski palców w kawalerce? Nic o nim właściwie nie wiadomo, poza tym, że, jak stwierdziła kobieta, miał „fikuśne buty”. Co stało się z zegarkiem? Dlaczego na ostatnim liście samobójcy nie ma odcisków palców? Wreszcie — wyniki sekcji.

Nie zawierały co prawda żadnych rewelacji: dokładny opis odniesionych obrażeń, które spowodowały śmierć, i właściwie nic więcej, oprócz jednego dziwnego szczegółu; samobójca golił się bezpośrednio przed śmiercią. Na prawym policzku pozostało spore draśnięcie. Niezbyt nowa żyletka marki „Gilette” — bo taką znalazł Olszak w kawalerce Sielczyka — była starannie oczyszczona. Magister ogolił się, umył maszynkę i dopiero potem... Może to nawet pasowało do obrazu Konrada Sielczyka, który stworzył sobie inspektor Olszak. Ale obraz ten okazał się także niepełny, a nawet w wielu istotnych szczegółach uległ zakwestionowaniu. Sprawcą tego był Tadeusz Rowak, starszy kontroler PIH-u, kolega zmarłego. Urzędowali w jedynym pokoju. Gdy usiadł przy biurku, wydobyl z kieszeni futerałik z czystą flanelką i zaczął czyścić okulary, Olszak pomyślał: Typowy! Istotnie, typowy był niemal każdy szczegół: twarz nijaka, żadna, jakby trochę senna, niestarannie ogolone policzki, taniutki szary garniturek i źle zawiązany krawat. Facet pod pięćdziesiątkę, który niezbyt dba już o siebie. Tylko czysta biała chusteczka w kieszonce, nie pasująca ani do kołnierzyka, ani do krawata, nadawała Rowakowi piętno niezwykłości. Inspektor chciał zapytać: „Po co pan nosi tę chusteczkę?” Nie zapytał oczywiście, ale Rowak sam odpowiedział:

— Lubię białe chusteczki. Gdy stoję przed lustrem, mogę sobie na nią popatrzeć, ładnie wygląda. — Potem sam zadał pytanie: — Przeglądał pan biurko Sielczyka?

Olszak potwierdził.

— Ja też — rzekł Rowak. — Nic ciekawego.

— Po co pan to zrobił?

— Do przyjscia policji i tak dalej — uśmiechnął się starszy kontroler. — Jestem z natury ciekawy, proszę pana, dlatego zanim oddałem

klucz szefowi... Pan by, się o tym i tak dowiedział. Jeśli mam być szczery — dodał — nie interesowało mnie zresztą to, co tam było, tylko to, co stamtąd zabrano.

— Co zabrano?

— Drobiazg, proszę pana, miniaturowe szachy, które Sielczyk kupił kiedyś w komisie i bardzo lubił. Muszę wyznać, że chciałem popełnić przestępstwo: odziedziczyć po nim tę zabawkę. Ale widocznie zabrał je do domu; nie mogę zrozumieć, po co to zrobił.

Olszak był pewien, że w kawalerce magistra nie znaleziono miniaturowych szachów. Niemał na pamięć znał inwentarz.

— Grywaliśmy w biurze — ciągnął Rowak. — Wie pan, jak nie idzie się na kontrolę... Były zresztą bardzo wygodne. Gdy wchodził naczelnik, wystarczyło przesunąć teczkę z dokumentami... Przywykłem do nich. — Spojrzał zza okularów niewinnie, nieco sennie. — Nie wie pan, kto dziedziczy po Sielczyku? Chętnie bym je odkupił.

W tonie Rowaka było coś, co niepokoiło inspektora. Trudno wyczuwalna nutka ironii, gdy mówił o Sielczyku, a jednocześnie natrętna, niemal ekshibicjonistyczna szczerłość.

— W biurze grywaliście w szachy — powtórzył inspektor.

— Pana to dziwi? Ja tu pracuję od piętnastu lat — powiedział Rowak — i od piętnastu lat jestem starszym kontrolerem. Najpierw był kolega Kozicki, ale zmarł na zawał. Grał kiepsko. Potem przyjęto Sielczyka. Rozgrywaliśmy, proszę pana, bardzo trudne partie. Niektóre ciągnęły się dwa-trzy dni. — Zaniepokoił się nieco i dodał natychmiast: — Ale to oczywiście między nami.

— Tak, oczywiście — potwierdził inspektor. Potem dodał: — Muszę wyznać, że jestem zdziwiony. Myślałem, że Sielczyk należał do ludzi bardzo zapracowanych. Jeśli miał w biurze parę chwil wolnych, mógł na przykład pisać pracę doktorską.

— Każdy magister pisze przez jakiś czas pracę doktorską, ale tylko niewielki procent uzyskuje stopień naukowy. Wie pan, jak to jest. Biuro, potem żona, potem dzieci.

— A Sielczyk?

— Sielczyk się nie żenił — powiedział Rowak.

— Był ambitny?

— Tacy ludzie, proszę pana, nie bywają ambitni na pokaz. Oni na pokaz są czyści.

— Nie rozumiem.

Rowak odpiął jeden guzik marynarki i z kieszeni kamizelki wydobył cygareto. Było to tak nieoczekiwane, że Olszak nie starał się nawet ukryć zdziwienia.

— Pałę cygara — powiedział starszy kontroler — i to nawet dobre. Dzięki zwycięstwu rewolucji Fidela Castro nareszcie mamy przyzwoite cygara. A może patrząc na cygareto podejrzewa pan natychmiast łapówki? Nie? To dobrze. Jestem starym kawalerem, nie mam nikogo na utrzymaniu, a poza tym lubię od czasu do czasu różnić się czymś od kolegów.

— Sielczyk też lubił się wyróżniać?

— Tak. Ale zupełnie inaczej.

— Wynika stąd — powiedział inspektor — że byli panowie w przyjaźni.

Rowak popatrzył na niego szklanym wzrokiem.

— Nie cierpiałem Sielczyka — stwierdził. — Dlatego grywałem z nim w szachy, bo kiedy przegrywał i bladł trzy ruchy przed matem, sprawiało mi to przyjemność.

- I mówi pan o tym tak spokojnie?
- Dlaczego nie? Nawet gdyby Sielczyka zamordowano, powiedziałbym panu to samo. Nie znoszę takich ludzi. Chłodnych praktyków z wyobraźnią. Proszę chwilę pomyśleć: człowiekowi przychodzi do głowy znakomity pomysł, może go rozwijać, bawić się nim, a praktyk zaraz bada, czy to da się zrealizować i czy to odpowiada jego jakiemuś tam pogładowi na świat.
- Jaki pomysł?
- Wszystko jedno — zawahał się. — Nic z dziedziny kontroli sklepów. O kontroli sklepów rozmawialiśmy rzadziej. Częściej już o tej statystyce, o której Sielczyk pisał niby pracę doktorską. Więc choćby coś z dziedziny statystyki. Coś zupełnie nonsensownego. Na przykład ilu oficerów milicji wie, co to jest skaryfikacja.
- Nie wiem. Co to jest?
- Drobne draśnięcie na skórze.
- Choćby po goleniu?
- Niezupełnie... ale ostatecznie.
- Dlaczego przyszło to panu do głowy?
- Bo rozmawialiśmy kiedyś na ten temat z Sielczykiem. Chodziło o stworzenie sytuacji nietypowych i nietypowych tematów badań. Sielczyk podczas kontroli znęcał się nad ludźmi, czepiał się drobiazgów, na które ja bym w ogóle nie zwrócił uwagi. Mawiał, że jego kontrole są nietypowe.
- To chyba dobrze — powiedział inspektor. — Gorliwość w pracy...
- Tak pan sądzi? Gdyby pan miał z nim do czynienia.
- Wróćmy do konkretów. Znał pan dobrze Sielczyka. Jak pan sądzi, dlaczego popełnił samobójstwo?

— Nonsens — powiedział starszy kontroler. — Nie znam żadnego powodu. Może z nienawiści do świata, że świat nie jest taki czysty i wypucowany jak on, magister ekonomii Konrad Sielczyk.

— Co pan wie o jego stosunkach z narzeczoną?

Wzruszenie ramion.

— Nic. W ogóle jej nie znałem. Sielczyk nie należał do ludzi organizujących przyjęcia i zapraszających więcej niż jedną osobę naraz. Nigdy nie poczęstował mnie kieliszkiem alkoholu. Przypuszczam, że był chorobliwie skąpy.

— Bywał pan u niego?

— A jakże. Na tym samym piętrze sąsiednie mieszkanie zajmuje mój szwagier, profesor Guren. Wystarczyło wyjść na balkon i zawołać. Jeśli Sielczyk miał ochotę, jeśli nie było u niego tej... narzeczonej, pożyczałem szachy od Gurena. Te jego były w biurze.

— A tamtego wieczoru?

— To znaczy trzeciego września? Jadłem u szwagrostwa kolację, ale jakoś nie miałem ochoty na szachy. Przegrałem rano partię biurową i chciałem odpocząć.

Inspektor znowu się zdziwił.

— Sielczyk grał przed południem?

— Oczywiście, i to nawet znacznie lepiej niż zwykle. Zaskoczył mnie w szóstym ruchu. Mogę to zaraz wyjaśnić.

— Nie trzeba. O której przyszedł pan na Żołnierską?

— Chyba około dziewiątej. Lubię późne kolacje, bo późno chodzę spać. Wszedłem stamtąd, proszę pana, po jedenastej.

— I nie zapukał pan do Sielczyka?

— Nie. Niech pan sobie wyobrazi, że nie wstępowałem do niego, nie wychodziłem na balkon i nie wyrzuciłem go z ósmego piętra na

dół. Chociaż, kto wie, może chętnie bym to zrobił.

— Proszę bez żartów — powiedział inspektor.

— Wolałbym wiedzieć — stwierdził Rowak — czy znalazł pan u Sielczyka kasetkę szachów. Może mi pan wierzyć, że szachy są w tej sprawie najciekawsze i ja na pana miejscu...

Ale Olszak nie miał ochoty dowiadywać się, co zrobiłby na jego miejscu starszy kontroler Rowak. Kompletował teraz szczegóły, które mogły nic nie znaczyć, ale mogły także stanowić jakiś ślad. Zegarek, pudełko szachów. Co właściwie podejrzewał? Poprzedni szef Olszaka zwykł był mawiać przy takich okazjach: „Rzadko bywają samobójstwa, których motywów uznamy za zupełnie zrozumiałe i zasadne dla normalnych ludzi. Bo samobójcy są ludźmi nienormalnymi”. Tak, oczywiście, ale tu chodziło już nie tylko o motyw... Olszak zapytał jeszcze Rowaka o zegarek. Jaki zegarek miał Sielczyk? Kontroler był zdziwiony; pamięta, oczywiście, to była jedyna rzecz przyzwoita, jaką Sielczyk posiadał... Nieżył Tissot, chyba otrzymany w prezencie, bo z jaką datą na kopercie. Co Sielczyk zrobił z zegarkiem? Podarował? Sprzedał? W portfelu zmarłego Olszak znalazł około tysiąca złotych, na książeczce PKO — około ośmiu tysięcy, ale ostatniej wpłaty dokonano pierwszego września.

Rowak oświadczył, że tego dnia w biurze Sielczyk, jak to miał we zwyczaju, położył swego Tissota obok szachownicy; Jolanta przypomniała sobie, że spojrział na zegarek, wstając z tapczanu. Zawołał wówczas: „Mam jeszcze dwanaście minut czasu, muszę się spieszyć!” Przyjaciółka Jolanty, którą Olszak także przesłuchał, potwierdziła to zeznanie. Sielczyk nie pozbył się więc swego Tissota przed dziesiątą

wieczorem. Może go podarował mężczyźnie, którego widziała dozorczyńi?

Olszak omawiał tę sprawę z Kuliczem, ale porucznik nie okazał zbytniego zainteresowania. Przesłuchiwał sąsiadów samobójcy. Loggia Sielczyka znajdowała się między balkonami należącymi do Gurenów z lewej i Kralskich z prawej strony. Inspektor Olszak odwiedził oba małżeństwa jeszcze pierwszego dnia, na świeżo, gdy nic nie wskazywało, że samobójstwo Konrada Sielczyka zajmie mu tyle czasu. Guren, nauczyciel historii w liceum, był wysokim mężczyzną, zbliżającym się już do wieku emerytalnego. Jego żona, parę lat młodszą, wyglądała przy nim jak pensjonarka; miała na sobie bajecznie kolorową sukienkę, chyba zbyt krótką, tak przynajmniej osądził Olszak, i lubiła zdrobnienia, czego inspektor także nie cierpiał. Oczywiście, ona i mąż w niczym nie mogli panu inspektorowi pomóc. Poszli spać około dwunastej i obudziły ich dopiero głosy na korytarzu, a może zgrzyt piły przecinającej łańcuch. Mąż chciał wstać, ale ona mu odradziła. Wie z doświadczenia, że wszelkie mieszanie się do cudzych spraw nie ma sensu. O śmierci Sielczyka poinformowano ich dopiero następnego dnia. Kto? Oczywiście dozorczyńi. Pani profesorowa zbiegła po bułeczki i spotkała ją na schodach. Profesor potwierdził. Spóźnił się tego dnia parę minut do szkoły, bo zbyt długo czekał na pieczywo. Czy znał Sielczyka? Tak, ale właściwie tylko z widzenia. Wymieniali ukłony, czasami parę słów w windzie. Tego wieczoru nie widzieli w ogóle swego sąsiada. Czy wychodzili na balkon przed pójściem spać? Pensjonarka uśmiechnęła się radośnie. Na balkonie wietrzył koce i płaszcze zimowe, rozwiesiła sznury i dosłownie nie ma



gdzie stąpnąć. Inspektor wyszedł jednak na balkon. Przeciskając się z trudem między ubraniami, dotarł do bariery. Zobaczył znowu betonowy prostokąt dziedzińca, a potem spojrzął na ścianę, za którą znajdowała się loggia Sielczyka. Kilkanaście centymetrów od bariery, na wysokości ramienia, wbito w nią potężny, żelazny hak. Tkwił mocno w murze.

Tego pierwszego dnia Gurenowie ani słowem nie wspomnieli o starszym kontrolerze Rowaku. Nie mieli zresztą powodu, chociaż musieli przecież wiedzieć o szachowych wizytach szwagra u sąsiada... Rowak przyszedł około dziewiątej i wyszedł o jedenastej. Czy naprawdę wyszedł o jedenastej? A jeśli nie, to co? Zawodowa podejrzliwość, a może chorobliwa podejrzliwość? W jaki sposób można zmusić do samobójstwa młodego, zdrowego człowieka? Dlaczego Olszakowi wydaje się, że każdy z tych, którzy znali Sielczyka, coś przed nim ukrywa? Profesor Guren, podnoszący powoli wzrok znad sterty zeszytów szkolnych... jego »żona znosząca na balkon futra.. Rowak poszukujący miniaturowych szachów... Wreszcie Barbara Kralska.

Tego rana, gdy Olszak zadzwonił do drzwi sąsiadów Sielczyka z prawej strony, długo czekał, zanim zobaczył na progu młodą kobietę w szlafroku. Odgarnęła włosy spadające na czoło i spoglądała ze zdziwieniem na Olszaka. Była ładna. Od razu zauważył, że była ładna, w typie tych brunetek, które najbardziej mu się podobały.

— O co chodzi?

Przedstawił się. Zaprosiła go do środka, przepraszając, że tapczan jest nie posiany. W jej głosie wyczuł lekki niepokój.

— Co się stało?

— Proszę mi wybaczyć — powiedział. Zawsze czuł się niepewnie w

mieszkaniach samotnych kobiet. Usiadł na brzeżku krzesła. — Chciałem zapytać — rzekł — czy pani spędziła noc w domu?

Uśmiech. Kralaska spojrzała w lusterko wiszące nad tapczanem i wyskoczyła z pokoju. Wróciła po paru chwilach uczesana już i upudrowana. Nawet oczy zdążyła podmalować.

— Po raz pierwszy odwiedza mnie ktoś z milicji. Czy to znaczy, że potrzebne mi alibi? Czy jestem o coś podejrzana? — Szlafrok nie przykrywał jej kolan. Olszak spuścił wzrok i sięgnął po papierosy.

— Nie pani w nocy nie obudziło?

— Nie. A powinno obudzić? — Znowu lekki niepokój. — Włamywano się do mnie? Przecież drzwi były zamknięte. — Sięgnęła po brązową torebkę rzuconą niedbale na tapczan, czegoś w niej szukając, potem podeszła do szafy...

— Coś zginęło?

— Nie, nie. — Rozglądała się po pokoju. — Oczywiście, noc spędziłam w domu. — Uśmiechnęła się. — Jestem mężatką, proszę pana, mój mąż pracuje w WZGS i często wyjeżdża. Teraz jest w Warszawie, powinien wrócić dopiero dziś wieczorem. A o co właściwie chodzi? Czyżby inspektorów milicji interesowała moralność młodych mężatek? Jak spędzają noce, gdy mężów nie ma w domu?

— Nie, nie, broń Boże.

Olszak sumitował się jednak zbyt gwałtownie. Zmienił ton, powiedział jej o śmierci Sielczyka. Był przekonany, że dowiedziała się dopiero od niego; wydała się zdumiona, bardziej zdumiona niż wstrząśnięta...

— Narzeczony Jolanty? Niemożliwe!

— Zna pani Jolantę Kasztel?

— Oczywiście... To moja koleżanka... To znaczy, ona pracuje w centrali, a ja jestem kasjerką w punkcie usługowym, ale plotkujemy sobie od czasu do czasu. Chodzimy razem na kawę... A bywa, że razem podrywamy starszych panów...

Udał, że nie dosłyszał.

— Kiedy pani po raz ostatni widziała Sielczyka?

— W ogóle go nie widywałam. — Ton Kralskiej stał się ostrzejszy. — Jolanta przedstawiła mi kiedyś narzeczonego i — to wszystko. On, proszę pana, unikał towarzystwa, właściwie nie dostrzegął nikogo oprócz Jolanty.

— Skarżyła się?

— Ona się nigdy nie skarżyła — powiedziała Kralaska. — Inspektorzy milicji powinni to rozumieć. Ona go kochała.

Wstała raptownie z tapczanu i wyszła na balkon. Olszak wyszedł po chwili za nią i znowu zobaczył ten sam widok: kwadrat dziedzińca wyłożony betonowymi płytami. Gdyby płyty były dwubarwne, wyglądałoby to jak szachownica. Kilkuletni chłopak uczył się jeździć na rowerze.

— Powinam pójść zaraz do Jolanty — stwierdziła Kralaska.

— O której wróciła pani wczoraj do domu?

— Naprawdę to pana interesuje? Mogę oczywiście powiedzieć. Dość późno, około jedenastej. I proszę sobie wyobrazić, że od razu poszłam spać. Spałam, panie inspektorze, jak zabita, dopiero pan mnie obudził.

I to byłoby właściwie wszystko. Inspektor Olszak przestałby zapewne, aczkolwiek niechętnie, interesować się Barbarą Kralską, gdyby nie informacja udzielona przez niejaką Zofię Gałak. Panią Gałak

przesłuchiwał porucznik Kulicz. Jej nazwisko zapisał przedtem milicjant z radiowozu, bo znalazła się w nocy na dziedzińcu i brała czynny, choć nieco krzykliwy udział w uspokajaniu Jolanty. Milicjant zwrócił uwagę na to, że była kompletnie ubrana i od razu, nawet nie pytana, oświadczyła, że jeszcze nie zmrużyła oka.

— Pewno, że nie spałam — powiedziała Kuliczowi. — Nigdy nie śpię, kiedy czekam na mojego starego, a on znowu spił się w jakiejś melinie. Łajdak — stwierdziła. — My mieszkamy na poddaszu, proszę pana, nie mamy balkonu ani windy, tylko zwyczajne okno, więc patrzyłam sobie przez to okno...

— I co pani zobaczyła?

— Coś czarnego leciało z balkonu ósmego piętra i gruchnęło o kamień. To było chyba w dziesięć minut potem, jak pan Kralski wrócił.

— Pan Kralski? Skąd pani wie?

— Bo, proszę pana, na poddasze winda nie dochodzi... więc kiedy usłyszę w nocy windę zatrzymującą się na ósmym, to schodzę pół piętra i patrzę w dół, żeby mi mój stary gdzieś na schodach nie zasnął albo ze strachu nie przespał nocy na kamieniu. A z półpiętra, proszę pana, widać drzwi do mieszkania Kralskich, tylko te drzwi, więc jak go zobaczyłam mocującego się z zamkiem, bo u nich zamek zawsze się zacina...

— A skąd pani wie, że to Kralski?

— A kto by innym własnym kluczem otwierał drzwi? Pan Kralski, tak jak i mój, często wraca w nocy, bo ma te wyjazdy.

— A kiedy przyszedł pani mąż?

— W ogóle nie przyszedł, panie władzo, odebrałam go rano z izby.

### 3

Zebrał to wszystko i przedstawił majorowi Kerczowi. Naczelnik wydziału, wbrew swemu zwyczajowi, milczał tym razem długo.

— Chcesz ciągnąć tę sprawę, Olszak?

Wzruszył ramionami. Odpowiedź była zbyteczna.

— Przed paru godzinami — mówił dalej Kercz — byłem zdania, że szukasz dziury w całym.

— A teraz?

— Nie wiem. Mężczyzna w szarym płaszczu, zegarek, nie zidentyfikowane odciski palców, kartka z adresem u tego chłopca — wszystko to może nic nie znaczyć. Zastanawiają mnie właściwie trzy fakty: kłamstwo Kralskiej, szachy i ten wypadek na dworcu, jeśli oczywiście hipoteza, że wypadek na dworcu jest związany ze sprawą Sielczyka, ma jakiś sens. Dlaczego ten Kozłowski przyznał się do włamania?

— Ludzie przyznają się najczęściej wtedy, gdy boją się, że sprawa i tak się wyda — powiedział Olszak.

— Sprawdziłeś, czy był meldunek o włamaniu do tego sklepu?

Jeszcze nie zdążył. Naczelnik podniósł słuchawkę. Po paru minutach mieli odpowiedź. Właściciel sklepu, Antoni Spawacz, nie składał nigdy zameldowania o kradzieży lub włamaniu. Spojrzeli na siebie. Oczywiście, obaj widzieli ludzi przyznających się do nie popełnionych przestępstw. Choćby niedawno — mężczyznę, który twierdził, że zamordował kobietę na szosie pod Olszanką. Śledztwo wykazało, że zabójcą był zupełnie ktoś inny. Ale tym razem nie istniało przestępstwo, a przynajmniej nie było meldunku o przestępstwie.

— Pojadę do tego Spawacza — powiedział inspektor.

Major Kercz otworzył szufladę i rzucił na stół kolorowego pajacyka ze szmat. Pajacyk miał wysoką czapę i cienkie, sztywne nóżki. Jedno oko wydłubane szpilką. Drugie duże i niebieskie. Był wielkości pudełka papierosów.

Olszak patrzył na laleczkę z ogromnym zdumieniem. Wziął ją ze stołu, umieścił na dłoni.

— Skąd ją masz? — zapytał.

— Widziałeś już kiedy takiego pajacyka?

Tak, oczywiście, właśnie dokładnie taki sam, kolorowy pajacyk ze szmat leżał na tapczanie w pokoju Sielczyka. Bardzo porządnie, we właściwym miejscu, po prawej stronie wałka, tam, gdzie zwykle kładzie się maskotki. Olszak zwrócił uwagę na pajacyka, bo była to właściwie jedyna rzecz świadcząca o obecności kobiety w tym mieszkaniu. Przecież tylko kobiety lubią takie drobiazgi.

— Gdzie to widziałeś? — powtórzył pytanie Kercz.

Olszak wyjaśnił.

— Teraz będziesz miał dwa. — W głosie majora wyczuł lekkie zażenowanie. — Właściwie powinienem był ci tego pajacyka oddać już przed paroma dniami. Zapomniałem, przepraszam. Nasi ludzie znaleźli go pod drzwiami u jubilera, gdy przyjechali tam po włamaniu. Jubiler nie wie, skąd się to wzięło.

Inspektor schował pajacyka do kieszeni.

Ulica Warmińska była niedaleko. Szedł wzdłuż secesyjnych kamieniczek, których gzymsiki i zdobienia zerwały serie automatów w czterdziestym piątym roku. Dwa kroki do śródmieścia i już pusto, dzieci bawiły się na jezdni, kierowca autobusu linii okrężnej włączył

sygnał, a starsza pani z siatką pełną jabłek stanęła na krawężniku chodnika i patrzyła przerażonym wzrokiem na kolorową piłkę toczącą się pod koła. Przypomniawszy sobie rok czterdziesty piąty i siebie z autorem, w cywilnej marynarce, z opaską, stojącego tu właśnie, na tym rogu; z okna na pierwszym piętrze wywieszono białoczerwona flagę, na balkonie stał Tadek Krzemski, a gdy go trafiono, oparł się o barierę i jeszcze przez chwilę sądzili, że nic się nie stało, że strzały były niecelne. Potem złapali tego chłopca, który strzelał, to była pierwsza milicyjna robota Olszaka. Chłopak nic nie mówił, to znaczy od razu powiedział, że nic nie powie, a oni, tacy sami chłopcy jak on, przesłuchiwali go godzinami, aż któregoś wieczoru Olszak powiedział, że dłużej nie będzie, przyszedł tu na Warmińską i spacerował godzinami pod balkonem, na którym zginął Tadek. Postanowił wówczas porzucić pracę w milicji, ale powiedziano mu, żeby nie był babą, i posłano do szkoły oficerskiej, a gdy znowu tu wrócił, długo nie mógł zapomnieć twarzy chłopca, który strzelał, prześladowała go latami.

Znalazł się nagle w tłumie, secesyjne kamieniczki zniknęły, a przed sobą miał teraz prywatne pawilony. Minął sklep jubilera, zobaczył nowe metalowe żaluzje w oknie wystawowym, potem salon krawiecki Adamca, zakład czapkarski Wasilewskiego, wreszcie znaną cukiernię Rataja, w której spotykali się dewizowcy. Sklep Antoniego Spawacza mieścił się nieco dalej, wśród paru bliźniaczo podobnych, handlujących tymi samymi sweterkami, torebkami i zagranicznymi drobiazgami, których pochodzenie często budziło wątpliwości.

Parę kobiet oglądało wystawę, w sklepie było jednak pusto. Elegancka blondynka wyczarowała na jego widok piękny uśmiech, a gdy

zapytał o pana Spawacza, zniknęła bez słowa na zapleczu. Olszak oglądał sweterki, myśląc, że mógłby tu przyjść z żoną, jeśli rzeczywiście w październiku dostanie premię. Nagle na najniższej półce, wśród damskich torebek zobaczył... szmacianego pajacyka. Był dokładną kopią tego, którego miał w kieszeni, i tego od Sielczyka, te same cieniutkie nóżki, kolorowa czapka i duże niebieskie oczy z paciorków.

— Pan chciał ze mną mówić?

Antoni Spawacz był nienagannie ubranym, nieco już siwiejącym, wysokim mężczyzną. Bardziej przypominał pracownika służby dyplomatycznej niż sklepikarza.

Olszak przedstawił się. Twarz Spawacza nawet nie drgnęła, gościł na niej łaskawy i pogodny uśmiech. Zaprosił inspektora na zapleczu. Usiedli w małym pokoiku, wśród paczek i skrzyń, nieporządnie rzuconych pod ścianami.

— Czemu zawdzięczam tę nieoczekiwaną wizytę?

— Otrzymaliśmy meldunek — powiedział Olszak — o próbie włamania — podkreślił słowo „próba” — do pańskiego sklepu. Czy to prawda?

Spawacz rzucił na stół pudełko morrisów, podsunął inspektorowi. — Jeśli nawet ktoś próbował — stwierdził obojętnie — to tak dobrze, że ja nie zauważyłem.

— Dawno pan prowadzi ten sklep?

— Już siódmy rok. — Znowu dyskretny uśmiech. — Jakoś mam szczęście i dobre zamki na drzwiach. Nikt mi nic nie ukradł, panie inspektorze, a gdyby coś zginęło, do kogo miałbym pójść, jak nie do panów, do naszej kochanej milicji?

Inspektor zapalił morrisa. Papieros zgasł, sięgnął do, kieszeni po zapalki i poczuł pod palcami szmacianego pajacyka. Zamknął go w



dłoni, gdy Spawacz podawał mu ogień, a potem posadził sobie laleczkę na kolanie. Był to właściwie gest nie zamierzony i Olszak dopiero po chwili spostrzegł, że Spawacz zbladł, strząsnął popiół na spodnie i z trudem odzyskiwał panowanie nad sobą. Trwało to moment. Uśmiech powrócił na twarz sklepikarza.

— Pan inspektor lubi maskotki?

— Lubię — powiedział Olszak. — Mamy podobne gusty. Czy można zapytać, gdzie pan kupił swojego?

Spawacz zawahał się.

— Nie bardzo rozumiem...

— Mówię o pajacyku na półce z torebkami. Jest dokładną kopią mojego, tylko mojego okaleczono.

Sklepiarz wybuchnął śmiechem.

— Zauważył pan? Chodziła kiedyś od sklepu do sklepu taka babina, może żebraczka, może pokątna sprzedawczyni, i nosiła szmaciane laleczki. Kupiłem z litości. Myślę, że nie tylko ja...

— Nic panu wówczas nie zginęło?

— Broń Boże, panie komisarzu.

— Nie jestem komisarzem. Inspektorem — jeśli musi pan tytułować.

— Mnie naprawdę wzrusza, panie inspektorze — sformułowania Spawacza były gładkie, wręcz doskonale — rzetelna troska naszej milicji o własność prywatną szeregowego obywatela, ale doprawdy nie mam na co się skarżyć. Chyba na urząd skarbowy. — Wstał. — Napije się pan? Kieliszek martini dobrze nam zrobi.

Inspektor nie odmówił. Patrzył, jak Spawacz napełnia kieliszki. Najpierw parę kropel sobie, potem ostrożnie, żeby nic nie uронić, cieniutką strużką...

— To zabawne, prawda, że obywatel może być posądzony o działanie na własną szkodę? Czy nie złożenie zameldowania o kradzieży dokonanej w moim sklepie jest karalne?

— Dlaczego pan o to pyta?

— Czysto teoretycznie, czysto teoretycznie, panie inspektorze.

— Ukrywanie przestępstwa jest karalne.

Spawacz uśmiechnął się szeroko.

— Oczywiście, jeśli było przestępstwo. Jeśli człowiek stwierdził, że naruszono jego własność.

Inspektor położył pajacyka na dłoni. Śmieszny szmaciany stworek o jednym oku przyciągał jednak wzrok Spawacza. Olszak dopił martini i przez chwilę słuchał dobiegającego ze sklepu dialogu przystojnej blondyny z klientką; sweterek damski, ostatnia paryska moda, który leży na klientce, jakby dla niej właśnie utkany, kosztował tysiąc dwieście złotych.

W Komendzie miał już niewiele do zrobienia. Przesłuchanie Kozłowskiego przesunął na następny dzień. Ciekawe, czy odwoła przyznanie do włamania. Trzeba go będzie wypuścić, oskarżając co najwyżej o wprowadzenie w błąd milicji. Olszak był pewien, że Kozłowski coś ukrywa, wyczuwał, że chodzi o sprawy znacznie ważniejsze niż włamanie do sklepu, że strach młodego człowieka nie jest bezzasadny. I wreszcie to, co dotyczyło go osobiście, o czym ciągle nie chciał myśleć...

Wezwał wywiadowcę Tadka Kielkę. Wszyscy w kryminalnym wdziali, że Olszak umie dobierać sobie wywiadowców. Wyklócał się godzinami z kierownikiem wydziału, a ta dwójka: Kielka i Marysia Kleja, już tradycyjnie należała do jego grupy.

Tadek Kielka, sierżant, posiadał zaletę wprost bezcenną: umiał się przeistaczać. Był równie autentyczny w skórze kierowcy — nieco załośnięty, z knajacką gębą, swój chłop, co to i przewiezie na łebka, i podrzuci, jak trzeba, towar — jak w modnych łaszczach faceta z branży, do którego uśmiechnie się nawet szatniarz w „Orbisie”. Kielka ślęczał właśnie nad powieściłem kryminalnym, gdy Olszak wezwał go do siebie.

— Ani nowych kryminalów, ani ciekawych spraw — powiedział sadowiąc się w krześle.

— Mam dla ciebie jedną taką... Znasz Antoniego Spawacza?

Nie musiał kończyć. Kielka oznajmił natychmiast, że sweterki tam droższe niż gdziekolwiek indziej, a sam pan Spawacz to wielki cwaniak, który ma parę poważniejszych kłopotów niż sprzedawanie ciuchów.

— Jakich?

— Nadgryzaliśmy go niedawno, kiedy zaczął się ten run na dolary, i to w dużych odcinkach. Pamięta pan? Mieliliśmy najwyższe ceny na miękkie w Polsce. Nie wiadomo, kto to skupował. Chodziliśmy wokół Spawacza i innych takich, ale nic nie zdołano ustalić. Do Spawacza, przyjeżdżał pewien zaopatrzeniowiec z „Anilany”... Diabli wiedzą po co.

— Zajmiesz się nim?

— Spróbuję — oświadczył Kielka. — Jak go załatwię, to sam sobie kolację postawię.

Olszak pomyślał, że łobuz wie chyba więcej, niż mówi, ale przyjdzie z meldunkiem dopiero wtedy, gdy będzie miał materiał, Tadek Kielka nie lubił bowiem swoich sukcesów rozdrabniać na raty.

Wysiadł na przystanku jedenastki; w tłumie mężczyzn w średnim wieku wracających z biura szedł wąskim chodnikiem Świerczewskiego, wzdłuż rusztowań, które tu postawiono chyba przed rokiem. W sklepie mięsnym stanął w kolejce po wędlinę, bo żona poleciła kupić kielbasę do bigosu. Powinien był to załatwić wcześniej i zapomniał; czasem miewali wędliny w stołówce, ale nie zawsze. Blondyna zza lady obdarzyła go uśmiechem. Widziała kiedyś Olszaka w mundurze, odważy więc zapewne rzetelnie. Płacąc przy kasie, zobaczył przez szerokie okno wystawowe Janka trzymającego pod rękę przystojną brunetkę. Szli w kierunku przystanku. Nie znał tej dziewczyny; pomyślał, że wie jednak zbyt mało o środowisku swego syna. Czy mógłby zresztą wiedzieć więcej? Janek zwierzał się niechętnie, a od dwóch lat, to znaczy od czasu, gdy zaczął studia, rzadko przyprowadzał kogoś do domu. „Mamy zbyt małe mieszkanie” — wyjaśniał. Mieszkanie mieli istotnie małe, dwa pokoje na trzecim piętrze w starym budynku, ale Olszak nigdy się nie starał o większe. Właściwie nie było mu potrzebne; zjadał obiad, jeśli miał trochę czasu, kładł się na tapczanie z gazetą w rękę. Zasnął, z monologu Grażyny rozumiał tylko pojedyncze słowa. Potem zrywał się gwałtownie i wyjeżdżał do Komendy. Rzadko chodzili do kina. Grażyna lubiła zresztą kryminały, a on kryminałów nie cierpiał, wolał rzeczy z czasów wojny, które przypominały mu jakoś młodość. Grażyna twierdziła, że nigdy nie wyzwoli się z tamtych wspomnień.

— Jesteś niewspółczesny — mówiła.

Oznaczało to, że nie byli na urlopie w Bułgarii, że mieli stare graty,

ciągle psujący się telewizor, że on nie umiał się porządnie ubrać i nie dbał o nią.

Kończyła pracę o trzeciej, obiad miała już gotowy, tylko wyjąć z lodówki. Najczęściej jadła wcześniej, od niego. Potem przyglądała się, jak połyka zupę pomidorową i pałaszuje wielkie kęsy mięsa.

— Ty nawet nie wiesz, co jesz — powtarzała, gdy nie potrafił docenić kruchości wołowiny lub smaku sosu.

Kiedy się poznali, była sanitariuszką w batalionie. Chciała zostać lekarzem, ale urodził się Janek i zaczęła pracować w Radzie Miejskiej. Ceniono ją jako świetną maszynistkę, potem została zastępcą kierownika wydziału. Olszak nawet dobrze nie wiedział, na czym polega jej robota; znacznie lepiej orientował się Janek. „Mamo — mówił — gdy idziemy razem ulicą, wyglądasz jak moja dziewczyna”. Szalała za nim.

W drugim pokoju stało biurko Janka i szafka, w której mieściły się jego rzeczy. Na ścianie jakieś hotelowe naklejki z zagranicznych miast. Janek zbierał naklejki: poszedł na politechnikę, ale naprawdę pasjonowała go geografia. Inspektor otworzył szafkę; panował tu rzetelny nieład. Bałaganiarstwo odziedziczył po mnie — pomyślał. Na bieliźnie książki, zeszyty poniewierały się wśród koszul, a na dole zobaczył swoją starą torbę oficerską, o której zdążył już zapomnieć. Stanął na palcach, by ściągnąć z najwyższej półki kolorowy cieniutki sweterek. Widział w nim Janka parę razy, ale wówczas nie interesowało go, skąd ma ten ciuch. Obejrzał francuską metkę; sweterek był dokładnie taki sam, jak ten ze sklepu Antoniego Spawacza. „Mój znajomy, Wojciech Kozłowski”. Było to niedaleko placu ciuchowego. Olszak podjechał radiowozem. Janek i Kozłowski stali obok budki z

piwem, w której urzędowała stara paserka, Majewska, dobra znajoma Olszaka. Z niepokojem patrzyła na zbliżającego się inspektora. Podał rękę Kozłowskiemu i zapytał Janka, dlaczego nie jest na wykładach. Chłopak burknął, że mają dziś wolne, a tamten uśmiechnął się szeroko. Bandaż zmienił mu twarz, zapewne dlatego Olszak nie poznał go od razu, gdy zobaczył u siebie w gabinecie.

Na progu stała Grażyna.

— Obiad stygnie — powiedziała. — Co ty tu robisz?

— Skąd Janek ma ten sweterek? — zapytał inspektor.

Uśmiechnęła się.

— Jakaś okazja. Janek kupił z własnych oszczędności.

— Ile zapłacił?

— Nie pamiętam. Czego się czepiasz chłopca?

— Kiedy on wróci?

— Zaraz. Odprowadził tylko Bożenkę na przystanek.

Więc ta dziewczyna przychodziła tu jednak! Bożenka.

Pierwszy raz słyszał to imię. Pomyślał, że kiedy będzie miał wreszcie czas, kiedy przeniosą go na emeryturę, nie będzie już Jankowi potrzebny.

Tym razem naprawdę nie wiedział, co było na obiad. Gdy wszedł Janek i burknął swoje: „Cześć, ojciec”, zapytał od razu o sweter.

— Fajny, prawda? Autentyczny ciuchowy — oświadczył chłopak.

— Nadaje się na każdą okazję.

— Ile zapłaciłeś?

— Przed wakacjami kupowałem — powiedział Janek. — Chyba jeszcze w maju — dodała matka.

— Od kogo i ile zapłaciłeś?

— Co się stało? — Ostry ton ojca nie wydawał się niepokoić Janka.

— Odpowiedz, kiedy ojciec pyta. — Grażyna ze zdziwieniem patrzyła na męża.

— Trzysta złotych — powiedział z ociąganiem Janek. — Sprzedał mi Kozłowski. Poznałeś go kiedyś. Miał trzy czy cztery, bo dostał paczkę.

— Skąd go znasz?

— Kozłowskiego? — Janek roześmiał się. — Wszyscy go znają. Taki cwaniak... kiedyś był na politechnice.

— Często się z nim spotykasz?

— Bardzo rzadko... Nic widziałem go od tamtej pory. Dlaczego ojciec pyta?

Powinien powiedzieć, co myśli o takich kontaktach, zabronić i zakazać. Odczuwał niepokój.

— Czy nie zdajesz sobie sprawy — wybuchnął — że taki sweter wart jest znacznie więcej, że nie może pochodzić z uczciwego źródła?

— Trzeba korzystać z okazji — powiedział obojętnie Janek.

— Gdzie widywałeś tego Kozłowskiego?

— Raz czy dwa go widziałem... Kiedyś w „Sputniku”. Niech ojciec powie nareszcie, co się stało.

Zrezygnował z poobiedniej drzemki. Gdy Janek wrócił do swego pokoju, musiał udzielić wyjaśnień Grażynie. Nie należała do kobiet, które łatwo zbyć byle czym.

— Podejrzewam, że sweter pochodzi z kradzieży.

Patrzyła na niego uważnie zza okularów. Kiedyś miała ogromne niebieskie oczy.

— Zawodowa czujność?

— Nie żartuj. Boję się o Janka. Co by było, gdybym musiał...

— Co byś musiał?

— Otrzymać od Janka oficjalne zeznanie.

Wstała.

— Słuchaj, Wacek... Tego nigdy nie zrobisz... Jeśli sweter pochodzi z kradzieży, Janek go odda. Nie mieszaj go do swoich spraw.

— On sam się miesza! — wybuchnął.

— Janek jest uczciwy i prawdomówny. — W jej głosie nie było cienia wątpliwości. — Sama z nim pomówię. Poproszę, żeby nie widywał się z tym Kozłowskim.

— My nic nie wiemy o Janku, Grażyno.

— Wszystko o nim wiemy — powiedziała sucho. — Ty nie wiesz, bo brak ci czasu.

Dopiero gdy wychodził i zdejmował z wieszaka płaszcz ortalionowy, bo zaczął padać deszcz, wróciła do tej rozmowy.

— Słuchaj, Wacek — szepnęła. Teraz usłyszał w jej głosie niepokój.

— Czy naprawdę stało się coś złego?

— Nie wiem — powiedział szczerze. — Chyba nic, chyba to tylko przypadek. Widzisz, ten fakt, że Kozłowski sprzedawał swetry, może być ważny dla pewnego śledztwa.

— Co zrobisz?

Wzruszył ramionami.

— Cokolwiek zrobisz — rzekła — nie mieszaj w to Janka.

W Komendzie było cicho i pusto. Olszak wypił swoją kawę, nic właściwie nie miał do roboty, jeszcze raz czytał protokoły zeznań. Potem przyszedł Kulicz i powiedział, że jutro jest pogrzeb Sielczyka. Olszak postanowił pójść, choć nie bardzo wiedział po co.



## 5

Ciężarówka minęła kondukt, kurz opadł, znowu słyszał tylko turkot kół wózka, na którym leżała trumna. Wyboista droga wiodła wzdłuż postrzępionego muru i straganów z kwiatami; od kościoła do bramy cmentarnej pięćset metrów. Ludzi było niewiele, szli powoli, z trudem, w ostrym słońcu świecącym prosto w oczy; przyspieszyli, gdy ogarnął ich chłód cmentarza. Organista podniósł wyżej krzyż, skrzył w boczną aleję, mijali stare groby, o które nikt już nie dbał. Olszak pozostał nieco w tyle; wybrał sobie niezły punkt obserwacyjny, wzniesienie, z którego widział teraz ich wszystkich, skupionych wokół trumny, i księdza odprawiającego egzekwie. Pomyślał, że ten pogrzeb potwierdza jakby raz jeszcze to, co o Sielczyku powiedziała Jolanta: „Żył samotnie, nie miał nikogo oprócz mnie”. Stała niedaleko księdza, obok starej kobiety w czerni, ciotki zmarłego. Olszak poznał ją jeszcze przed pogrzebem; podszedł do ławeczki ukrytej w cieniu kościoła, siedziały tam obie: ciotka i Jolanta. Starsza kobieta miała suchą dłoń, maleńkie oczka uważnie taksowały inspektora.

— To był dobry chłopak — powiedziała — przysyłał mi co miesiąc 350 złotych.

Sielczyk pamiętał o niej, tak przynajmniej twierdziła, ale widywała go rzadko, czasami wpadał na pół godziny, gdy przyjeżdżał do Warszawy. Od dzieciństwa był zresztą taki, zawsze czymś zajęty; w Warszawie, po powstaniu, gdy wzięła go do siebie, brodził całymi dniami po gruzach na Żelaznej i Chłodnej, mieszkali właśnie na Chłodnej, i znosił do mieszkania Bóg wie co, wszelkie stare rupiecie, rozmaite

blachę, skrzynki bez wieczek, wyrzucali potem to wszystko, gdy dostała mieszkanie na Pradze, bo była kierowniczką stołówki BOS-u. Uczył się dobrze, złego słowa nie powie, ale przyjaciół miał mało albo ona o nich nie wiedziała; książek dużo czytał, niekoniecznie naukowych, zawsze chciał być kimś, ambitny taki, mówił: „Popatrz, jak ludzie mieszkają, jakie mają fotele, radia, ubierają się, a my co?”

Dużo mu dać nie mogła, bo przecież nie miała, ale głodny nie chodził. A teraz, żeby sam? Jak przyszła depesza, myślała, że wypadek, może samochodowy? Nie mogła uwierzyć Jolancie, że to samobójstwo.

Wstała z ławeczki i ruszyła do kościoła.

— Ale księżdu ani słowa — powiedziała groźnie na odchodnym — tego bym nie przeżyła, gdyby go jak psa do ziemi...

Zatrzymał ją jeszcze chwilę i zapytał o zegarek. To ona mu właśnie tego tissota podarowała, kiedy zdał maturę. Porządny, zagraniczny, żeby na całe życie. I datę kazała wygrawerować — datę jego urodzin.

Ksiądz pokropił trumnę, grabarze wzięli się za łopaty. Starsza kobieta płakała, Jolanta stała obok niej, nieruchoma, nie widział jej twarzy osłoniętej czarnym welonem. W słońcu prześwitującym przez gałęzie drzew cała ta scena wyglądała trochę teatralnie. Inspektorowi wydawało się, że trwa zbyt długo, że nuży ich wszystkich, obojętnych i już zapewne zmęczonych. Profesor Guren, w czarnej, zbyt długiej marynarce, wziął pod rękę żonę i powoli wycofywał się w kierunku alei. Barbara Kralska stała obok Jolanty, jej męża nie widział. Dozorca z żoną trzymali się nieco osobno, jakby podkreślając swoją obcość i niezaangażowanie, a jednocześnie gotowość oddania ostatniej przysługi człowiekowi, który ich nic nie obchodził. Wysokiego pana w

brązowej marynarce spotkał raz w PIH-u; był szefem Sielczyka. Pomyślał o Rowaku. Rowak był pod kościołem, potem gdzieś zniknął. Inspektor rozejrzał się i dostrzegł go obok siebie. Starszy kontroler stał tu zapewne od dawna; maleńkim pilniczkiem czyścił starannie paznokcie i wydawał się całkowicie pochłonięty tym zajęciem.

— Pan inspektor mnie nie zauważył — uśmiechnął się. — A ja też wolę sobie popatrzeć z daleka.

Stara kobieta uklękła na świeżej ziemi, nieporządnie rzuconej na grób. Ksiądz oddał kropidło organiście i ruszył rażno alejką ku głównej bramie.

— Z tysiąc złotych musieli mu dać — stwierdził Rowak — dużo pieniędzy, prawda? Wie pan, ile zarabia kontroler PIH-u?

— Wiem — mruknął inspektor. — Wiem także, ile zarabia kapitan milicji. — Chciał już odejść, ale Rowak go powstrzymał.

— Poczekajmy chwilę. Będzie trochę tłoku, kondolencje przy bramie. Ma pan na to ochotę?

Inspektor milczał; Rowak wyjął cygaro.

— Tacy tak kończą — powiedział. Popatrzył na inspektora, jakby oczekując zgody na ujawnienie prawd im obu przecież dobrze wiadomych. — Czyści, święci, niedostępni! — wybuchnął nagle i roześmiał się cichutko. — Czym byłoby życie bez drobnych grzeszków, prawda, panie inspektorze?

— Nie bardzo rozumiem — powiedział sucho Olszak. Wracali już alejką; obie kobiety w czerni minęły bramę.

— Na przykład kieliszeczek koniaku — szepnął Rowak. — Po tym pogrzebie nie będzie stypy, panie inspektorze. Nikt nas nie zaprosi,

żeby dobre słowo o zmarłym powiedzieć. — Oblizął suche wargi. — Panie, jaki on był drewniany, ten Sielczyk.

— I nieprzekupny, co?

Twarz Rowaka była bez wyrazu.

— Z pana na każdym kroku, nawet na pogrzebie, wyłazi inspektor milicji. Nieprzekupnym, proszę pana, można być rozmaicie. Może ja wyglądam na takiego, któremu daje się w łapę, co?... Może i wyglądam — przyznał samokrytycznie. — Wierzy pan, że tak jest? Nie wystawiam, panie, tej swojej czystości na pokaz, nie świecę nią ludziom w oczy, nie jestem żaden tam prałat świętej handlowej inkwizycji, ale zwykły sobie urzędas.

— Nie ma się czym chwalić, panie Rowak.

— A może i jest. Niby lepiej patrzeć na ludzi jak na ścianę? Nie dostrzegać dziewczyn, znajomych... A on lubił tak sobie popatrzeć wzrokiem pułkownika bezpieczeństwa z czasów błędów i wypaczeń. Ciarki przechodziły.

— Nie mówi się źle o zmarłych — przypomniał Rowakowi.

— Pan inspektor żartuje. Wy to przecież lubicie. Wyciąga pan ze mnie te zwierzenia udając, że pana nie obchodzą.

— Bardzo go pan nie lubił.

— Nie lubilem — przyznał. I umilkł. Przed nimi szło powoli małżeństwo Gurenów. Profesor prowadził żonę pod rękę, pochylał się ku niej, bo gadała bez przerwy, i potakiwał.

— Często pan bywa u Gurenów? — zapytał Olszak.

— Dosyć — potwierdził. — Przynajmniej raz na tydzień. — Zapalił wreszcie cygaro. Popiół opadł na marynarkę, nie zwrócił na to uwagi.

— Dlaczego pan o to pyta? Ciągłe śledztwo? Czy okoliczności śmierci Sielczyka nie są dość jasne? — Czekał ciągle na odpowiedź i ciągnął dalej: — Czy obowiązuje zasada, że bohater pozytywny nie popełnia samobójstwa? Proszę sobie wyobrazić, że z ósmego piętra skacze się niekiedy choćby z nadmiaru pogardy dla grzesznej ludzkości.

— Teraz pan żartuje, panie Rowak.

Wzruszył ramionami.

— Już po raz drugi pyta mnie pan o to samo. Muszę panu zresztą zupełnie prywatnie powiedzieć, że też bardzo się dziwię. Ja osobiście wolałbym dla niego inny rodzaj śmierci, ale wybór bywa zazwyczaj niewielki. — Wyciągnął rękę na pożegnanie.

Na ulicy nie było ani skrawka cienia. Jolanta i ciotka już odjechały, Rowak pakował się do służbowej warszawy swego szefa, na przystanku autobusowym stała samotnie Barbara Kralska. Inspektor pomyślał, że mógł właściwie zamówić samochód, ale w Komendzie zawsze były kłopoty z samochodami, a ostatecznie na cmentarz nie musiał jechać. Poczul się zmęczony. Za dużo szwendam się po mieście — pomyślał — i dlatego noga znowu doskwiera. Będzie pewno deszcz. — Stał obok Barbary Kralskiej.

— Chciałbym z panią pogadać — powiedział trochę zbyt szorstko. Spojrzała zdziwiona.

— Mam przyjść do Komendy?

— Nie, ja przyjdę do pani. Gdzie pani pracuje?

Wsiedli razem do autobusu. Było jeszcze parę wolnych miejsc, ale na następnym przystanku ustąpił swoje kobiecie z dzieckiem. Stał w

tłumie gęstniejącym w miarę zbliżania się do śródmieścia i patrzył z góry na ciemne, gładko uczesane włosy Kralskiej.

Sporo o niej ostatnio myślał. Najpierw sądził, że dla jakichś nieznanymi powodów osłania męża. Sąsiadka powiedziała, że Kralski wrócił o pierwszej w nocy, kilkanaście minut przed śmiercią Sielczyka. Zeznanie Zofii Gałak trudne było do podważenia; z półpiętra widać istotnie tylko drzwi do mieszkania Kralskich, sprawdzili to obaj: on i Kulicz. Dlaczego zresztą sąsiadka miałaby kłamać? Kłamała więc Kralska... Po co? Nawet gdyby Kralski był świadkiem samobójczego skoku, nic mu nie groziło. Pomyślał, że przerost wyobraźni bywa uciążliwy dla oficera milicji. Rozpatruje się wówczas zbyt dużo wersji, zbyt dużo możliwości. Ale gdy działa się po omacku? Postanowił jeszcze dzisiaj przesłuchać Wojciecha Kozłowskiego. Może należy go jednak wypuścić? Wątpliwe, czy prokurator podpisze nakaz aresztowania, istnieje tylko przyznanie, nie ma dowodów przestępstwa. Znacznie większe znaczenie niż sprawa włamania ma dla niego kartka z adresem. Jeśli naprawdę ma znaczenie... Tych „jeśli” i „być może” było jednak zbyt dużo. Nie należy się niecierpliwić — myślał — trzeba czekać, może stanie się coś, co rzuci światło...

Na. Partyzantów powstał zator. Ciężarówka z piaskiem zatarasowała drogę, kierowca autobusu włączył sygnał. Kralska wstała, uśmiechnęła się do niego na pożegnanie i zaczęła przeciskać się do wyjścia. Spojrzał na zegarek. Lasociak czekał już pewno w parku. Autobus ruszył, włókł się powoli wąską uliczką, wreszcie wyskoczył na wolniejszą przestrzeń; dojeżdżali do placu Wolności. Z przystanku przy politechnice do bramy parku było jeszcze z pół kilometra. Olszak

szedł powoli i myślał o lekarzu z Komendy. „Więcej ruchu, Olszak — powiedział lekarz — prowadzisz siedzący tryb życia. Twoje serce potrzebuje tlenu”. Dzisiaj łyknął sporą porcję.

Było pusto. Na ławkach przy głównej alei siedziało parę kobiet z dziećmi, ale na dróżce okalającej staw nie spotkał nikogo. Dopiero za drewnianym mostkiem, rzuconym łukowato nad przesmykiem łączącym oba jeziora, zobaczył Lasociaka.

— Myślałem, że pan inspektor już nie przyjdzie — szepnęła oglądając się trwożliwie naokoło.

Bał się, jak zwykle. Inspektor wyciągnął paczkę sportów i poczęstował Lasociaka. Oparł się ciężko o barierę mostku i wdychał powoli dym. Tamten milczał. Gdyby zdobył jakieś ciekawe informacje, powiedziałby od razu, nie czekając na pytania. Mieszkał u paserki Wiktorii na grudziądzkim przedmieściu. Wiktoria siedziała już parokrotnie za nielegalną sprzedaż alkoholu, za paserstwo. Była to rozłożysta baba o twarzy kilkunastoletniej dziewczyny. Traktowała swoich mężczyzn dość brutalnie, podobno ich nawet bijąca. Chodziła zawsze w kolorowych kieckach i wysokim kapeluszu z rondem. Na ciuchach nazywano ją „Hrabina”. Hrabina nie żądała od swoich pupilów zbyt wiele, lubiła poslušnych, a ofiarowywała wikt i mieszkanie. Pupilek przynosił czasem towar, kupował wódkę, ale Wiktoria nie chciała, żeby się zbyt narażał. Lasociak mieszkał już u niej od kilku lat. Pobił swoisty rekord; nikt tak długo nie przetrwał u Hrabiny. Mieszkał marnie. W kuchni pod oknem stało żelazne łóżko; materac był brudny i zużyty, niestaranie przykryty kolorową kapą. W pudle pod tym łóżkiem Olszak znalazł przed trzema laty futro skradzione pewnej aktorce z kawalerki na placu Wolności. Lasociak powędrował

wówczas do ciupy; dostał niewielki wyrok, bo nie udowodniono mu kradzieży, tylko paserstwo. Olszak go przesłuchiwał i rozmawiał z nim, gdy pupil Hrabiny wychodził z więzienia.

— Dlaczego nie weźmiesz się do roboty? — zapytał wówczas.

Lasociak nawet nie odpowiedział. Poprosił o papierosa, schował go do kieszeni spodni i wrócił do Hrabiny. Po paru miesiącach spotkali się znowu. Patrol milicyjny złapał Lasociaka na gorącym uczynku; włamywał się do zastawy, żeby ściągnąć butelkę koniaku zostawioną na tylnym siedzeniu. Lasociak poprosił wówczas o rozmowę z Olszakiem. Schudł, miał sine pręgi pod oczyma i patrzył łapczywie na szklankę herbaty stojącą na biurku.

— Hrabina nie daje jeść? — zapytał Olszak.

— Nie chcę iść do kicia — powiedział Lasociak. — Jak Boga kocham, więcej już nie będę.

Olszak schował protokół milicyjny do szuflady i po chwili położył go znowu na stole. Żał mu się zrobiło tego człowieka. I pomyślał, że może się przecież przydać. Rozmnożyły się właśnie kradzieże mieszkaniowe, a Olszak miał słaby wgląd do środowisk paserskich.

Spotykali się później w parku albo na przystanku autobusowym pod politechniką. Lasociak opowiadał Olczakowi wiele ciekawych rzeczy o środowisku przestępczym. Sprawiało mu to pewną satysfakcję bo był tam niczym, popychadłem bez specjalności, tragarzykiem Hrabiny, któremu nigdy nie udało się własny skok. W jednym tylko wykazywał nieustępliwość; nigdy nie mówił o Hrabinie. Był to niezwykle istotny mankament, ale inspektor zbytnio nie naciskał.

— Znalazłeś coś? — zapytał.



Lasociak skurczył się, unikał wzroku inspektora.

— Zapadło się jak pod ziemię — mruknął i rozejrzął się trwożliwie.

— Zejdźmy z mostku, panie inspektorze tu nas za bardzo widać. — Zawsze to powtarzał, gdy rozmawiali w parku.

Szli pustą dróżką, potem stanęli pod rozłożystym kasztanem. Z daleka dochodziły głosy dzieci.

— Złaziłem ciuchy, panie inspektorze, i popatrzyłem sobie po melinach. Starosta, który handluje srebrem, ma teraz zastój, żadnego towaru. Tego skoku nie robił chyba: nikt z branży.

— Gadanie — mruknął Olszak.

— Jak Boga kocham, panie inspektorze. Sam się dziwię. To przecież duża robota, trzeba fachowca...

— Wiem bez ciebie. A może warto sprawdzić u Hrabiny

Lasociak skurczył się jeszcze bardziej.

— Pan inspektor mi nie wierzy? Mówię świętą prawdę Hrabina ma czyste mieszkanie.

— Dobrze, już dobrze. Poszperaj po ciuchach. Nie myślę, żeby wywieźli te srebra. I jeszcze jedno. Chodź mi o zegarek marki Tissot, skradziony najprawdopodobniej 3 albo 4 września.

— Ziarnko w korcu maku — mruknął Lasociak.

— Niezupełnie. — Olszak opisał zegarek Sielczyka podał datę wygrawerowaną na kopercie: „5.VIII.1934”.

— Gdzie go buchnęli? — zapytał Lasociak.

Inspektor wzruszył ramionami. Nie wiedział nawet czy to była kradzież.

— Zależy mi na tym zegarku.

Zbliżali się już do głównej alejki. Olszak stanął.

— To chyba wszystko. Za trzy dni w tym samym miejscu.

## 6

Nocą śniło mu się, że śledził Janka. Szedł za nim długa ulicą, po obu stronach nie było domów, tylko kikuty kamienic, gdzieniegdzie wejścia do piwnic i kręte ścieżyny przez gruzowiska. Potem przypomniał sobie, że to Wrocław z 1945 roku, ale nie rozumiał, co robi tutaj z Jankiem. Przecież Janek urodził się w czterdziestym siódmym. Znalazł się nagle na szczycie usypiska i widział sylwetkę chłopca przemakającą się między wypalonymi ścianami, które szepiały się u góry, tworząc dziwaczny korytarz. Chciał krzyżeć, ale nie mógł krzyknąć, chciał wyciągnąć rękę i rozchylić te ściany, były miękkie niby z plasteliny, ale już tężały i rozumiał, że po chwili będzie za późno... Obudził się nagle i zobaczył naci sobą przerażoną twarz Grażyny.

Ten sen przypomniał mu się nie wiadomo dlaczego, gdy opadł na miękki fotel w gabinecie prokuratora Stefaniaka. Znali się wiele lat, właściwie byli w przyjaźni, choć nigdy nie przyszło im na myśl określić w ten sposób wzajemne stosunki. Od czasu do czasu wypijali butelkę wódki w mieszkaniu Stefaniaka, który był kawalerem i bardzo to sobie chwalił.

— Jesteś potworne dziwadło — mawiał Stefaniak — niby na oko zwykły facet w średnim wieku, z brzuszkiem, umiarkowanie lubiący alkohol i od czasu do czasu oglądający się za dziwkami, a najprostszą sprawę umiesz tak skomplikować, że potem człowiek nie może się pozbierać. I najzabawniejsze, że często masz rację.

— Z czym przychodzisz tym razem, monsieur Maigret? — powitał go.

Tym razem chodziło o Kozłowskiego. Zeznawał chętnie w sprawie

włamania, którego przecież nie było, podawał nawet szczegóły, ale zaciął się natychmiast, gdy Olszak zapytał o współników lub o sprzedaż skradzionych ciuchów. Nie pamięta, komu sprzedawał... Z nikim nie współdziałał. Nikt mu nie nadał tego skoku. A kartka z adresem? Kozłowski spuścił wzrok i powtarzał uparcie: „Jakaś dziewczyna, sam nie wie która, mało to człowiek spotyka dziwek”.

— Twierdzisz, że było włamanie — uśmiechnął się prokurator — a dowody? Pokaż mi przynajmniej kogoś, kto kupował taki sweterek od Kozłowskiego. Wczoraj w Delikatesach — ciągnął — kupiłem węgierski lanchid. Dobry koniak, trochę za bardzo pachnący, ale chyba nie gorszy od gruzińskiego. Piłeś kiedyś? Przyjdź wieczorem, poznasz taką blondynkę, która miałaby ochotę zostać panią prokuratorową... Ale przestań mnie męczyć o nakaz aresztowania tego faceta. Może mitoman?

Olszak wydębił jednak od niego ten nakaz. Prokurator nazwał to żyrowaniem intuicji.

— Zrozum — tłumaczył — jeśli Spawacz nie doniósł o włamaniu, to przestępstwa nie było. Każdy ma prawo robić ze swoją własnością, co chce. Co prawda — rozważał — jest w Małym Kodeksie taki dość niejasny paragraf, ale trzeba by wyraźnych dowodów, że na przykład ukrywa fakt kradzieży, bo boi się ujawnienia własnych przestępstw. To podejrzewasz?

Olszak nie bardzo wiedział, co podejrzewał. Dlaczego sprawę Kozłowskiego wiązał ciągle ze sprawą Sielczyka? Miał tylko tę kartkę, o której Kozłowski nic nie powiedział. Przekłeta intuicja! Na jakie manowce może go jeszcze zaprowadzić?

Prokurator uśmiechał się pobłaźliwie podpisując nakaz.

— Za tydzień przesłucham go osobiście — oświadczył. — Może ci pomogę.

Oznaczało to: jeśli nic w tym czasie nie znajdziesz, chłopak pójdzie do domu. Wtedy będzie musiał włączyć do akt sprawy zeznanie Janka o swetrze za trzysta złotych i Kercz przekaze zapewne dalsze śledztwo komuś innemu. Powie: „Jesteś osobiście zainteresowany”. Tak, jestem osobiście zainteresowany, chciałby powiedzieć Olszak. Wstał, ale prokurator zaproponował jeszcze jedną filiżankę kawy. Olszak powinien był zrezygnować, nie należało pić tyle kawy, ale, jak zwykle, się zgodził. Kawa u prokuratora była znakomita, jego sekretarka, panna Dorota, posiadała jakąś sobie tylko znaną receptę. Albo po prostu nie żałowała kawy. Wdychał aromat, smakował gorycz i słuchał wywodów Stefaniaka.

— Nie przeczę — mówił prokurator — że w sprawie Sielczyka jest coś dziwnego. Każdy by to dostrzegł, nie tylko ty. Nie gniewaj się, stary, wiesz, że cię cenię, chociaż miewasz zwariowane pomysły. Z tego, co mi referowałeś, choćby te przesłuchania sąsiadów, wynika, że wężysz morderstwo. Jakie tu morderstwo, u Boga Ojca? Nie ulega przecież wątpliwości, że facet zrobił to sam. Spróbuj zmusić człowieka do napisania takiej kartki. Jeszcze mi się nie zdarzyło, żeby ofiara dostarczała alibi mordercom. Szantaż, przymus, tak, to oczywiście brzmi racjonalniej, dlatego warto by może zidentyfikować faceta, którego widziała gospodyni i którego ślady palców odkryłeś w mieszkaniu. Mówisz o Kralskiej? Jaki to może mieć związek? W każdym razie informuj mnie na bieżąco i nikogo nie zamykaj. Nie podzyruję ci już żadnego weksla. I przyjdź na lanchid. Opowiesz o przesłuchaniu Kralskiej...

Zamierzał prosto z prokuratury jechać do Punktu Napraw Sprzętu Elektrotechnicznego, gdzie pracowała Barbara Kralaska, ale wstąpił przedtem do fryzjera i to mu pokrzyżowało plany. Niezbyt podobał się sobie, gdy spojrzął w lustro. Twarz jakby nieco opuchnięta, oczy zbyt małe, sieć gęstych zmarszczek pod oczami. Zaaplikował sobie masaż, nigdy tego nie robił i zawstydził się solidnie, gdy zobaczył w lustrze wchodzącego do zakładu Kulicza. Ten — pomyślał — nie ma takich kłopotów. Właściwie należało jemu powierzyć przesłuchanie Kralaskiej. Ale Kulicz też miał swoje kłopoty; gdy usiadł na sąsiednim fotelu, zwierzył się natychmiast, że bliźniaki całą noc dokazywały, ryczały właściwie bez przerwy, żona jest na ostatnich nogach, a przecież nie bardzo stać ich na gosposię. Nie mówiąc już o tym, że nie wiadomo, gdzie ją znaleźć. Olszak był pewien, że porucznik złośliwie się uśmiechnął na widok elektrycznej maszynki do masażu, choć fryzjer pokrywał właśnie twarz Kulicza mydłem, a w takich sytuacjach ludzie uśmiechają się na ogół rzadko.

Opuścili zakład razem i Kulicz zaczął natychmiast referować, co zdołał ustalić w sprawie Kralaskiego. Nie było to zbyt trudne; na naradę do Warszawy pojechało z WZGS trzech inspektorów, między nimi Kralaski. Wszyscy wrócili 3 września wieczorem ekspresem przychodzącym o godzinie 21.07. Kralaski, wbrew zeznaniom swej żony, przyjechał więc parę godzin przed samobójstwem Sielczyka i mógł oczywiście wracać do domu o godzinie pierwszej w nocy, jak to stwierdziła sąsiadka.

— Mógł — powiedział Kulicz — ale nie wrócił.

Porucznik rozmawiał z Kralaskim w jego pokoju biurowym. Duży, nieco toporny mężczyzna w okolicach czterdziestki był zdziwiony,

ale tylko zdziwiony jego wizytą. Powiedział, że nigdy nie miał do czynienia z milicją. Wyraził gotowość udzielenia natychmiast wszelkich informacji. Kulicz oświadczył, że chodzi o Sielczyka. Co właściwie pan Kralski może powiedzieć o swoim sąsiedzie? Kralski przyznał, że na dobrą sprawę — nic. Sądzi, że więcej mogłaby powiedzieć jego żona; ona przedstawiła mu kiedyś Sielczyka. Był bodaj że narzeczonym jakiejś jej koleżanki, dokładnie nie pamięta. Rozmawiali parę razy w windzie, spotykali się na schodach; nie, nie robił na nim dobrego wrażenia. Był to facet raczej ponury, bez poczucia humoru, a on, Kralski, ceni przede wszystkim poczucie humoru, bo to ułatwia życie, a każdy z nas, jak wiadomo, ma sporo kłopotów. Kulicz wysłuchał, nie przerywając tego monologu, który był zresztą znacznie dłuższy, ale raczej pusty, nie warto powtarzać, a potem zadał pytanie podstawowe. Co pan Kralski robił tego wieczoru? Urzędnik WZGS nie odpowiedział od razu. Zesztywniał.

— Panowie rozmawiali z moją żoną — stwierdził. — Moja żona powiedziała, że nie było mnie w domu.

Kulicz milczał. Nie potwierdzał i nie zaprzeczał. Czekał.

— Byłem na naradzie w Warszawie — ciągnął Kralski powoli i ostrożnie, jakby chcąc sprawdzić reakcję Kulicza, ale twarz porucznika wyrażała tylko obojętność.

Kralski jakby odtajał, otworzył pudełko carmenów i zaproponował kawę.

— Panie poruczniku — powiedział — przypuszczam, że to nie ma żadnego znaczenia, gdzie byłem tego wieczoru, ale nie mam powodu bujać. Wróciłem z Warszawy o godzinie 21.07, nie pojechałem jednak

do domu. Moja żona powiedziała prawdę... — Urwał na chwilę. — Rozumie pan przecież. Jej powiedziałem, że wracam następnego dnia. Moi koledzy umieją być dyskretni... Jeśli to pana interesuje — dodał — na dworcu widziałem Sielczyka. Właśnie wtedy widziałem go po raz ostatni.

Tym razem zaskoczony był Kulicz.

— Na dworcu — powtórzył. — O 21.07. Pan się nie myli?

— Nie myślę się — oświadczył mąż Barbary. — Wychodziłem z wagonu restauracyjnego, bo wracaliśmy we trójkę, sam pan rozumie... i zauważyłem go przy wejściu na schody. Ukłoniłem się nawet, choć on był młodszy, ale mnie nie dostrzegł. Zobaczył właśnie tego, na kogo czekał.

— Kto to był?

— A skąd ja mogę wiedzieć? Jakiś mężczyzna. Pan wie, że na peronie nie jest zbyt jasno... zresztą nie interesowało mnie, na kogo Sielczyk czeka.

— Może zapamiętał pan jakiś szczegół?

— Bo ja wiem... Facet w płaszczu i w kapeluszu. — Pomyślał chwilę. — Średniego wzrostu, jak Sielczyk mniej więcej. Racja — pan nie znał Sielczyka! Nic nia mogę panu do tego dodać. Sielczyk podbiegł do niego, gdy odchodziłem...

— Witali się serdecznie?

— Nie patrzyłem. Zbyt wiele wymaga pan ode mnie, panie poruczniku.

Więc od Jolanty Sielczyk pojechał na dworzec; należy przypuszczać, że mężczyznę, na którego czekał, przywiózł potem do domu, widziała go gospodyni. Kto to był? Dlaczego Jolanta Kasztel nic o tym

nie wspomniała? — pomyślał Olszak. Oderwał się od swoich myśli, bo Kulicz nie skończył jeszcze relacji.

— Tej nocy wrócił pan jednak do domu, panie Kralski — powiedział Kulicz.

Urzędnik popatrzył na niego z ogromnym zdziwieniem. W oczach pojawiły się twarde błyski.

— Jeśli tak zeznała moja żona — oświadczył — zapłaci mi za to. Kłamstwo!

— Mam rozumieć, że nie był pan tej nocy w domu. — Kulicz stanął teraz uosobieniem spokoju i uprzejmości.

— Oczywiście, że nie. Spędziłem noc gdzie indziej.

— Może pan tego dowieść?

— A muszę dowodzić? Czy sądzi pan, że potrzebne mi alibi? Czy jestem o coś podejrzany?

— Nie, broń Boże.

Kulicz wyjaśnił, że chodzi tylko o dobro śledztwa. Pan Kralski rozumie przecież, że w śledztwie dokonuje się kolejnych eliminacji rozmaitych możliwości, by została wreszcie tylko ta jedna, poszukiwana.

— To przecież było samobójstwo.

— Bywają rozmaite samobójstwa — powiedział Kulicz. — Wyobraźmy sobie, że ktoś widział pana Kralskiego wracającego do domu kilkanaście minut przed śmiercią Sielczyka, a pan Kralski temu zaprzecza. Czy to wydaje się podejrzane? Oczywiście — tak. Ale pana Kralskiego nikt przecież o nic nie podejrzewa, chodzi więc wyłącznie o wyjaśnienie.

Skapitulował łatwiej, niż Kulicz przypuszczał. Stał się kordialny, bez zażenowania powoływał się na męską solidarność i powszechnie znaną milicyjną dyskrecję. Jego monolog był nawet zbyt rozwlekły. Co tu dużo gadać, nie udało się to małżeństwo z Barbarą. On, Kralski,



nie widzi w tym swojej winy, bo zawsze lubił dom, marzył o spokoju, ciszy, dzieciach, o żonie gotującej obiady i czekającej cierpliwie na powrót męża. W końcu są to rzeczy oczywiste, należące się ciężko pracującemu mężczyźnie. Barbara była jednak inna, sama chciała pracować, tęskniła za kinem, lubiła knajpy i nie okazywała żadnej troski o dom. Właśnie ten brak troski o ich wspólne gospodarstwo — podkreślał z całą stanowczością Kralski — skłonił jego, domatora i przyzwoitego człowieka, monogamistę w każdym calu, do poszukiwań innej kobiety.

Kulicz słuchał ze znużeniem. Urzędnik WZGS-u miał duże kościiste dłonie, palcami ścisnął filiżankę tak mocno, że Kulicz chciał powiedzieć: proszę uważać, za chwilę pęknie.

Więc znalazł inną kobietę, znakomitą dziewczynę, ale nie poinformował jeszcze Barbary; każdy mężczyzna ma jednak pewne opory... nawet jeśli nie istnieją już żadne widoki na utrzymanie małżeństwa. Z ociąganiem podał adres.

Bardzo to dla mnie nieprzyjemne — powtarzał — bardzo nieprzyjemne. I jeśli można pana prosić...

Olszak wziął adres od Kulicza i pojechał tam natychmiast. Znał takie mieszkania. Duże, ciężkawe, przeładowane gratami. Kolorowe poduszki, komoda stylizowana na antyk, na komodzie fotografie w ramkach: Kralski i starszy pan, sztywny i uroczysty. Okazało się, że Krystyna Bojarska, wdowa po mężczyźnie z fotografii, prowadzi dobrze prosperujący sklep warzywniczy. Oczywiście wolałaby coś innego, ale przecież została sama, mąż, urzędnik starostwa, niewiele oszczędził, a ona musiała wychować córkę. Niziutka, wysuszona kobieta siedziała na brzeжку kanapy i z niepokojem spoglądała na pana

inspektora. Córka za chwilę wróci, wyjaśniała, ale może pan kapitan powie, czego sobie życzy, ona zawsze była w zgodzie z milicją, dzielnicowy to może potwierdzić. Jego żona, bardzo miła kobieta, kupuje u niej warzywa.

Zapytał o Kralskiego. Ożywiła się, ale jej niepokój wzrósł.

— To narzeczony córki — tłumaczyła — znają się już przeszło rok, ale wiadomo, jak to bywa — on ma sprawę rozwodową, więc odkładają małżeństwo. Czy milicja interesuje się panem Kralskim? Dlaczego? Powinna przecież wiedzieć; to bardzo porządny i solidny człowiek, nieco starszy od Anny, ale podobno nawet lepiej, jeśli mężczyzna starszy, bo bardziej ceni sobie młodą żonę.

Olszak oświadczył natychmiast, że milicja nie ma nic przeciwko Kralskiemu, nie prowadzi żadnych dochodzeń; chodzi właściwie o zwykłą formalność, nie rzucającą żadnego cienia na narzeczonego córki. Nie lubił takich rozmów; może zbyt się pospieszył, może powinien był alibi Kralskiego sprawdzić inaczej. Zapytał, czy przypomina sobie wieczór trzeciego września. Starsza pani zmrużyła oczy, zastanowiła się chwilę.

— Trzeciego września — powtórzyła. — Byłam w kinie o siódmej, bo córka handlowała tego dnia po obiedzie, a potem wróciłam do domu. Po drodze wstąpiłam jeszcze do nocnych Delikatesów, bo Anna prosiła, żeby kupić coś do picia. Staszek, to jest Kralski, był już w domu. A dlaczego pan o to pyta?

— Drobną sprawą — odparł. — Formalność. A o której wyszedł pan Kralski?

Milczała. Milczała dość długo, potem przetarła sobie oczy chusteczką. Czy to naprawdę ważne? Wolałaby właściwie nie mówić, ale

jeśli pan inspektor nalega... Ona jest kobietą starszej daty, pan inspektor, jako człowiek poważny, łatwo ją zrozumie, ale ci młodzi... Otóż pan Kralski wyszedł dopiero następnego dnia... Chyba po obiedzie, bo nie musiał iść do pracy.

Nie zachwyciło go, że uznała go za „człowieka poważnego”. Wstał szykując się do wyjścia, gdy na progu stanęła Anna Bojarska. Była niepodobna do matki; duża, pełna brunetka, o nieregularnych, niemal męskich rysach twarzy. Olszak pomyślał, że szanse tej dziewczyny w porównaniu z Barbarą Kralską powinny być żadne. W każdym razie jeśli chodziłoby o niego...

Anna wysłuchiwała relacji matki, a potem oświadczyła bez uśmiechu i bez zażenowania:

— Tak, oczywiście, spał tutaj. I mogę pana zapewnić, że nie wychodził. — Nie zadawała żadnych pytań, nie okazała cienia zainteresowania.

## 7

Raport Kulicza i rozmowa z paniami Bojarskimi potwierdziły, że Barbara Kralska nie kłamała, mówiąc, iż mąż nie wrócił na noc. Ale sąsiadka podtrzymuje uparcie, że ktoś wchodził do Kralskich kilka minut przed skokiem Sielczyka. Więc kto? Musi mi powiedzieć — pomyślał w drodze do punktu usługowego, w którym pani Kralska pracowała. — Może powinien wezwać ją do Komendy? Należał jednak, jak powiadał Kercz, do „chodzących” inspektorów, lubił łązić po mieście i gadać z ludźmi w ich mieszkaniach lub pokojach biurowych. Uzasadniał to tak: już samo wezwanie do Komendy stwarza stan napięcia. Jeśli mam coś zrozumieć, muszę zobaczyć człowieka w

„naturalnym wnętrzu”. Na rogu Partyzantów wisiało w bramie podłużne lustro. Olszak przystanął i obejrzał się dokładnie. Po fryzjerze i w słońcu prezentował się chyba nieco lepiej. Wciągnął brzuch, spróbował mocniej ścisnąć pasek; pomyślał, że za mało dba o siebie. Spacery nie pomagają, może by trochę sportu... Ale jaki tam sport przy jego sercu i reumatyzmie... Zawstydział się i przyspieszył kroku. Co powie Barbara Kralaska? Postanowił nie zadawać tym razem pytań wprost, kluczyć i okazać maksymalną cierpliwość. Dlaczego ta dziewczyna kłamie? A może także kłamie Kralaski i szanowne panie Bojarskie? W tej sprawie wszystkie niemal zeznania były wątpliwe: Kozłowski, Spawacza, Rowaka... Sięgnął do kieszeni i znowu poczuł pod palcami szmacianego pajacyka. Trzeba zapytać o niego Jolantę. Jolantę należy zapytać także o człowieka, na którego czekał Sielczyk na dworcu.

Młody człowiek w ceratowej kurtce tłumaczył właśnie, że elektroluks potwornie warczy. Po ostatnim remoncie już ciągnie, ale tak warczy, że sąsiedzi protestują. A przecież prosił, tłumaczył... Barbara Kralaska uśmiechnęła się do niego i młody człowiek umilkł. Elektroluks leżał na ladzie, Barbara włączyła go do kontaktu; warkot był taki, że przechodnie przystawali na ulicy.

— To wada fabryczna — powiedziała Kralaska. — My nic nie poradzimy.

Młody człowiek chwycił elektroluks i wybiegł ze sklepu.

— Za chwilę będę wolna — Kralaska zwróciła się do Olszaka. — Zastąpi mnie koleżanka.

Usiedli przy małym stoliku pod oknem. Koleżanka Kralaskiej handryczyła się właśnie z elegancką panią, która przyniosła maszynkę do golenia.

— Angielskich nie naprawiamy. To można tylko prywatnie.

— Zamknijcie ten interes — poradziła elegancka pani.

Koleżanka Kralskiej skinęła grzecznie głową, a Barbara poprawiała szminką rysunek warg. Uśmiechnęła się do Olszaka; może myśli, że sprawa Sielczyka to tylko pretekst? A może zasłania się tym uśmiechem? Przecież nie powiedziała prawdy. Na pewno nie powiedziała prawdy.

Koleżanka obserwowała ich ciekawie zza lady i Olszak teraz żałował, że nie umówił się jednak w kawiarni. Na szczęście impetyczny jegomość wyluszczał właśnie powody, dla których zwróci się co najmniej do przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Narodowej, by zamknięto ten punkt niby naprawczy. Jego młynek do kawy po trzech reperacjach nadal nie działa.

— Na jaką okoliczność mam znowu zeznawać? — zapytała Kralaska. Jej ton był wielce niefrasobliwy.

— Nie ma mowy o zeznaniach. Chciałbym właściwie uzyskać odpowiedź na kilka pytań i zaproponować, żebyśmy wspólnie rozważyli pewne fakty. Oczywiście obustronna dyskrecja...

Barbara zapewniła, że nic nie sprawi jej takiej przyjemności, jak zaufanie pana inspektora.

— Chodzi mi o męża pani — powiedział Olszak. — Jakie stosunki łączyły go z Sielczykiem?

Kralaska była naprawdę zdziwiona.

— Niemal go nie znał...

— Jest pani pewna?

— Zupełnie. O co pan go podejrzewa? — wybuchnęła śmiechem.

— Staszek i Sielczyk! Nie, pan chyba nie mówi poważnie, inspektorze?

— Kiedy mąż pani wrócił z Warszawy? — starał się, by jego głos brzmiał możliwie sucho i oficjalnie.

— Już mówiłam. Czwartego po południu. Zjawiłam się w domu o wpół do ósmej, a on już spał. Był zmęczony.

— Biedak — powiedział Olszak. — Czy będę bardzo niedyskretny, jeśli zapytam...

— Będzie pan — przerwała mu ostro. — Sądzę, że moje stosunki małżeńskie nie stanowią przedmiotu śledztwa.

— Nie stanowią — potwierdził — i powie mi pani tylko tyle, ile pani zechce. Ale proszę rozważyć: człowiek mieszkający obok pani popełnił samobójstwo w dość tajemniczych okolicznościach...

— Czy to oznacza, że moje życie prywatne ma być wzięte pod lupę?

— Naprawdę nie mam takiego zamiaru. Wyobraźmy sobie jednak, że kilkanaście minut przed śmiercią Sielczyka pan Kralski wraca do domu. Jego żona twierdzi, że wrócił dopiero następnego dnia. Co by pani o tym powiedziała na moim miejscu?

— Żarty! Tej nocy mojego męża na pewno nie było w domu.

— Jeśli nie potraficie naprawić nawet lampy biurowej — krzyczała korpulentna dama w okularach — to za co wam płacą?

— Widzi pan, jaką mam robotę — powiedziała Kralaska. — Czasami wracam do domu chora. — Zapaliła papierosa. Miała długie, cienkie palce i ładne, lakierowane paznokcie.

— Nie chcę wnikać w pani życie — tłumaczył Olszak. — Chcę tylko, żeby mi pani pomogła. Będę szczerzy. — Odczekał chwilę; wyciągnął

swoje sporty. — Wiem — powiedział — że tej nocy ktoś wchodził do pani mieszkania.

Spodziewał się zakłopotania albo ostrej reakcji. Barbara strząsnęła spokojnie popiół i zapytała:

— No to co?

— To nie był mąż?

— Oczywiście, że nie mąż, skoro nie wrócił jeszcze z Warszawy.

— Ten mężczyzna wszedł do mieszkania bezpośrednio przed śmiercią Sielczyka.

— Nieprawda! — Teraz patrzyła na Olszaka z niekłamanym zdziwieniem. — O tej porze nikt nie mógł do mnie wchodzić. Powiedzmy, że ktoś wychodził, ale znacznie wcześniej.

— Pani Barbaro — oświadczył Olszak — mam świadków, którzy nie kłamią.

— Świadkowie kłamią — powiedziała. Umilkła i potem dodała: — To dziwne...

— Czy zechce mi pani wyjaśnić?

— Wyobraźmy sobie, że zechcę. — Roześmiała się. — Pan jest bardzo sympatyczny, inspektorze. Powiedzmy, że dowie się pan o niewinnej — zająknęła się — przygodzie młodej kobiety? Co pan powie?

— Będę milczał jak grób.

Pochyliła się ku niemu. Mówiła teraz nieomal szeptem.

— Kobieta musi się czasem przekonać o własnej wartości, rozumie pan?

— Rozumiem.

— A czasem trzeba dać po nosie mężowi. — Spoważniała. — Przypuszczam, że należał mu się ode mnie rewanz. Wiem, że się należał — poprawiła się.

— Myślicie państwo o rozwodzie? — zapytał nieostrożnie Olszak.

— On kogoś ma — powiedziała. — Ja wiem, że kogoś ma. I dlatego... — zachnęła się. — Zresztą nie o to chodzi. Był u mnie chłopak, panie inspektorze. Czy to wystarczy?

— Nie — stwierdził Olszak.

— Co jeszcze?

— O której przyszedł i o której wyszedł?

— Przyszliśmy razem. Chyba przed jedenastą. No, byliśmy w „Sputniku”. Był pan kiedyś w „Sputniku”? Zapewne nie. Tam przychodzi młodzież. Trochę się pije, trochę się tańczy. Ja wypiałam chyba za dużo... On tańczył tylko ze mną i bardzo ładnie mnie podrywał. Naprawdę — bardzo ładnie. Potem wsadził mnie do taksówki i przyjechaliśmy razem na Żołnierską. Miał w kieszeni jeszcze pół butelki soplipy, ale po co ja panu opowiadam te szczegóły, dość że wypiliśmy po kieliszku, a potem...

Inspektor nie zadawał pytań; Barbara roześmiała się.

— Potem, panie inspektorze, było jak w powiastce dla grzecznych dzieci. Zmogło mnie. Zasnęłam jeszcze na krześle, pamiętam jak przez mgłę, że przeniósł mnie na tapczan... i ostatnie, co pamiętam, to trzask zamykanych drzwi, my mamy automatyczny zamek. Mogło być najwyżej wpół do dwunastej, bo mówię panu, że nie wypiliśmy więcej niż po kieliszku.

— Więc on wrócił?

— Pan żartuje. Jak mógł wrócić, jeśli nie miał kluczy — zawahała się. — Słyszałam wyraźne trzaśnięcie. Wie pan, słyszy się czasem przez sen. Obudziłam się dopiero, gdy pan zadzwonił do drzwi. Nic



więcej nie wiem. Mówiła prawdę? Ale jeśli mówiła prawdę — to kogo widziała Zofia Gałak? Powiedzmy, że Kralski dał komuś klucze. Ale skąd mógł mieć pewność, że jego żona się nie obudzi... Że śpi tak mocno? „Że śpi tak mocno”. Wypiła kieliszek soplicy i od razu zasnęła. Młoda kobieta, która zasypia w obecności chłopca wprowadzonego po raz pierwszy do domu. Może była po prostu pijana?

— On był u pani po raz pierwszy?

— Kto?

— Ten chłopiec.

— Oczywiście. Wyglądam na taką, która systematycznie zdradza męża?

I teraz najtrudniejsze:

— Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak się nazywał?

Wybuchnęła śmiechem.

— Może i miałabym jakieś skrupuły — oświadczyła — ale naprawdę nie wiem. Przysięgam, że nie wiem. Na imię miał Tadek. Nie pytałam go o nazwisko!

— Nie bardzo chce mi się wierzyć.

— Bo pan nie jest młodą kobietą, która zdecydowała, że ktoś ją raz, jeden raz, poderwie. Dlatego wybrała młodego chłopaka, chociaż woli starszych, dojrzałych mężczyzn.

— Poznała go pani dopiero tego dnia? — zapytał oschle.

— Dwa dni wcześniej, panie inspektorze, jeśli naprawdę te szczegóły są ważne. Zadzwoiła Jolanta...

— Jolanta Kasztel, narzeczona Sielczyka?

— Oczywiście. Powiedziała, że się nudzi, bo Konrad znów pisze pracę doktorską, i że mnie pewno smutno, bo Staszka jak zwykle nie

ma, i zaproponowała wyprawę do „Sputnika” albo, jeśli pan woli, na „Sputnik”, bo my tak mówimy...

— I co było dalej?

— Nic. Zamówiliśmy dwie kawy i siedzieliśmy sobie grzecznie, plotkując o znajomych z naszej centrali. Sąsiedni stolik zajęło dwóch panów; jeden nieco starszy, bardzo elegancki, a drugi właśnie Tadek... Najpierw wypili dwa kieliszki wina, później jeszcze dwa kieliszki i przysiedli się do nas...

— Jolanta ich znała?

— Nie wiem, chyba nie. Ten starszy, elegancki i pewno forsiasty, bo to on zamawiał i płacił, podrywał Jolantę, a Tadek mnie. Zresztą Staszek mniej mi się podobał...

— A Jolancie?

— Powiedziałam panu kiedyś, że Jolanta jest zakochana w Sielczyku. Zatańczy, wypije kieliszek wina i splewia faceta. To jej metoda. A Tadek umówił się ze mną właśnie na trzeciego września.

— A po trzecim wrześniu?

Barbara milczała chwilę.

— Właśnie — powiedziała. — Jeśli już mówię panu tyle, to mogę i więcej...

— Starsi panowie są stworzeni do zwierzeń.

— Starsi panowie — przedrzeźniała — mój Kralski jest niewiele od pana młodszy. Otóż po tym wieczorze nie widziałam już Tadeka. Może się obraził? Byłam dwa razy w „Sputniku”, ale go nie spotkałam.

— A tego drugiego?

— Widziałam. Był w jakimś większym towarzystwie, nie miałam ochoty podchodzić. Zresztą — nawet się nie uklonił.

Milczeli. Siwy jegomość stawał właśnie na ladę czajnik elektryczny. Koleżanka Kralskiej wypisywała kwit.

— Czy to bardzo poważne? — zapytała cicho po chwili.

— Co?

— No, to wszystko... Że ktoś mógł wejść do mnie o pierwszej w nocy.

— Chciałbym porozmawiać z tym chłopcem — powiedział Olszak.

— Nie dostarczę go panu — rzuciła ostro, ale zreflektowała się natychmiast. — Przepraszam. Ja też chciałabym z nim porozmawiać.

— Podobał się pani?

— Trochę. Wysoki, dobrze zbudowany blondyn, jasne oczy.

— Jakies cechy szczególne?

— Boże, ci oficerowie milicji! Przystojny, panie inspektorze. Przystojny. I bardzo sympatyczny.

Nie umiała powiedzieć nic więcej. Odprowadziła inspektora do drzwi. Widział ją jeszcze chwilę przez szybę, nim skręcił w przecznicę.

Mogło na przykład być tak... Chłopak, imieniem Tadek, wziął klucze, gdy usnęła. Wrócił do jej mieszkania o godzinie pierwszej w nocy. Po co wracał? Gdyby z mieszkania Kralskiej coś zginęło, powiedziała by na pewno. Chociaż ta chwila wahania, kiedy wspomniała, że nie miał kluczy... A kiedy on, Olszak, był pierwszy raz u Kralskiej, 4 września rano, szukała czegoś w torebce, jakby zaniepokojona. Może trzeba więc inaczej postawić pytanie. Dlaczego Tadek w ogóle wychodził, jeśli chciał być w tym mieszkaniu o godzinie pierwszej w nocy? Kralaska była pewna, że jej mąż wraca dopiero następnego dnia. Czy powiedziała to partnerowi? A może Tadek wiedział, kiedy zjawi się Kralski?

I pytanie najważniejsze: jaki to może mieć związek z samobójstwem Sielczyka? Godzina pierwsza w nocy. Tadek wchodzi na balkon... młody, zręczny... przeskakuje barierę i jest już na balkonie Sielczyka. I co? Zmusza go do napisania tej nieszczęsnej kartki? W jaki sposób? Dlaczego?

Hipoteza prowadziła do absurdu. A może Tadek chciał być w mieszkaniu Sielczyka po jego śmierci? Ile miał czasu? Kilkanaście minut do przyścia milicji. Mogło wystarczyć. Ale skąd mógł wiedzieć, że Sielczyk wyskoczy przez okno?

Tak czy inaczej — należało przede wszystkim ustalić, kim był Tadek. Zadanie to nie wydawało się inspektorowi zbyt trudne. Natychmiast po przyściu do Komendy wezwał wywiadowcę, sierżanta Marysię Kleję. Dziewczyna obijała się już od paru dni bez poważnej roboty i Kercz miał o to do Olszaka pretensję. „Odstąp ją Ciulikowi — zażądał — jemu zawsze brak wywiadowców”.

— Jest coś? — zapytała Marysia.

— Chodzi o lokal zwany „Sputnikiem”.

Roześmiała się.

— Powinniśmy mieć tam stałego przedstawiciela. Ciągłe się komuś ten „Sputnik” odbija. Niedawno Ciulik posyłał tam Kostrzewskiego. Chłopak przez tydzień wydawał pieniądze na kawę i podrywał dziewczęta. Ale nic interesującego nie poderwał...

— Dobrze, dobrze...

Wyjaśnił jej, o co chodzi. Musi mu znaleźć tego Tadeka, i to dosłownie w ciągu najbliższych godzin. Wiadomo, że drugi, starszy i forsiasty, imieniem Staszek, bywa także w „Sputniku”.

— Zrobi się — powiedziała. — Mam tam chody. Jeśli już chłopak

pojawił się w „Sputniku”, ktoś go musi pamiętać.

Opisał jej Barbarę Kralską, a potem, już z przyzwyczajenia, bo zawsze tak robił, polecił, żeby uważała na siebie. Licho nie śpi, nigdy nie wiadomo, do czego ci ludzie są zdolni.

— Do podrywania dziewcząt — powiedziała Marysia — i do puszczenia forsy. Lubią zapraszać do cudzych samochodów. Nic ciekawego, znam tę paczkę. — Spojrzała krytycznie na swoje pantofle. — Od dwóch tygodni szukam sandałków — stwierdziła — i nic nie mogę znaleźć. Może zając się handlem obuwem?

— To nie nasz resort — powiedział ponuro Olszak. Czekał na swoją kawę, a gdy ją wreszcie otrzymał, odprawił Marysię i zabrał się do czytania raportu Kielki. Kielka nie lubił pisać, lubił opowiadać. Każdy inspektor wiedział, że sprawozdanie wywiadowcy dołączone do akt śledztwa było tylko kiepskim streszczeniem jego rzeczowych obserwacji. „O godzinie 21.30 Antoni Spawacz wszedł do restauracji „Orbis”. W tejże zapodany powyżej usiadł przy stoliku z dwoma mężczyznami, których personalia udało mi się ustalić, a mianowicie: Rowak Tadeusz i Rzepkowski Wincenty, zaopatrzeniowiec fabryki „Anilana”. Awantur albo innego zakłócenia porządku publicznego nie stwierdzono”.

Inspektor z trudem przedzierał się przez tekst raportu. Kielka by to opowiedział inaczej. Oczywiście, trzeba było dać mu dużą filiżankę kawy i maleńki kieliszek. Sierżant pijał niewiele, ale alkohol wprawiał go w dobry nastrój.

— Najpierw, panie inspektorze, zobaczyłem samochód Rzepkowskiego przed hotelem „Orbis”. Znam tego niebieskiego fiata, jeździ

nim już rok, więc pewno niedługo sobie zmieni... i nikt, panie inspektorze, nie zapyta go, skąd bierze forszę. Portiera w „Orbisie” mam zblatowanego, na zasadzie starej przyjaźni, więc powiedział mi od razu, że pan dyrektor przyjechał, jak zwykle, na dwa dni i, jak zwykle, dostał apartament pod szóstką, z łazienką. W tym apartamencie nocowało już paru ministrów i jeden sekretarz KC. Poszedłem na Warmińską i usiadłem sobie przy oknie w kawiarni Rataja. Jest tam taka kelnerka, która myśli, że dla niej przychodzę, i robi do mnie oko. Dała podwójnie wzmocnioną kawę, a ja czekałem sobie spokojnie na niebieskiego fiata. Co prawda bardziej interesowała mnie fabryczna ciężarówka, która przywozi towar do magazynu MHD, ale tacy frajerzy to oni nie są... Głowę bym dał, panie inspektorze, że Rzepkowski odpala Spawaczowi włókno wiskozowe, ale nie mam żadnego dowodu. Fiat przyjechał przed obiadem. Rzepkowski nie należy do tchórzliwych; zaparkował przed sklepem Spawacza i wszedł do środka. Polazłem oczywiście za nim. Targowałem się z blondyną, która tam sprzedaje, o cenę sweterka, aż mi powiedziała, że nie jestem w dobrym tonie. Oni siedzieli w środku, na zapleczu, ściany są cieniutkie, ale nic nie słyszałem. Gadali bardzo cicho. No, niech pan sam powie, panie inspektorze, o czym mogą rozmawiać zaopatrzeniowiec wielkiej fabryki i sklepikarz z Warmińskiej... Musiałem wyjść ze sklepu, potem czekałem na Rzepkowskiego jeszcze z pół godziny. Wrócił do hotelu. Urzędowałem w hallu aż do wieczora, bo byłem przekonany, że jeszcze raz się spotkają. Spawacz przyszedł o dziewiątej i od razu pomaszerował do restauracji. Przy stoliku czekał już ten facet z PIH-u, który ćmi cygara, Rowak. Nie opodal był wolny stolik, zająłem go

natychmiast i zamówiłem ćwiartkę, żeby mi kelner dał na pewien czas spokój. Spawacz i Rowak rozmawiali bardzo cicho, usłyszałem tylko parę słów... Spawacz podniósł głos i powiedział coś w rodzaju: „Pan się myli, panie Tadeuszu, ta blondyna ma piękne nogi”. Potem parę razy powtórzyło się słowo „szachy”. Spawacz mówił o komisie, w którym można je kupić. Kelner przyniósł im ryby w galarecie i jarzębiak. Mnie powiedział, łobuz, że jarzębiaku nie ma. Wypili po kieliszku, Rowak jednym haustem, a Spawacz pomaleńku, widocznie boi się wódki... Nie, panie inspektorze, ja wcale nie twierdzę, że jeżeli ktoś boi się wódki, musi mieć coś na sumieniu. Wtedy właśnie przyszedł Rzepkowski. Pomyślałem sobie, że to bardzo dobra trójka: PIH, prywatna inicjatywa i zaopatrzeniowiec... Rzepkowski i Rowak są ze sobą „na ty”; Rzepkowski powiedział: „że cię znowu widzę”, a Rowak tylko się uśmiechnął. Kelner przyniósł następną ćwiartkę. Na parkiecie tańczono. Zwróciła ich uwagę jedna bardzo ładna cizia. Rowak już chciał wstawać od stolika, żeby ją poprosić do tańca, ale Rzepkowski przytrzymał go za rękę. Potem mówili trochę głośniejsze, bo kelner przyniósł następne pół litra. Rowak powiedział: „Nie widziałem tego listu”. Spawacz: „Przyszła krycha na Matycha”; był już trochę zalany, wstał, opierając się mocno o blat stołu, i ogłosił: „Wypijmy, panowie, za spokój jego duszy”. Rowak także wznosił kieliszek. „Za spokój duszy Konrada Sielczyka” — powtórzył.

Potem Spawacz szeptał coś Rowakowi do ucha, ale ten kręcił głową. Patrzył na mnie. Jakoś tak zbyt długo się przypatrywał, wreszcie wstał i podszedł do mojego stolika.

„Chcę z panem wypić, młody człowieku” — oświadczył.

Powiedziałem, że można, i zapytałem, dlaczego mnie taki zaszczyt spotyka.

„Podoba mi się pańska gęba — oświadczył Rowak. — Nie pasuje do tej roboty”.

„Do jakiej roboty?” — zapytałem i nalałem kieliszki.

„Nasze kawalerskie! — wykrzyknął i poczęstował mnie cygarem. — Cygara — oświadczył — kupione są za własne pieniądze. A panu za wódkę zwracają czy nie?”

Krew mnie zalała, ale zachowałem spokój.

„Niby co pan chce przez to powiedzieć?” — zapytałem grzecznie.

„Nic — zapewnił mnie natychmiast. — Każdy, młody człowieku, ma jakieś hobby. Ja, na przykład, lubię pić za pieniądze Spawacza. Ale pańską wódkę także chętnie piję. Wznieśmy jakiś toast”.

„Może za spokój umarłych” — zaproponowałem.

„Słyszał pan? Stenogram naszej rozmowy nadeślę innym razem. Tymczasem wypijmy za zdrowie mojego przyjaciela, inspektora Olszaka”.

Co miałem robić, panie inspektorze? Wypiłem. Ten Rowak to jakiś dziwak. Za bardzo pewny siebie.

Raport sierżanta Kielki kończył się następująco: „Rachunek za tę luksusową kolację zapłacił Spawacz Antoni. Wynosił (rachunek) 1456 złotych plus 44 złote napiwku dla kelnera”.

Inspektor Olszak zanotował? na kartce: „Szachy. Może właśnie szachy wziął Tadek z pokoju Sielczyka? Ustalić, kto ostatnio przeprowadzał kontrolę sklepu Spawacza z ramienia PIH-u”.

Wersji było już sporo, spraw niejasnych coraz więcej. Dwaj chłopcy



w „Sputniku”, mężczyzna na dworcu, znowu Rowak... Olszak znalazł telefon biurowy Jolanty Kasztel i umówił się z nią na następny dzień w mieszkaniu Sielczyka. Postanowił nie wzywać panny Kasztel do Komendy. Powiedział:

— Chciała pani wziąć jakieś pamiątki z mieszkania narzeczonego. Możemy spotkać się tam jutro.

## 8

Otworzył balkon. Na dziedzińcu było cicho; ktoś, gdzieś na niższym piętrze, wystukiwał jednym palcem na pianinie gamę. Olszak usiadł na tapczanie i wziął do ręki pajacyka. Pomyślał i schował go do kieszeni. Czy Jolanta zauważy brak laleczki? Trzy pajacyki... Sielczyk, Spawacz, jubiler. Prokurator Stefaniak roześmiał się i powiedział: „przypadek”. Olszak pokazał pajacyka Kozłowskiemu; na aresztowanym nie zrobiło to żadnego wrażenia. „Jakaś laleczka — oświadczył. — Nigdy takiej nie widziałem”. Ale Spawacz zbladł. Z trudem się opamiętał, gdy inspektor posadził sobie pajacyka na dłoni.

Podszedł do biurka i raz jeszcze otworzył szuflady. Może coś przeczytał? Ale wszystko leżało na swoim miejscu, nieliczne fotografie i dokumenty, tak jak je tutaj zostawił. Zatrzasnął szuflady. Ciągle odnosił jednak wrażenie, że o czymś zapomniał, coś umknęło jego uwadze. Pomyślał znowu o Kralskiej. Przyszła wieczorem do „Sputnika”. Marysia złożyła rano sprawozdanie. Oczywiście przysiadła się do Barbary, zawarła z nią znajomość, wypily razem kawę. Marysia znakomicie jednak załatwia takie sprawy. Kralaska pokazała jej Staszka.

„Przystojny mężczyzna — stwierdziła Marysia. — Lepszy gość, z branży”. Poznała go. Olszak nie pytał na razie o szczegóły; ten Machulewicz, bo tak się nazywał Staszek, niezbyt go tymczasem interesował. Chodziło o dojście do Tadka. Ale Tadka w „Sputniku” na pewno nie było, Kralska wróciła sama do domu... A Marysia? O to też nie pytał.

Wieczorem poszedł z żoną do kina. Gdy wrócili, Janka jeszcze nie było. Przyszedł dopiero o pierwszej w nocy. Olszak nie spał, słyszał, jak krząta się po kuchni, chciał wstać, zapytać, ale zrezygnował... Poczul się głupio i śmiesznie. Ostatecznie to dorosły mężczyzna, robi to, na co ma ochotę.

Wyszedł znowu na balkon. Zobaczył z góry Jolantę; przecinała ukośnie dziedziniec z betonowych płyt, zatrzymała się chwilę na środku, potem zniknęła w drzwiach klatki schodowej. Otworzył jej drzwi. Podała mu rękę i weszła bez słowa do pokoju. Usiadła przy biurku, widział tylko jej plecy, milczenie trwało dość długo, potem zapytała:

— Czy mogę otworzyć szuflady?

— Oczywiście — powiedział.

Ostrożnie, bardzo powoli, jakby bała się coś uszkodzić, wyjmowała papiery, listy i fotografie. Układała je starannie, segregując.

— Mało tego — powiedział Olszak.

— Nie wiem — odparła — nie wiem, co było w tych szufladach.

— Nie zaglądała pani do nich przedtem?

— Nie — odpowiedziała. — Do mnie należała tylko szafka z naczyniami. — Uśmiechnęła się. — Konrad nie lubił, gdy grzebano w jego rzeczach.

— Nie dawała mu pani fotografii?

— Mówił, że ma mnie, po co mu moje zdjęcia? Konrad nie zbierał pamiątek, w ogóle nie cierpiał jakichkolwiek zbędnych przedmiotów. Tylko to, co użyteczne. Powiedział kiedyś, że w naszym domu nie będzie nigdy żadnych takich idiotycznych drobiazgów, w których lubują się kobiety. — Wstała i podeszła do inspektora. — Wie pan, czasami mnie to przerażało. Czasami bałam się Konrada, nie rozumiałam go...

— Pisała pani do niego listy?

— Parę z wczasów. Wiem, że je niszczył. — Wzruszyła ramionami. — Właściwie prawie nie rozstawaliśmy się, On też nigdy nie pisał. Czasami zostawiał mi kartkę w domu: „Jestem dzisiaj zajęty, nie przyjdę”. Nie dodawał nawet: „Całuję albo ściskam”, nie cierpiał sentymentalnych dopisków, w ogóle wszelkiej egzaltacji.

— A jednak kochała go pani?

— Kochałam — powiedziała poważnie. Usiadła na tapczanie, pogładziła cepeliowską narzutę. — Wierzę, że on mnie też. — A potem zmieniła temat: — Jedyna rzecz barwna w tym mieszkaniu. Ja ją kupiłam.

Olszak usiadł obok niej. Była może nawet ładniejsza od Barbary Kralskiej, lepiej zbudowana, o czystszych rysach twarzy, ale wiał od niej jakiś chłód. Inspektor pomyślał, że Jolanta Kasztel jest zdecydowanie nie w jego typie.

— Czy będę mogła wziąć te papiery? — zapytała.

— Oczywiście — potwierdził. — Co jeszcze chce pani zabrać?

Rozejrzała się uważnie po mieszkaniu. Inspektor śledził jej wzrok.

— Chyba nic więcej — powiedziała. — Może jeszcze tę narzutę, ale

sama nie wiem... Nie będę mogła na nią patrzeć.

Znowu usłyszeli gamę. Ktoś z ponurą monotonią wybijał ją na pianinie.

— Proszę pani — powiedział — zna pani dobrze Barbarę Kralską, prawda?

— To moja koleżanka.

— Dwa dni przed śmiercią Sielczyka byliście panie w „Sputniku”?

Uśmiechnęła się blado.

— Nie pamiętam dokładnie, kiedy to było, ale jeśli Basia powiedziała, że dwa dni przed śmiercią Konrada, to chyba ma rację. Dlaczego pan o to pyta?

— Byłyście wówczas w towarzystwie dwóch mężczyzn...

— Pamiętam ten wieczór — stwierdziła Jolanta. — Konrad nigdy nie miał do mnie pretensji, jeśli wstępowałam wieczorem na kawę, a nawet jeśli trochę potańczyłam. Sądzi pan, że był zazdrosny? Nie... raczej był zbyt pewny siebie. Nie wierzył, że mogę go zdradzić. Czy pan sądzi?...

— Nic nie sądzę — powiedział. — Chodzi mi o tych dwóch mężczyzn. Znała ich pani?

— Przysiedli się do nas, przecież pan wie, jak to bywa... dwie samotne młode kobiety... Niebrzydkie. — Uśmiechnęła się znowu. — Szczerze mówiąc, nie miałyśmy nic przeciwko temu. Obaj byli przyzwojni i grzeczni.

— Nie widywała ich pani przedtem?

— Nie, chyba nie... Może w „Sputniku” — tam zawsze tyle ludzi...

— A nazwiska?

— Zapewne się przedstawili, ale nie zapamiętałam. Jeden miał na

imię Staszek, tańczyłam z nim, a drugi chyba Tadek... Tak, nawet na pewno Tadek. Podobał się Basi.

— Często bywałyście panie razem w „Sputniku”?

— Nie, nieczęsto. Basia jest przecież mężatką. Czasami udawało mi się ją wyciągnąć! Panie inspektorze, dlaczego pan tak wypytuje o Basię? Przecież Basia nie miała nic wspólnego z Konradem.

— Tak, oczywiście — stwierdził inspektor. — Po prostu prowadzę śledztwo i muszę pytać o wszystko. Czy pani nie wie na przykład, jak układały się stosunki małżeńskie Kralskich?

— Chyba nie najlepiej — powiedziała Jolanta. — Sądzę, że on ją zdradzał, a ona udawała, że tego nie dostrzega. Ale Kralski to nieciekawny typ, panie inspektorze. Czasami myślę, że Basia też miała go dosyć. Nie rozumiem jednak związku. Panie inspektorze, co pan podejrzewa?

Inspektor nie odpowiedział. Spojrzał na miejsce, na którym powinien być leżeć pajacyk. Jolanta nie zauważyła jego braku. Przynajmniej nie dała tego po sobie poznać.

— Konrad nie lubił Basi — ciągnęła. — W ogóle nie lubił moich koleżanek. Sam miał mało znajomych.

— Zna pani nazwisko Rowak?

— Słyszałam o panu Rowaku — powiedziała cicho Jolanta. — Kolega biurowy, czy tak?

— Przyjaźnili się?

— Nie sądzą.

— Lubił go?

Jolanta odpowiedziała nie od razu.

— Chyba nie... — stwierdziła wreszcie. — Chyba nie..

— Czy Sielczyk miał znajomych, o których pani mogła nie wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

— Rzadko mężczyzna mówi wszystko kobiecie.

— Narzeczony wyszedł od pani przed dziewiątą. Czy nie spodziewał się żadnych gości? Czy nie mówił pani, że jedzie po kogoś na dworzec?

— Na dworzec? — powtórzyła ze zdumieniem Jolanta. — Nie, panie inspektorze, nie mówił. — Ukryła twarz w dłoniach. — Proszę mi powiedzieć: był na dworcu?

— Niech pani sobie przypomni: może ktoś miał do niego przyjechać, może kogoś oczekiwał?

— Nie, nic nie pamiętam — rzekła. — Wiem tylko, że się śpieszył. Powiedziałam przecież panu, że się śpieszył. „Mam dwanaście minut czasu”. Sama pomyślałam wtedy o pociągu. Ale ciotka nigdy do niego nie przyjeżdżała. Może nie chciał mówić ze względu na moją przyjaciółkę? — zastanowiła się.

— Może — potwierdził Olszak. Wstał i przeszedł się po pokoju. Jeszcze raz spojrzął na papiery i fotografie leżące na stole, na półki z równiutko poukładanymi książkami. — Pani Jolanto — powiedział — niech pani się dobrze rozejrzy po pokoju. Czy niczego w nim nie brakuje? Bywa tak, że rzuca się w oczy brak Jakiegoś drobiazgu, charakterystycznego szczegółu. Niech pani się zastanowi.

Jolanta podniosła się z tapczanu i spacerowała po pokoju. Podeszła do półki z książkami, do biurko, polem spojrzała na tapczan. Poglądziła znowu cepeliowską narzutę.

— Nie — powiedziała — chyba wszystko jest, jak było. Niczego nie brakuje.

— Jest pani pewna?

— Tak, jestem pewna.

Olszak sięgnął do kieszeni i wydobyl pajacyka. Posadził go sobie znowu na dłoni. Obserwował Jolantę, ale jej oczy były puste, nic nie wyrażały.

— Co to jest? — zapytała.

— Szmaciany pajacyk — powiedział. — Czy nie widziała pani nigdy takiego pajacyka?

Krótkie wahanie. Chyba się nie mylił, na pewno wahanie.

— Nie widziałam — stwierdziła. — To jakaś maskotka.

Olszak posadził pajacyka na tapczanie. Dobrze nawet pasował do kolorowej narzuty.

— Był tutaj — oświadczył.

— Nie. Konrad nie cierpiał maskotek, lalek. Nigdy nie miał takiego pajacyka.

Inspektor ostrożnie zdjął pajacyka z tapczanu i włożył do kieszeni spodni. Po chwili wyjął go i przełożył do marynarki, jakby w tym momencie szmaciana laleczka awansowała i wymagała znacznie więcej szacunku.

— Jeszcze jedno pytanie. Jakie papierosy palił pan Sielczyk?

— Żadnych — odparła spokojnie. — Nie cierpiał papierosów, mówił, że dlatego nie lubi kawiarni, bo pełno w nich dymu.

— A jednak przed śmiercią palił. Odciski palców na niedopałku, który znaleźliśmy, odpowiadają odciskom zdjętym ze zwłok. To był francuski papieros — gaulois.

— Nie rozumiem — powiedziała Jolanta i wstała. — Konrad nigdy przy mnie nie palił.

Wychodzili razem. Na ulicy przed domem stała syrenka Jolanty. Otworzyła drzwiczki i zaprosiła inspektora do wnętrza.

— Odwiozę pana — powiedziała. — Jeśli oczywiście nie boi się pan.

— Nie boję się — powiedział Olszak, ale usiadł na tylnym siedzeniu.

Jolanta przekreśliła kluczyk; wóz szarpnął, nim ruszył. Olszak wydobyl sporty i zaczął szukać zapalek. Wyjechali na Partyzantów i stanęli przed sygnalami na skrzyżowaniu ze Świerczewskiego. Znalazł wreszcie zapalki, ale Jolanta znowu wystartowała zbyt ostro, jeździła jednak nerwowo i pudełko poleciało na podłogę. Olszak schylił się z trudem, ostatnio schylał się z trudem, odsunął butem wycieraczkę i pod nią, już niedaleko ściany, zobaczył strzep twardej tekturki. Podniósł. Był to skrawek kwitu bagażowego, takiego, jaki obsługa przytwierdza do walizek przed podróżą lotniczą. Na kwicie był numer i data. Nie wiedział jeszcze, czy czytelna.

— Co pan znalazł? — zapytała Jolanta. Stali już przed Komendą. Musiała go obserwować.

— Kwit bagażowy — powiedział od razu.

Była zdumiona.

— Kiedy pani czyściła ostatnio samochód?

— Pierwszego. Pamiętam, bo mogłam pojechać na przegląd dopiero po wypłacie. Teraz też przydałoby się, ale nie mam głowy... Rozumie pan.

— Rozumiem — potwierdził. — Nie wozila pani nikogo, kto mógłby mieć na walizce odcinek kwitu bagażowego? — zapytał.

Gdy zaprzeczyła, pomyślał: Jeśli Sielczyk był po kogoś na dworcu i



jeśli przywiózł go potem do siebie... ta ten kwit... może być śladem. Jedynym śladem prowadzącym do mężczyzny, który, jak twierdzi dozorczyńni, nosił „fikuśne buty”.

## 9

Z kranu monotennie ciekła woda. Ledwie ciepła. Trzeba będzie znowu zawołać kogoś do przeczyszczenia rusztu w piecyku — pomyślał Olszak i westchnął, bo stanęła mu przed oczyma czekająca go wędrownka w poszukiwaniu specjalisty, który zanim przyjdzie, żeby podłubać drucianą szczotką koło piecyka gazowego i zainkasować swoje sto złotych, będzie przez dłuższy czas nieuchwytny. Trzy albo cztery razy Olszak pójdzie do administracji, żeby się dowiedzieć, że monter właśnie wyszedł albo jeszcze nie przyszedł, wreszcie go spotka i klnąc się w duchu, wsunie mu w utyłaną smarem łapę dwadzieścia złotych, mówiąc: „Ma pan tu adres, żeby pan nie zapomniał”. I dopiero wtedy specjalista od czyszczenia piecyków gazowych, jedyny na osiedlu i ceniący się jak profesor rzadkiej specjalności, odwiedzi jego mieszkanie. Wypisze potem tasiemcowy rachunek przez dwie kalki, a Olszak zapłaci, ile trzeba, nie wspominając oczywiście o tamtym dwudziestaku, jako że między ludźmi na określonym poziomie nie toczy się rozmów na tematy trywialne. Cóż robić — człowiek robi się na starość konformistą — jeszcze dwadzieścia czy piętnaście lat temu nie dałby drobnej łapówki facetowi, który zarabia pewnie więcej od niego i który powinien wyczyścić mu ten cholerny piecyk, ponieważ należy to do jego obowiązków, tak jak do obowiązków Olszaka należy

łapanie bandytów i morderców albo szukanie powodów samobójstwa spokojnych magistrów ekonomii...

No tak — zreflektował się — ale piętnaście lat temu nie miał w mieszkaniu gazu, mieszkali wtedy we trójkę w parometrowym pokoiku z wiecznie dymiącą „kozą” na środku. Oczywiście Olszak mógłby nie dawać monterowi „swego adresu”, ale wtedy czekałby na niego miesiąc albo dwa, a na to nie może sobie pozwolić. Przywykł do wieczornego bardzo gorącego tuszu i nie usnąłby bez niego. Jedyne „luksus”, na jaki sobie pozwala. „Tata zmywa z siebie brudy świata przestępczego” — powiedział kiedyś Janek i kto wie, czy w tym żartobliwym powiedzeniu nie tkwi odrobina prawdy.

Zakręcił kran, woda istotnie jest coraz zimniejsza — jutro rano po drodze do Komendy będzie musiał zawadzić o administrację. Odstawił ostatni talerz, wyjął czystą ściereczkę i zaczął wycierać naczynia. Zmywanie po obiedzie i troska o konserwację urządzeń domowych należą do jego stałych obowiązków. Janek zmywa po śniadaniu i kolacji, a także pastuje parkiety, żona w drodze z biura robi zakupy i gotuje obiad. Każde z nich ma swoje obowiązki i Olszak nie czuje się wcale pokrzywdzony tym, że po obiedzie musi przypasać fartuszek w kwiatki. Wydaje mu się sprawiedliwe, że jeśli oboje pracują — oboje muszą dźwigać ciężary codzienności. I nawet polubił te swoje codzienne pół godziny nad zlewozmywakiem — jest sam, może sobie pozwolić na leniwe myślenie o niczym, oderwać się od spraw Komendy i wydziału, które potem, gdy wróci do pokoju i zagłębi się w starym wygodnym fotelu, obstąpią go znowu, choć będzie je usiłował odgonić, udając, że czyta gazetę albo ogląda telewizję.

Weszła Grażyna ze szklanką i książką. Nie musiał patrzeć na tytuł, żeby wiedzieć, że to podręcznik kierowcy-amatora. W jej biurze zorganizowano właśnie kurs, pasjonowała się różnicą między budową dwutaktu i czterotaktu.

— Napiłabym się kompotu — powiedziała.

— Wrzucę ci kostkę lodu — odparł i cmoknął ją w policzek. Była niezbyt ładna, choć właściwie przez te dwadzieścia parę lat wspólnego pożycia niewiele się zmieniła. Tak samo szczupła i drobna, schludna i nie rzucająca się w oczy. Tylko włosy straciły połysk i barwę. Dwadzieścia pięć lat temu miała piękne włosy.

— Przepytasz mnie z zasad ruchu?

— Może wieczorem. Będę musiał wyjść. Aha, zapomniałem ci powiedzieć — wpadnie tu Maryśka.

— Chcesz, żebym wyniosła się z pokoju? — zapytała po prostu.

— Skądże, ucz się. W tym domu będą trzy osoby z prawem jazdy i ani jednego samochodu, w kraju jest pięć razy więcej praw jazdy niż pojazdów. A może — dodał niespodziewanie dla siebie — zdecydujemy się na tę syrenkę? Musimy to jeszcze obgadać.

— Jeśli będziesz miał kiedy wolne pół godziny — uśmiechnęła się.

— A Marysi daj kawy i nie zapomnij, że ona lubi z mlekiem.

Znów został sam; stos talerzy topniał powoli. Żony nie zaskoczyła wizyta Maryśki, jej już nic nie potrafi zdziwić — ani telefon zrywający go o czwartej rano, ani nawet to, że zastała kiedyś rano drzemiącego w kuchni porucznika Kulicza, któremu Olszak kazał na siebie czekać. Nie dziwił jej pękate teki przesłuchań, które przynosi do domu i przegląda do późna w noc, zasłaniając abażur lampy gazetą, aby światło

nie przeszkadzało jej spać. Znała współpracowników męża, przynajmniej tych, z którymi pracował najczęściej, przyzwyczała się już do tego, że Olszak poszerzał swój pokój na czwartym piętrze Komendy Wojewódzkiej o ich prywatne dwa pokoje z kuchnią. Wy tłumaczył jej kiedyś, że pracownicy, których posłał dla spenetrowania interesujących go akurat środowisk, nie powinni kręcić się w pobliżu Komendy, ponieważ wtedy istnieje możliwość dekonspiracji. W Komendzie od dawna mówi się o zainstalowaniu paru punktów dla spotkań na mieście, ale kończy się na gadaniu, bo mieszkań jest ciągle za mało i kiedy wreszcie przewodniczący Rady Narodowej, płacząc straszliwie; da przydział, to okazuje się właśnie, że komuś z Komendy mieszkanie jest absolutnie niezbędne. W ostatnim punkcie kontaktowym na tym nowym osiedlu za torami, gdzie parę dni temu wyskoczył z okna Sielczyk, zainstalował się porucznik Kulicz, którego żona uszczęśliwiła bliźniakami. On dotychczas mieszkał w hotelu, ona w domu akademickim, byli typowani na kawalerkę, ale te bliźniaki przesądziły sprawę. Olszak wie, że nie można było inaczej, sam poszedł do szefa w sprawie mieszkania dla Kulicza, ale to nie zmienia faktu, że będzie musiał we własnej kuchni przyjąć Maryškę Kleję, starszego sierżanta służby wywiadowczej o buzi rokokowego amorka.

Ustawił wytarte szklanki na półce, spojrzął na zegarek, zaraz powinna nadejść, wymagał od swoich ludzi punktualności. Postawił na gazie ekspresik do kawy, dostał go od człowieka, którego omal nie postawił w stan oskarżenia za otrucie żony kawą właśnie z tego ekspresiku. To była sprytna robota. Gdyby nie jakiś wewnętrzny niepokój, gdyby nie to, że konstrukcja omotania tego człowieka wydawała

mu się nazbyt precyzyjna — ekspresik stałby na stole sędziowskim w charakterze dowodu rzeczowego. Udało mu się wtedy, choć cały czas poruszał się jakby w lepkiej i oślizłej mgle. Zna to uczucie. Instynkt? Szósty zmysł? Coś mi tu śmierdzi — myśli w takich sytuacjach Olszak i w tym lapidarnym skrócie zawiera cały swój niepokój, wszystkie wątpliwości. Ostatni raz pomyślał tak, kiedy zobaczył tego idiotycznego pajacyka znalezione pod obrabowanym sklepem jubilera, takiego, jak ten w mieszkaniu samobójcy, a potem w sklepie z ciuchami, którego właścicielem jest ten lord angielski o proletariackim nazwisku Spawacz.

Zapalił papierosa, czekając, aż kawa zacznie kipieć.

Z pokoju Janka dobywał się jazgot młodzieżowej muzyki. Wiedział, że to właśnie „popołudnie z młodością” transmituje codzienną porcję decybeli. Najdziwniejsze — pomyślał — że Janek w tym hałasie potrafi pracować.

Marysia uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła szefa w fartuszkach w kwiatki, udał, że nie zauważył tego uśmiechu, podsunął jej filiżankę kawy z mlekiem.

— Co ciekawego?

— Sacha Diestel — zastanowiła się głośno.

— Co? — nie zrozumiał.

— To chyba śpiewa Sacha Diestel — powtórzyła wskazując brodą ścianę, zza której ktoś wydawał niezbyt artykułowane dźwięki.

— To zabawne — odparł. — Mój syn także twierdzi, że to śpiew.

— Konflikt pokoleń — roześmiała się. Otworzyła teczkę i położyła na stole szmacianego pajacyka.

— Czwarto — powiedział. — Skąd to masz?

— Pożyczyłam od mego adoratora, który pana zainteresował. Mam

nadzieję, że pan Machulewicz nie zauważył braku. W przedpokoju ma tekturowe pudło, w którym jest ze sto tych arcydzieł dobrego smaku. Nie miałam czasu policzyć.

Olszak przyjrzał się pajacykowi, dopiero teraz uświadomił sobie, że laleczka jest szpetna.

— Więc byłaś u niego w mieszkaniu. Poderwałeś go? — tak to się zdaje się mówi.

— Przepraszam, szefie, to on mnie poderwał, to nie było trudne — lubi nieduże blondynki o głupiutkich oczach.

Jest ładna i inteligentna, a jej oczy, może trochę zbyt okrągłe, wcale nie są głupiutkie i choć Wyrażają wieczne zdziwienie światem — potrafią dużo zobaczyć. Olszak mógłby jej to teraz powiedzieć. Ale choć potrafi uszanować jej niezbyt regulaminowy styl raportu, nie potrafi wyjść ze skóry szefa, a może nie ma ochoty.

— A on? Co to za facet? — Pytanie zabrzmiało sucho, może odrobinę zbyt oficjalnie.

— Playboy — najkrócej mówiąc. — Marysia nie zamierzała zmienić tonu. — Gabłota — lancia z odsuwającym dachem, chata z reprodukcjami golasków Mai Berezowskiej, magnet — philips czterościeżkowy, dobre nagrania big-beatu, w barku cudzoziemskie alkohole... Ale mnie potraktował jak smarkulę, nie mogę powiedzieć, żeby w tym wypadku sprawiło mi to przyjemność — nalał mi z butelki white horse zwyczajnej pliski...

Olszak wiedział oczywiście, że Marysia ma dwadzieścia siedem lat i sześciolatniego syna, ale gdyby nie ankieta personalna, trudno by mu w to było uwierzyć, wyglądała na osiemnastu-dwadzieścia, nosiła się modnie, nawet nieco ekstrawagancko. Nic dziwnego, że Machulewicz kupił legendę, jaką sobie stworzyła: dwudziestolatka z prowincji,

bogaci rodzice, nudni okropnie, a ona pragnie zakosztować wielkomiejskiego życia.

— Poza tymi pajacykami — nic ciekawego. Pajacyki zresztą prawdopodobnie z jego wytwórni. Od pięciu lat prowadzi fabryczkę zabawek. Parę lat temu miał nawet kontrakt z Prodimexem na produkcję eksportową. Wiem także, kto kupował te szkaradzieństwa. Sprawdziłam w wydziale kapitana Miazgowskiego — zajrzała do notesika — nic specjalnego. Cztery lata temu miał jakąś sprawę karno-skarbową: zatajenie dochodów czy coś w tym rodzaju. Skończyło się grzywną. Nie notowany.

— Wiem — kiwnął głową. — A w „Sputniku”?

— Zmienili orkiestrę — wypila łyk kawy. — Znam tego nowego perkusistę. Obiecał mi dowiedzieć się czegoś. Chłopak jest dyskretny — ręczę. Nie musiałam się zbytnio dopytywać o Tadka, bo robi to za mnie Basia Kralska. Zaprzyjaźniłam się z nią — mówiłam już panu. Biedna dziewczyna. Ona go naprawdę kocha.

— Tego Tadka, który rozplynął się w powietrzu?

— Pan ani trochę nie zna kobiet, szefie — powiedziała poważnie. — Ona kocha męża. — Wstała. — Przykro mi, że przynoszę niewiele. Może jeszcze coś wyniucham u Machulewicza. Wczoraj musiałam się szybko wynosić: ten pan przywykł do blitzkriegu i łatwych zwycięstw... Oczywiście dałam mu nadzieję; gdyby nie to, że nie lubi pan slangu młodzieżowego, powiedziałabym, że facet się okropnie podpałił. Nie może mieć do mnie pretensji, dziewczyna z prowincji ma prawo mieć opory przy pierwszej wizycie, prawda?

— W porządku — powiedział. — Wcale tak mało nie przyniosłaś — podrzucił na dłoni szmacianego pajacyka.

Żeby jeszcze wiedział, co to brzydactwo znaczy — myślał po jej wyjściu. — Bo przecież musi coś znaczyć. U nieboszczyka pajacyk, u Brokata także — tyle że z wydlubanym okiem. Czy to wydlubane oko ma jakieś znaczenie? Jubiler Brokat nie przyznaje się do pajacyka; dokonano na niego napadu, zabrano srebro wartości trzydziestu-czterdziestu tysięcy. Czy między tym włamaniem a pajacykiem jest jakiś związek? Z kolei pan Spawacz przyznaje się do pajacyka, a nie przyznaje się do tego, że dokonano u niego włamania. Było włamanie czy nie? Jeśli nie, to skąd samooskarżenie tego chłopca? Bał się czegoś, zgoda. Może nawet chciał się schronić w milicyjnym areszcie — nie takie rzeczy się widziało w czasie dwudziestu lat milicyjnej roboty. Jeśli człowiekowi grozi niebezpieczeństwo, wybiera mniejsze zło. Zamknięcie w areszcie jest mniej przykre niż na przykład zmiżdżenie przez pociąg. A Kozłowski twierdzi, że się potknął, jeśli dopuszcza możliwość, że ktoś go popchnął, to jedynie przez przypadek. Ale chyba nie jest takim idiotą, żeby przypuszczać, że milicja go zamknie wyłącznie na podstawie przyznania się do winy. Chyba że chciałby posiedzieć tylko parę dni. Mało prawdopodobne. O włamaniu mówi z taką pewnością, sypie szczegółami... Dlaczego więc poszkodowany milczy? — Wpatrywał się w zrobione z koralików oczka pajacyka, jakby chciał w nich znaleźć odpowiedź.

I tak zastał go Janek. Siadł na taborecie, bez pytania sięgnął po ojcowskiego papierosa. Wymownie spojrzął na stos niedopałków w popielnicze.

— Nie mów matce — powiedział Olszak. Wstał i opróżnił popielniczkę. Nie powinien tyle palić, dobrze o tym wie. Żona toleruje kawę,



nieregularne posiłki, gotowa nawet darować zarywanie nocy, ale o papierosy toczy nieubłaganą walkę. Żądała, by nie przekraczał dziesięciu dziennie. Wytargował na dwadzieścia, ale rzadko udaje mu się dotrzymać słowa. Dwie, a nawet trzy paczki w ciągu dnia, jeśli ma jakąś ciężką sprawę. Taką jak teraz na przykład, kiedy nie ma nic, czego można by się uchwycić.

— Personel ci wyładniał — dotarł doń głos Janka. — Zauważyłeś to chociaż?

— Myślałem, że, lubisz brunetki.

— Już wiesz? Matka?

— Widziałem was kiedyś. Byliście sobą tak zajęci...

— Eh, tam — zachnął się — zaraz zajęci. Pewnie gadaliśmy.

— Ładna — powiedział Olszak niepewnie. Nie przyjrzał się nawet dziewczynie, z którą widział Janka na ulicy.

— Niezła, rzeczywiście. Ta Kaśka też dobra, może lepsza. Spotykam ją w „Sputniku”, tańczyłem z nią nawet kiedyś. Jej mąż musi być cholernie tolerancyjnym, facetem, że pozwala jej przyłazić do tego „Sputnika”. Tam tylko czekają, wiesz, tacy porządnie nadziani starsi panowie.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że Janek mówi o Marysi Klei. To jasne — Marysia idąc do „Sputnika” wymyśliła sobie jakieś imię i nazwisko. Nie miał ochoty wyjaśniać Jankowi komplikacji jej życia, o których ona zresztą także nie lubiła mówić. Wiedział tylko, że Marysię opuścił mąż i sama radzi sobie z wychowaniem dzieciaka, nie przyjmując nawet od byłego małżonka alimentów.

— Tak — powiedział, żeby nie przerywać rozmowy; w końcu nieczęsto

zdarzało mu się rozmawiać z synem — Marysia ostatnio często bywa w „Sputniku”.

— Ostatnio — roześmiał się. — Od dwu lat co najmniej. Ona ma na imię Marysia? Mówią na nią Kaśka — sam słyszałem.

— Od dwu lat? — zdziwił się naprawdę. Niewiele wie o życiu prywatnym swoich ludzi. Dlaczego właściwie ma nie przychodzić do „Sputnika” — może lubi tańczyć? A to w mieście jedyne miejsce, gdzie może wpaść wieczorem samotna dziewczyna. Nie mówiąc już o tym, że można tam nawiązać korzystne znajomości, które się czasem przydadzą w robocie. Marysia dostała niedawno awans na starszego sierżanta za rozpracowanie gangu młodocianych złodziei samochodów. Kto wie, czy „Sputnik” jej w tym nie pomógł — w tej młodzieżowej taniebudzie musi się dziać wiele ciekawych rzeczy.

— Zaczekaj — tknęło go coś — i zawsze mówili do niej „Kaśka”?

— Jak mają mówić? — teraz Janek się zdziwił. — Może nie podoba się jej prawdziwe imię? Znałem jedną Mariolę, która okazała się potem Kazimierą. W „Sputniku” dowodów osobistych się nie sprawdza. Mówi się „jestem Mariola” i jest się Mariolą. Powinieneś się kiedyś wybrać do „Sputnika”.

— Chyba to zrobię, może jeszcze dziś — spojrzał na zegarek. — Podsunąłeś mi pewien pomysł... Słuchaj — naraz uświadomił sobie powód, dla którego Janek siedzi z nim w kuchni zamiast słuchać Sachy Diestela — jak u ciebie z forszą?

— Prawdę mówiąc — rozpaczliwie.

Wyciągnął portfel, zajrzał do przegródki, w której trzymał pieniądze przeznaczone na wydatki osobiste, wyciągnął setkę, obliczając

równocześnie, ile dni zostało do pierwszego.

— Wiesz, że odkładamy na syrenkę — powiedział usprawiedliwiająco i zły był na siebie, że się usprawiedliwia. — Więcej nie mogę.

— Dobra jest — powiedział Janek. — Jak chcesz, to mogę ci codziennie podsuwać pomysły.

## 10

Mimo późnej pory zastał w laboratorium technika, kazał mu na poczekaniu powiększyć zdjęcie z dowodu Kozłowskiego i z paroma odbitkami w kieszeni ruszył w kierunku „Sputnika”.

Młodzieżowa tancbuda mieściła się przy brzydkim, zabudowanym z piętnaście lat temu placu, który był wojewódzką miniaturą warszawskiego placu Konstytucji. W planie były nawet kandelabry, ale zanim je zrobiono, zmieniła się moda w architekturze i plac tonął w ciemności, strasząc wiosną i jesienią okropnymi przeciągami. Od Komendy był spory kawałek, powinien był właściwie wsiąść w tramwaj, ale wieczór był ładny i ciepły, przypomniał sobie zalecenie doktora i postanowił się przejść. Była pora ostatniego seansu w kinach, na ulicy sporo młodzieży, rosiej, dobrze ubranej, zawadiackiej.

Olszak szedł powoli, nie spiesząc się, myślał trochę o rozmowie z żoną. Uparia się jednak na ten samochód. Jeśli uda mu się do wiosny zgromadzić na pierwszą wpłatę, to zaryzykuje. Zostanie potem trzydzieści sześć rat po tysiąc pięćset albo i więcej miesięcznie. Czy dadzą

radę? Najwyżej nie starczy na benzynę...

Nikt z mijających go obojętnie przechodniów nie rozpoznałby inspektora wydziału śledczego milicji w tym podtatusiałym, ubranym w workowaty garnitur mężczyźnie. To zabawne, ale każde ubranie wisi na nim jak worek. Przywykł ubierać się zwyczajnie w konfekcję, kiedyś przed laty przydzielaną na talony, później z trudem kupowaną w sklepach oznaczonych numerami, ostatnio zaś w salonach odzieżowych o ekskluzywnych nazwach „Gentleman” czy „Mister”, ale każde, najlepiej nawet wyglądające na manekinie ubranie stawało się, gdy włożył je Olszak, popielatowym (lubił ten kolor) workiem. Kiedyś, gdy mieli trochę wolnych pieniędzy (między kupnem pralki a początkiem rat za telewizor — przypomniał sobie), żona zaprowadziła go do najlepszego w mieście krawca, Olszak zapłacił za uszycie tyle, że mógłby mieć dwa garnitury ze sklepu, ale po trzech dniach okazało się, że ubranie upodobniło się do dotychczasowych. Grażyna machnęła ręką, a jemu nigdy to nie przeszkadzało. Prawdę mówiąc, strojenie się uważał za niegodne mężczyzny i gniewało go, że Janek nieco zbyt dużą wagę przywiązuje do non ironów i jerseyów.

Na narożnym budynku nie paliła się pierwsza litera w neonie klubu, grupki wyrostków, nazywanych ostatnio „nastolatkami”, okupowały wejście. Rozsunął młodych ludzi, platynowa blondynka przy stoliku sprzedawała karty wstępu.

— Dla członków klubu po dziesięć, dla pozostałych po dwadzieścia. Pan chyba nie jest członkiem klubu? — wyszczerzyła do niego zęby.

W milczeniu położył dwie dziesięciozłotowe monety. Mógłby okazać legitymację, ale wolał tego nie robić. Licho wie, z kim ta podstarzała piękność utrzymuje kontakty. Nie wygląda na osobę dyskretną, a Olszakowi najmniej zależy na tym, żeby zainteresowanie milicji młodzieżowym klubem „Sputnik” stało się powszechną tajemnicą.

— Pan na górkę czy na dołek? — zaszcebiotała tleniona. — Starsi panowie wolą na antresolę, lepiej widać. Ale może pan woli bliżej parkietu.

— Może być na antresoli — powiedział Olszak. Schował do kieszeni kartonik z wypisanym numerem miejsca, zauważył, że blondynka skreśliła na leżącym przed nią diagramie jego numer, minął gipsowy, pomalowany srebrną farbą model sputnika, który patronował klubowi, i wspiął się wąskimi, imitującymi marmur schodami na antresolę. Otaczała ona całą salę na poziomie trochę niższym niż pierwsze piętro, środek był wolny od stolików, kłębiły się tam teraz podrygujące rytmicznie pary. Zamówił u przechodzącej kelnerki kawę, zauważył, że drugie miejsce przy jego stoliku jest zajęte, świadczyła o tym nie dopita kawa i nadjedzone ciastko. Jego towarzysz, a może towarzyszka, bawi się teraz na dole.

Spojrzał przez balustradę w dół, jakby chciał znaleźć tam kogoś wśród tańczących. Ale widział tylko zmierzwione fryzury dziewczyn i chłopaków, niekiedy jednakowej długości, czasem tylko, jak skalista wysepka, błysnęła mu łysinka któregoś ze starszych podrywaczy, o których mówił mu Janek. Pewnie dostanie za towarzysza któregoś z tych gości. To może być nawet interesujące. Sięgnął do kieszeni po

papierosy, natrafił dłonią na zdjęcia. Wyjął jedno i położył obok siebie na stoliku. W końcu to zdjęcie jest powodem albo raczej pretekstem do odwiedzin „Sputnika”. Jeszcze raz spojrzął w dół, czy nie dostrzeże wśród tańczących Basi Kralskiej, której by chętnie pokazał tę fotografię, ale orkiestra skończyła właśnie grać i parkiet nagle opustoszał. Usłyszał za sobą nieco posapujący oddech. Odwrócił się, żeby poznać współtowarzysza wieczoru, i zdumiał się. Wszystkiego by się spodziewał, z wyjątkiem spotkania w tym miejscu tego faceta.

— Witam pana kapitana — ukłonił się Rowak. Machinalnie poprawił śnieżnobiałą chusteczkę w kieszonce marynarki, wyciągnął dłoń do Olszaka. Była chłodna, miękka i nieprzyjemna w dotyku. — Pan kapitan już coś poderwał? A może służbowo?

— Prywatnie — powiedział Olszak — i dlatego proszę bez tytułów.

— W porządku. Muszę przyznać, że nie oczekiwałem spotkania z panem w tym miejscu, chociaż przecucie mi mówiło, że prędzej czy później do spotkania musi dojść. — Usiłował zapalić cygaro.

— Tak pan przypuszczał?

— Wie pan — uśmiechnął się Rowak — mam pamięć ludzkich twarzy. Trening, można powiedzieć, zostało mi to z okupacji. Jeśli łązi za mną przez trzy dni taki młody człowiek z nieco zadartym nosem, jeśli spotykam go rano, w drodze do pracy, i wieczorem, troszkę tylko przebranego, kiedy wypijam parę kieliszków w restauracji, to muszę się domyślić, że któregoś dnia zechce się ze raną zobaczyć kapitan Olszak osobiście.

— Pan działał w konspiracji? — Olszak nie podjął tematu.

— Nie posądzałby pan mnie o to, co? Kontroler PIH-u i konspiracja. I to nie zwyczajna konspiracja, panie Olszak. Kedyw, batalion „Kormoran”. Pan wie, czym się zajmowaliśmy.

— Wywiad, likwidacja zdrajców.

— Nie tylko. Także tropienie prowokacji we własnych szeregach, coś w rodzaju kontrwywiadu wojskowego. Dwa Krzyże Walecznych i Virtuti piątej klasy. To Virtuti mi się przyda, kiedy pójde na rentę. Dwadzieścia pięć procent większa emerytura, to się liczy. Śmieszne, nie? — Przetarł okulary.

— Bo ja wiem — bąknął Olszak. Usiłował sobie wyobrazić tego szarego mężczyznę w wyświeconym garniturze, w zawiązanym na nieforemny węzeł krawacie, o niezbyt starannie ogolonych policzkach, jako żołnierza podziemnej armii, tej części armii, której przeznaczeniem były zadania najcięższe: wykonywanie wyroków, tropienie zdrajców.

— Jest tu taka niezła blondynka — dobiegł go głos Rowaka — tłuściutka. Lubi pan tłuściutkie?

— Jestem żonaty.

— I to panu przeszkadza lubić tłuściutkie blondynki? To po co pan tu w takim razie?

— Lubię popatrzeć na młodzież.

— I uwielbia pan big-beat? — skrzywił się Rowak. — Więc jednak służbowo. — Nim Olszak zdołał się zorientować, sięgnął po zdjęcie leżące na szklanym blacie stolika. — Ten młody człowiek nazywa się Kozłowski, jeśli się nie mylę? Widywałem go tutaj. Ostatnio nie przychodzi. Miał przykry wypadek, słyszał pan o tym?

— Tak? — zdziwił się Olszak.

Oczywiście wiedział, o jakim wypadku tamten myśli.

Zdziwiło go, że Rowak zna Kozłowskiego i wie o tym, co zdarzyło się na dworcu. A jeszcze bardziej, że Rowak przyznaje się do tej znajomości. Cóż może łączyć starego urzędnika z dwudziestoparoletnim chłopakiem, wykolejonym bądź na najlepszej drodze do wykolejenia, byłym studentem, pracownikiem jakiejś podejrzanego wytwórni galanteryjnej? Niedługo musiał czekać na odpowiedź.

— Jego matka jest sekretarką naszego dyrektora, wie pan, taka typowa wdowa wychowująca jedyne dziecko. Tony uczuć, jakimi dysponowała, musiały szczeniakowi skrócić kręgosłup. Przychodzi czasem do biura, jak nie ma grosza przy duszy, a ta idiotka mu nigdy nie odmawia. Tonie w długach. Takie matki to niebezpieczeństwo społeczne, nie uważa pan?

— Od niej dowiedział się pan o wypadku chłopaka?

Rowak nie odpowiedział. Przypatrzył się zdjęciu, oddał Olszakowi.

— Interesuje się już nim milicja, tak to się musiało skończyć. Czego oni chcą, ci młodzi? Wszystko od razu? Pieniądze, dużo pieniędzy, szybkie samochody, a może oni mają rację? — pochylił się ku Olszakowi. — Może oni wiedzą, jak należy żyć? Myśmy naszą młodość przestrelali, a potem posadzono nas za biurkami. Niech pan nie przerywa — poprosił widząc zniecierpliwiony gest Olszaka — przecież i pan kiedyś strzelał, rządził pan jakimiś ludźmi, miał pan władzę, prawdziwą władzę. Ja byłem dowódcą plutonu. Gdybym któremuś z moich chłopaków kazał skoczyć z mostu, nie pytałby dlaczego. Skałałby z mostu.

— Albo z balkonu ósmego piętra...

— A teraz — zignorował uwagę Olszaka — a teraz obaj, proszę pana, siedzimy za biurkami i czekamy na emeryturę, i przeliczamy



nasze ordery na dwudziestopięcioprocentowy dodatek do renty. Więc może oni mają rację, ci młodzi, że chcą mieć pieniądze, mieszkania, samochody, bo przecież pan wie, że mimo wszystkie zmiany ustrojowe pieniądze się teraz liczą, znowu się liczą. Mieć milion — to tak jak dwadzieścia pięć lat temu dobry rozpylacz, a może i więcej. Każdego można kupić, no, prawie każdego — poprawił się i pociągnął łyk kawy z filiżanki.

— Podobno Sielczyka — powiedział Olszak — nie można było kupić. Może dlatego nie żyje. — Zaczęła go wciągać ta rozmowa.

— Nie wiem — wzruszył ramionami. — Mówiłem już, że nie lubię takich facetów o bardzo czystych rękach. Szczerze mówiąc, brzydzę się takimi facetami. Wydają mi się podejrzani. Ale wiem, że gdybym miał forszę, tobym dzisiaj wyszedł z tego lokalu z najlepszą dziewczyną, bo ta tłuściutka blondyna, o której panu przed chwilą mówiłem, ma szpetnego pryszcza na czole. A mimo to będę zadowolony, jeśli uda mi się wyjść z nią dzisiaj. Właśnie dlatego, że na ulicy nie czeka na mnie auto, że w najlepszym razie pojedziemy do mnie taksówką. Nudzę pana?

— Przeciwnie — powiedział Olszak.

— Od czasu do czasu człowiek ma ochotę się przed kimś wywnętrzyc. Może dlatego czasem zazdroszczę żonatym, że się mają przed kim wygadać. Często pan tu przychodzi?

— Pierwszy raz — przyznał Olszak.

— Ja co tydzień. Te młode dziewczyny podobają mi się, bo nie myślą o wychodzeniu za mąż. Brak problemu. Staram się nie spotykać z żadną częścią jak trzy razy. Na ogół mi się udaje. Kiedy zagrają

znowu, możemy zejść razem. Ta blondynka siedzi z koleżanką. Oczywiście jeśli lubi pan chude, bo ta druga jest sucha jak wiór.

— Od kogo dowiedział się pan o wypadku Kozłowskiego? — zapytał wprost.

— Od kogo się miałem dowiedzieć? — zdziwił się. — Widziałem, jak nieśli go do karetki.

— Był pan tego dnia na dworcu? — aż podskoczył Olszak.

— No to co? Raz na jakiś czas bywam na dworcu. Tam jest restauracja. Należy do mojego rejonu. Czy ten mały chciał popełnić samobójstwo?

— Skąd ja mogę wiedzieć? Samobójstwa stają się wśród pańskich znajomych epidemią. Najpierw ten partner szachowy... Zaraz, zaraz...

— udał, że sobie przypomina. — Jeśli znał pan Kozłowskiego, to zapewne znał go także i Sielczyk? Czy on znał Sielczyka? Może mi pan powiedzieć?

— Wszyscy go znali i on znał wszystkich w biurze. Raptem piętnaście osób, razem ze sprzątaczką i woźnym. Dlaczego pan pyta? Przecież chyba pewne, że Sielczyk popełnił samobójstwo? Nie trafił pan przypadkiem na te małe szachy? Byłem w paru komisach, nigdzie nie ma takich. Przyzwyczyłem się do nich. Gdyby pan znalazł, to chętnie odkupiłbym od spadkobierców naszego Katona. Czy wie pan już, kto po nim dziedziczy?

— Na razie szachów nie ma i nie ma mowy o dziedziczeniu, dopóki nie skończy się śledztwo — powiedział Olszak i pożałował.

— Śledztwo? — jakby ucieszył się Rowak. — Więc podejrzewacie, że to jednak nie samobójstwo?

— Trzeba ustalić motyw samobójstwa, to dla nas równie ważne.

— Motywy — uśmiechnął się tamten. — Czy pan naprawdę nigdy nie miał ochoty rzucić tego wszystkiego w diabły i palnąć sobie w łeb? Tak po prostu, bez motywów, bo brzydka pogoda, bo łamie w kościach, bo naczelnik świnia, a kobiety... że, jednym słowem, prawie nic nie ma sensu.

— Trzeba szukać sensu — powiedział Olszak i zawstydził się tej oczywistości, która zabrzmiała jak fragment umoralniającego kazania.

— Wszyscy szukamy. Ja będę usiłował znaleźć jakiś sens w tej tłustej blondynce, która byłaby całkiem apetyczna, gdyby nie ten pryszcz na czole.

Z dołu dobiegły pierwsze, takty tanga.

— Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy — zawołał Rowak. Wsunął rąbek białej chusteczki, która była jakimś dysonansem w jego ubiorze, i podreptał ku wąskim schodom ze sztucznego marmuru.

Na pewno się zobaczymy — pomyślał Olszak. Ten Rowak interesował go coraz bardziej. Znał Kozłowskiego i był na dworcu akurat w dniu, w którym Kozłowskiego wepchnięto pod nadjeżdżający pociąg. Przeprowadzał kontrolę w restauracji, to całkiem możliwe. Nie można wykluczyć przypadku, ale ten zbieg okoliczności, że właśnie o tej porze ktoś spycha Kozłowskiego z peronu. Oczywiście istniały jakieś powiązania między Kozłowskim a Sielczykiem, ale jakie? Znali się z widzenia, a może łączyło ich coś więcej?

A może to właśnie Rowaka łączyło coś z Kozłowskim? Dziwny facet. Takich jak on nazywano w czasie okupacji „pistoletami”. Ta jego tęsknota za milionem... Ale któż by nie chciał miliona? — skarcił się w duchu. — Jemu także nawet nie milion, sto tysięcy rozwiązałoby wiele

problemów. Kupiłby żonie syrenkę i nie musiałby płacić rat.

Ale wróćmy do Rowaka. Przyznał, że nie lubił Sielczyka, ale bywał u niego w mieszkaniu. No i miał okazję przychodzenia do domu, w którym mieszkał Sielczyk, Gurenowie byli przecież sąsiadami przez ścianę. Ich balkony oddzielała tylko cienka ścianka, a od strony Gurenów w tę ściankę wbity był hak, podobno zawieszano na nim sznur do suszenia bielizny. Niewykluczone, w tych nowych domach nie ma suszarni, strychy wykorzystuje się na mieszkania i ludzie muszą suszyć na balkonie. Ale nie zmienia to faktu, że po tym haku można było bez trudu przejść na balkon mieszkania Sielczyka. Wyobraził sobie Rowaka przelażącego nad ośmiopiętrową przepaścią i natychmiast odpędził tę myśl.

Przecież Sielczyk popełnił samobójstwo, więc dlaczego utkwiał mu w głowie ten hak? Stwierdzono niezbicie, że list pożegnalny napisany jest tą samą ręką, co nie dokończona praca doktorska w biurku Sielczyka, jego życiorys w biurze personalnym PIH-u i ostatnie sprawozdanie z lustracji przeprowadzonej dwa dni przed śmiercią w jednej ze śródmiejskich kawiarni. Można od biedy zmusić człowieka do samobójstwa, chociaż człowiek wyrzucany przez okno broniłby się chyba instynktownie, a sekcja nie wykazała żadnych śladów walki, ale nie można, u diabła, zmusić nikogo, żeby napisał list pożegnalny. Więc czego tu jeszcze szuka? Wszystko jest jasne, nikt nie będzie miał pretensji, jeśli zamknie śledztwo i do niemal pustej teczki z napisem „Sprawa Sielczyka” dołączy sentencję: — „Samobójstwo z nie ustalonych przyczyn”.

Ale coś nie pozwalało mu tak postąpić. Czyżby ten szmaciany pacjent? A może Rowak? A może ta zagadkowa historia przyznania się

do włamania, którego Kozłowski nie popełnił?

Spojrzał na leżące przed nim zdjęcie i przypomniał sobie, po co przyszedł do „Sputnika”. Gdyby jednak przewidywania okazały się słuszne, miałyby jakiś ślad, jakiś punkt zaczepienia. Trzeba będzie poszukać Basi Kralskiej, powinna być tu o tej porze. Przywołał kelnerkę, zapłacił za kawę i zamierzał już wstać, gdy zobaczył Kralską zmierzającą w jego stronę.

— Pan tutaj? — uśmiechnęła się.

— Specjalnie dla pani. Czy moglibyśmy znaleźć jakiś zaciszny kącik? Tu zaraz przyjdzie facet, który ze mną siedzi, a nie mam ochoty słuchać jego zwierzeń.

— Nudny? — zapytała, a gdy kiwnął głową, powiedziała: — Możemy zejść do barku w piwnicy, tam miejsca nie są numerowane. Ale jeden warunek: sama płacę za swoje wino.

Przeszli obok modelu sputnika, schodki były jeszcze węższe i beton nie udawał już marmuru. Najważniejsze, że było cicho. Z kieliszkami wina usiedli w odległym kącie piwnicy.

— Znalazła pani już swojego chłopca? Wie pani, o kim myślę? Tego, który opuścił panią we śnie. Dżentelmen tak nie postępuje.

— Nie spotkałam go.

— Szkoda. Chciałbym jednak wiedzieć, dlaczego tamtej nocy spała pani kamiennym snem.

— Moje alibi? — otworzyła szeroko oczy. Była teraz bardzo ładna. Przypomniało mu się, co powiedziała Marysia Kleja. Czy ona rzeczywiście może być zakochana w tym swoim nieciekawym mężu? — Pan mnie o coś podejrzewa?

— Nie, pani Basiu, tylko dziwi mnie, że właśnie tej nocy spała pani tak twardo, że nie obudził pani nawet upadek ciała z ósmego piętra na beton, a potem ryk karetki pogotowia i naszej milicji.

— Sama nie wiem, nigdy tak mocno nie śpię.

— Właśnie — powiedział. — Pani także chciałaby spotkać się z tym Tadkiem, nie myślę się chyba?

— Mówiłam już. Może chciałabym go o coś zapytać.

— Z góry przepraszam za brutalność, ale czy przypadkiem nie o to: „W jakim celu mnie uspiłeś, jeśli rano obudziłam się kompletnie ubrana?”

Nie odpowiedziała. Sięgnęła po papierosa, przypaliła, zaciągnęła się dymem.

— Może się pan ze mnie śmiać, ale poczułam się wystrychnięta na dudka. Długo się przedtem wahałam, chociaż nie mogę uskarżać się na brak powodzenia. A kiedy się wreszcie zdecydowałam, to nie dlatego, broń Boże, żeby mi się Tadek jakoś szczególnie podobał — zwyczajny, przystojny chłopak — ale dlatego, że postanowiłam to wreszcie zrobić, uwolnić się od myśli o tym, że mój mąż... — Zamilkła, a Olszak jej nie przerywał. — To pana pewno nie interesuje, ale wczoraj zdecydowaliśmy ostatecznie, że się rozwiedziemy. Zgodziłam się. Wtedy, parę dni temu, myślałam, że coś się jeszcze da uratować. Chciałam, żeby był zazdrosny. Rozumie pan coś z tego?

— Moja pracownica powiedziała mi dziś, że nie mam pojęcia o kobietach. Podejrzewam, że ma rację. Wydaje mi się, że mógłbym pani pomóc w odnalezieniu tego Tadka.

— Nawet nie wiem, czy mi tak bardzo na tym zależy.

— To ten? — położył przed nią fotografię Kozłowskiego. Przyjrzała się zdjęciu.

— W rzeczywistości jest przystojniejszy. Ma pan jego adres?  
— Tak. Ale obawiam się, że nie będzie mu pani mogła zadać tego pytania.

— Może to i lepiej — powiedziała. — Właściwie nic mnie nie obchodzi.

— Czy nie zginęły pani klucze? Czy ma pani tylko jeden komplet?

— Drugi ma mąż, miał — poprawiła się. — Wyprowadził się.

— Ale wtedy, nocą z trzeciego na czwarty września?

— Skąd pan wie? To właściwie głupstwo, nie, nie zginęły mi klucze, ale rano nie mogłam ich znaleźć. Trzymam je zawsze w torebce. Po przyjeździe do domu odruchowo je tam wrzucam. Nigdy mi się jeszcze nie zdarzyło pomylić, ale tego dnia po pana wyjściu, kiedy chciałam zamknąć mieszkanie, nie mogłam ich znaleźć. Przetrzęsłam cały dom i niech pan sobie wyobrazi, były w torebce, ale nie w tej, której stale używam, tylko w starej, gdzie przechowuję pończochy. Musiałam być bardzo pijana, nic dziwnego, kiedy podjęłam taką decyzję...

— Być może — powiedział Olszak. — Pójdę już. Pani zapewne zostaje.

Okazało się, że i Basia ma dość „Sputnika”. Wyszli razem. Przy przechodzeniu przez jezdnię wzięła go pod ramię. Zrobiło mu się trochę nieswojo, zląkł się, że mógłby go zobaczyć Janek albo ktoś z Komendy. Musiała dostrzec jego zmieszanie, bo powiedziała usprawiedliwiająco:

— Na tych obcasach niewygodnie bez męskiego ramienia.

Usiłowała powiedzieć to tonem swobodnym, ale widocznie i jej udzielił się jego niepokój, bo zabrzmiało to sztucznie. Olszak roześmiał się, nagle zaczęła go bawić ta sytuacja, przyjemnie mu było z ładną dziewczyną u boku. Zaczął jej opowiadać jakieś niestworzone historie ze swojej roboty. Dopiero przed domem na Żołnierskiej ogarnął go znów niepokój, żał mu było się z nią rozstawać. Ona także stanęła niepewnie, jakby nie bardzo wiedziała, co ma zrobić.

— Dobranoc — powiedział ściskając jej rękę. Jeszcze miała obrączkę na palcu. — Na pewno się jeszcze zobaczymy — usiłował nadać swemu głosowi ton dobrotliwy, ojcowski nieomal, jakiego powinien użyć w stosunku do dwudziestoparoletniej dziewczyny mężczyzna starszy od niej co najmniej dwukrotnie, ale żał mu było, gdy wbiegła w bramę. — Biedna dziewczyna — perswadował sobie — czuje się samotna i opuszczona. Pewnie dlatego, gdyby uczynił jakiś gest, zaprosiłaby go do siebie na herbatę, a potem... — Nie bądź idiotą — powiedział to sobie głośno. Nigdy nie miał przesadnych wyobrażeń o swej męskiej urodzie, nie mówiąc już o drobiazgu, o Janku, który jest przecież jej rówieśnikiem.

Szedł powoli „w stronę domu. Więc Kozłowski — pomyślał, żeby odgonić od siebie natrętny obraz, że ona teraz pewnie weszła do mieszkania, przebrała się w szlafroczek, może za chwilę weźmie kąpiel — więc Kozłowski — przywoływał się gwałtem do porządku — był u niej tego wieczora, a potem nie mogła znaleźć kluczy, czyli nie myliła go intuicja. Po co wchodził drugi raz do jej mieszkania? Kilka minut przed tragicznym upadkiem?

Rowak mu potwierdził, że się znali. Ale strzępek kartki, znalezionej w papierach Kozłowskiego z notatką „Żołnierska — ósme piętro”,



mógł teraz oznaczać adres Basi Kralskiej, a nie Sielczyka, jak początkowo przypuszczał. Najgorsze, że Kozłowski nie wyjaśnia sprawy pajacyka. Skąd się wziął pajacyk u Sielczyka? Czy Spawacz naprawdę kupił go od żebraczki? Nie wyglądał na faceta, którego wzrusza niedola starowiny sprzedającej szmaciane laleczki. Skądinąd wiadomo już, że produkuje je prawdopodobnie Machulewicz, a dwa dni przed morderstwem Machulewicz i Tadek, czyli w rzeczywistości Kozłowski, siedzieli przy jednym stoliku z Basią Kralską i Jolantą, narzeczoną Sielczyka. Jak to wszystko powiązać razem?

W domu już spali. Na palcach podszedł do telefonu, nakręcił numer dyżurnego Komendy.

— Przygotujcie, mi na rano Kozłowskiego, chcę go mieć u siebie o ósmej. — Odłożył słuchawkę, zastanowił się, czy w mieszkaniu Basi Kralskiej jest telefon. Przypomnił sobie, że stał na niskim stołeczku koło tapczanu. Mógłby odszukać w książce jej numer, wystarczy nakręcić kilka cyfr. Co by jej powiedział? Że wariuje na stare lata?

Wszedł do łazienki, ustawił piecyk na jak najgorętszą wodę, ale z prysznicą połała się na niego ledwie ciepła. Trzeba pójść do administracji — pomyślał przed zaśnięciem — i złapać tego magika od gazu. Ta myśl uspokoila go nareszcie.

## 11

Wszystko odbyło się nie tak, jak zaplanował. Po pierwsze — za-  
spął, po drugie — w domu nie mógł znaleźć kawy. Jeszcze z resztkami

snu poszedł do administracji, ale okazało się, że drzwi są zamknięte, choć wywieszka informowała, że interesantów przyjmuje się od siódmej. W barku na rogu, gdzie niekiedy pijał kawę, oczywiście nie taką, jak z odziedziczonego po niedoszłym oskarżonym ekspresiku, ale znośną, tym razem podano mu chłodną lurę, a kelnerka oświadczyła spokojnie, że maszyna się zepsuła i nie wiadomo, kiedy naprawią. W dodatku w swoim pokoju w Komendzie zamiast Kozłowskiego, którego oczekiwał, dostrzegł łysego, trzęsącego się faceta, na swoim zaś miejscu za biurkiem porucznika Kulicza. Co prawda Kulicz wstał natychmiast na wejście szefa i zwolnił jego, dość niewygodne zresztą krzesło, ale Olszak zdążył już sobie przypomnieć, że Kulicz jest magistrem prawa i z racji posiadanego wykształcenia ma takie samo jak Olszak, a może nawet i większe prawo do zajmowania tego miejsca.

— Zażądałem na rano Kozłowskiego — warknął. — Nie przekazali ci?

— Owszem, szefie, ale pomyślałem, że ta sprawa pana zainteresuje. Pan Hieronim Brokat zgłosił się dziś o świcie w Komendzie, prosząc o przesłuchanie go. Chce złożyć oświadczenie...

Olszak poznał go od razu. To ten jubiler, u którego miesiąc temu dokonano włamania, skradziono srebra i platery, pozostawiając w zamian pajacyka z wylupionym oczkiem. Otworzył szufladę. Pajacyk z wylupionym oczkiem leżał obok dwóch innych.

— Prowadź dalej przesłuchanie — powiedział do Kulicza najłagodniej, jak potrafił. Zły był na siebie za ten wybuch przed chwilą, w końcu wiadomo, że w Komendzie panuje ciasnota, i sam nieraz

proponował Kuliczowi, by korzystał z jego gabinetu w potrzebie. Wyszedł do sekretarki, kazał sobie podać dużą kawę, po namyśle dodał, że jeszcze dwie — dla porucznika Kulicza i jego gościa. Siorbał kawę słuchając ze wzrastającym zainteresowaniem rozmowy Kulicza z jubilerem o twarzy gładkiej, żółtawej, przypominającej konsystencją budyni.

— Po kolei — powiedział Kulicz. — Więc uprzedzono pana o napadzie?

— Tak, przez telefon. Myślałem, że to bluff, zresztą napad nastąpił dopiero w trzy tygodnie po ostrzeżeniu. Myślałem, że tylko straszą.

— Dlaczego pan nie zawiadomił milicji?

— Powiedziałem panom. Wydawało mi się, że to lipa, że żadnego włamania nie będzie. Przez kilka nocy po tym telefonie spałem w sklepie, na wszelki wypadek.

— Kto do pana telefonował?

— Jak zwykle, kobieta.

— Ta sama? Czy głos był jakiś charakterystyczny?

— Nie wiem, poznałbym, gdybym go usłyszał.

— Czy widział ją pan?

— Jeden raz, przed samym zamknięciem sklepu, kiedy powiedziałem przez telefon, że nie zamierzam kupować żadnych pajacyków. Przyszła wieczorem i zapytała, czy nie zmieniłem zdania. Odpowiedziałem, że nie.

— Poznałby ją pan?

— Ciemnowłosa, chyba nawet brunetka. Była w słonecznych okularach, takich dużych, zakrywających pół twarzy. Powiedziała, że wszyscy kupują jej pajacyki i że ma sposób, abym i ja kupował, niedużo, jednego miesięcznie, po tysiąc pięćset złotych za sztukę.

Olszak wstał ze swego miejsca, sięgnął do szuflady, wyjął pajacyka, pokazał Brokatowi.

— Półtora tysiąca, panie Brokat, za te parę szmatek? Inni to także kupują? Dlaczego?

— Nie wiem. Nie wiem, dlaczego tak drogo i dlaczego kupują. Nie wiem nawet, czy kupują, może bujała.

— Ja zaczynam się domyślać. Ona czymś groziła?

— Potem, przez telefon — tarł spoconą twarz dłonią.

— Potem groziła włamaniem, a przedtem?

— Panowie, przyszedłem dobrowolnie, żeby złożyć zeznanie.

— Sprostować fałszywe zeznanie — powiedział Kulicz. — To nie to samo. Kiedy prowadziliśmy sprawę włamania do pańskiego sklepu, zeznał pan, że widział pan pajacyka, pierwszy raz w życiu.

— A więc... — atakował Olszak. — Co zachęcało kupców, właścicieli prywatnych sklepów, do nabywania tak kosztownych zabawek?

— Nie tylko prywatnych — wymamrotał Brokat.

— A więc także kierownicy państwowych sklepów kupowali te zabaweczki? Czy może mi pan powiedzieć dlaczego? A jeśli pan nie może, to ja panu powiem. Ta kobieta groziła, że w wypadku nie nabycia pajacyka władze dowiedzą się o sprawach, które mogłyby przysporzyć panu kłopotów. Czym panu konkretnie groziła? Jakie sprawy chciała ujawnić?

— Ona twierdziła, że skupuję twarde, że ma dowody. To nieprawda.

— Nieprawda, że ma dowody? — uśmiechnął się Kulicz.

— Nie handluję walutami. Kiedyś, osiem lat temu — tak, ale od-siedziałem swoje. Czasami ludzie mi przynoszą jakąś „świnę” czy

„półtoraka”, żeby im nawlec na łańcuszek albo oprawić w pierścionek. Mam do tego prawo. Mogę wykonywać przedmioty ze złota, jeśli klient dostarczy mi surowiec.

— W porządku, panie Brokat. Jeśli pan rzeczywiście handluje dewizami, to wcześniej czy później się spotkamy. Na pana korzyść świadczy to, że nie chciał pan kupować tych pajacyków, na pana niekorzyść, że czekał pan z zeznaniem tyle czasu. Dlaczego właśnie teraz postanowił pan złożyć zeznanie?

Zatrząśł się, opadła mu broda, zadygotały ręce. Co go w tym pytaniu tak przeraziło? — pomyślał Olszak. — Bo nie ulega wątpliwości, że jest przerażony.

— Nie wiem — bąknął. — Pomyślałem, że będzie uczciwie, no po prostu sumienie mnie ruszyło...

— Konkretnie, kiedy ruszyło pana sumienie? Wczoraj, dzisiaj, może nocą?

Znów zatrzepotał powiekami. Co zdarzyło się wczoraj, że pan Hieronim Brokat, właściciel dobrze prosperującego sklepu złotniczego, postanowił puścić parę? Znów szantaż? A może groźba? Ten facet się boi. Kto się tak jeszcze bał? Racja, Kozłowski. Jego także ruszyło sumienie. Błagał, żeby go zamknąć. Więc kobieta sprzedająca po nieprawdopodobnie wysokich cenach szmaciane laleczki może zastraszyć młodego, silnego chłopaka i starego wygę handlowego półświatka, który z niejednego pieca chleb jadał?

— Jeszcze jedno, panie Brokat. Czy fakt, że pajacyk, znaleziony w pańskim sklepie po włamaniu, miał wydłubane oko, ma jakieś znaczenie?

— Wydłubane oko? Nie rozumiem. Nie wiem. — Jego mina zdawała się wskazywać, że naprawdę nie bardzo wie, o co chodzi. Ta

wizyta w milicji musiała go kosztować sporo nerwów. Dlaczego więc przyszedł? Człowiek, który traci trzydzieści, czterdzieści tysięcy, najpierw ukrywa przed milicją fakt, który mógłby doprowadzić do ujęcia złodziei, a potem ni z tego, ni z owego przychodzi i śpiewa jak z nut?

Olszak wypija już drugą kawę. Odesłał Kulicza z Brokatem w celu spisania protokołu, kazał posłać po Kozłowskiego, ma pięć minut czasu. Coś mu się nie podoba w tej sprawie. Każdy dzień przynosi nowe szczegóły, ale te nowe szczegóły zamiast rozjaśniać sprawę, jeszcze ją gmatwiają. Jedno wie na pewno — pajacyk znaczy szantaż, taka osobliwa forma pokwitowania za płacenie haraczu. Ale sposób zdobycia tej wiedzy wydaje mu się zbyt łatwy. Więc jeśli szantaż, pajacyk u Sielczyka oznaczałby, że i on był ofiarą. Cóż takiego mógł mieć do ukrycia trzydziestoparoletni magister ekonomii, sierota wychowywany przez ciotkę, inspektor PIH-u, znany powszechnie jako osoba nieprzekupna? Przypomniało mu się zdanie Rowaka, że brzydzi się facetami o bardzo czystych rękach. Może jest w tym jakaś racja? Jeśli szantażyści mieli haczyk na Sielczyka, to samobójstwo staje się usprawiedliwione. Z czego miał płacić? Zarabiał około dwóch i pół tysiąca miesięcznie. Żył skromnie, jadał w stołówce, potrafił ze swojej pensji odłożyć na spółdzielcze mieszkanie, stan jego zdeponowanej w Komendzie książeczki oszczędnościowej — około ośmiu tysięcy. Trzeba będzie sprawdzić — notuje w pamięci — czy nie dokonywano ostatnio z książeczki jakichś większych wypłat. I Kozłowski. Co tu robi Kozłowski?

Wszedł właśnie wprowadzony przez milicjanta, w wymiętej marynarce i butach bez sznurowadeł. Więc to ten facet tak się podobał

Basi Kralskiej, że gotowa była... Przyjrzał się chłopakowi badawczo. Zresztą nie, przecież powiedziała, że nie podobał się jej szczególnie, na pewno nie była w nim zakochana, po prostu facet był pod ręką, a ona chciała wyrzucić zemstę na mężu i wybrała sposób stosowany przez kobiety od wieków. A on tymczasem spił ją gruntownie, być może dosypał jej czegoś do wódki, aby twardo spała, i wyszedł. Czy tak zachowuje się młody człowiek wobec pięknej dziewczyny, która zaprasza go wieczorem do domu?

— Siadaj — wskazał mu krzesło. — Okłamałeś nas.

— Nie.

— Spawacz twierdzi, że nie było u niego żadnego włamania ani w maju, ani w kwietniu, ani w czerwcu. Nigdy, rozumiesz? Więc może włamałeś się nie do Spawacza? Może do innego sklepu? Podaj adres, sprawdzimy.

— Do sklepu Spawacza, pamiętam.

— A może tylko planowałeś włamanie?

— Ukradłem około trzydziestu swetrów.

— I co się z nimi stało?

— Sprzedałem. Na bazarze. Za pół ceny. Kilka sprzedałem w „Sputniku”.

Olszak przypomniał sobie sweterek Janka. Kupił go właśnie wtedy od Kozłowskiego, więc może to prawda. Ale jeśli tak — jego syn jest mniej lub bardziej świadomym paserem. Jeszcze mu tego brakowało!

— Pamiętasz komu, Tadek?

Drgnął. Najeżył się.

— Nazywam się Wojciech Kozłowski. Nie jestem Tadekiem.

— Niektórym dziewczętom przedstawiałeś się jako Tadek.

— Wie pan, panie kapitanie, jak to z dziewczynami... — usiłował swemu głosowi nadać ton żartobliwy i poufały, ale Olszak czuł, że to tylko maska, że Kozłowski jest w tej chwili skupiony i napięty.

— Jedna dziewczyna, wcale niebrzydka, szukała cię w „Sputniku”. Wiesz, o kim mówię? Mieszka na Żołnierskiej.

— Zna się tyle dziewczyn... — usiłował podtrzymać ton, ale mu to najwyraźniej nie wychodziło. Strach wyłaził z niego jak słoma z pękniętego siennika.

— Wiesz, o kim mówię, byłeś u niej w dniu śmierci Konrada Sielczyka, uśpiłeś ją, ukradłeś jej klucze, a potem w nocy, gdy dziewczyna spała, powtórnie wszedłeś do tego mieszkania, sforsowałeś ściankę dzielącą balkon mieszkania Kralskiej od balkonu Sielczyka i... — zawiesił głos.

— Nie! — krzyknął. — Ja tego nie zrobiłem! To Staszek! Ja tylko klucze... Ja mu tylko oddałem klucze... — Niespodziewanie zapłakał, zbladł, potem usiłował wstać i zwałił się na podłogę tuż pod nogi Olszaka. Tego inspektor nie oczekiwał.

Nim przybiegł lekarz z parteru, ocuciła Kozłowskiego sekretarka wylewając nań pół dzbanka wody.

— Szok — stwierdził doktor. — Musiał mieć jakieś silne przeżycie. Może się czegoś złąkł. — Wbił chłopakowi igłę w przedramię. — Musisz mu dać parę dni spokoju.

— Szkoda — powiedział Olszak. — Nie skończyliśmy interesującej rozmowy.

— Nic ci nie powie — wskazał szkliste, nieobecne oczy Kozłowskiego. — Morderca?

— Nie wiem — powiedział Olszak. — Nie wiem bardzo wielu rzeczy.



Nie wiem na przykład, czy można zamordować samobójcę.

Począł, aż doktor wyjdzie, i zamówił u sekretarki trzecią kawę. Doktor nie lubił, kiedy jego pacjenci nie stosowali się do zaleceń. A kawy zabronił mu kategorycznie.

## 12

Ledwo zatrzasnął za sobą drzwi wagonu, elektrowóz ekspresu do Warszawy szarpnął i już po chwili Olszak zobaczył z okna przesuwa-  
jące się zabudowania miasta. Pociąg nabierał szybkości, minął prze-  
szklone hale nowego kombinatu, a kiedy Olszak wszedł na chwilę do  
przedziału, żeby położyć teczkę na półce, i wracając na korytarz mi-  
mochodem rzucił okiem w okno, widział już tylko niknącą wieżę sta-  
cji przekaźnikowej na Wzgórzu Bernardyńskim. Przypomniało mu  
się, że nic nie jadł od rana, a rano zdążył zaledwie połknąć jedną ka-  
napkę, bo spieszył się do administracji. Wagon restauracyjny był  
pełny, z trudem znalazł jedno wolne miejsce przy stoliku, gdzie, są-  
dząc po słyszanych strzępkach rozmowy, trzech zaopatrzeniowców  
jakiejś fabryki opijało udane zakupy w jego mieście.

Dzień miał dziś gorący. Ledwo odesłał Kozłowskiego, przyszła  
wiadomość z Warszawy, że odcinek kwitu bagażowego, znaleziony w  
syrence Jolanty, pochodzi z lotu 114 trasy Paryż-Warszawa i wydany  
został 3 września, w przeddzień śmierci Sielczyka. Warszawa donosi-  
ła, że samolotem tym przyleciało czterdzieści dziewięć osób, z czego  
dwadzieścia dziewięć zatrzymało się w Polsce, a reszta, po krótkim

pobycie na Okęciu, odleciała dalej. Przesłano mu listę tych dwudziestu dziewięciu pasażerów — siedmiu Francuzów, jakieś małżeństwo angielskie, Amerykanin, Hindus, a reszta Polacy. Któryś z tych ludzi był w mieście i to, jeśli wierzyć Jolancie, najpóźniej właśnie 3 września, ponieważ ona nikogo obcego samochodem nie woziła. Sielczyk brał nieraz jej samochód. W dniu swojej śmierci wyszedł przed dziewiątą, wiadomo, że pojechał na dworzec, może właśnie po tego pasażera z samolotu, który zgubił w syrence Jolanty skrawek kwitu bagażowego. Olszak zawołał Kielkę, który po ostatniej przygodzie z Rowakiem stracił nieco tupetu, i posłał go z listą do wszystkich w mieście hoteli, nie pomijając nawet podmiejskiego campingu. Ledwo chłopak wyszedł, wpadła do inspektora Marysia Kleja i bez słowa położyła mu na biurku fotokopię jakiegoś sporządzonego na maszynie wykazu.

— Co to jest? — zapytał.

— Przepraszam, że tak późno, szefie, ale w laboratorium byli zawaleni robotą. Dałam im film o ósmej, a wywołali przed godziną. Odbitka była jeszcze mokra, kiedy postanowiłam coś sprawdzić. Nie wiem, czy mnie pan za to nie skrzyczy. Postanowiłam popisać się tak zwaną inicjatywą.

Olszak przypatrywał się kartce, jednym uchem słuchając paplaniwy Marysi. Co to jest? Na pierwszy rzut oka widać, że lista sklepów, przeważają prywatne, choć nie brak także jakiegoś Galluxu przy placu Rewolucji i paru komisów. Coś zaczynało mu świtać.

— Znalazłeś to u Machulewicza?

— Tak, szefie. Nie wiedziałam, czy to ma jakiś związek ze sprawą, ale przed chwilą Kulicz wspomniał mi o zeznaniach tego jubilera

Brokata, więc wszystko by się zgadzało. Spróbowałam swoich zdolności fotoamatorskich, kiedy mój wielbiciel postanowił uraczyć mnie kawą.

Na liście figurowało czterdzieści dziewięć sklepów, przed wymienieniem branży lub nazwiska właściciela oraz adresu figurował pedantyczny numerok.

— Brokata nie ma na tej liście, ale jest Spawacz — zauważył Olszak. — Prawdopodobnie nabywcy pajacyków. Na czym polegała twoja samodzielność i inicjatywa?

— Miałam pewien pomysł, chyba niezły. Kiedy w laboratorium guzdrali się ze zrobieniem odbitki, poszłam do PIH-u i pod różnymi pretekstami wzięłam próbki pisma wszystkich trzech maszyn, jakie mają. — Sięgnęła do torebki i położyła przed Olszakiem kartkę maszynopisu. — Widzi pan to „ę”, a także „t”? Niech pan zwróci uwagę na uszkodzenie czcionki. W ostatnim *Przeglądzie Kryminalistycznym* znalazłam artykuł o porównywaniu pism maszynowych. Oczywiście trzeba będzie posłać to do dokładnej ekspertyzy, ale na mój gust nie ma wątpliwości.

— Ta kartka — zapytał Olszak — pochodzi z maszyny w pokoju kontrolerów?

— Tak. Stary underwood, maszyna zwykle stoi w szafie, dostęp do niej mają jedynie Rowak i Sielczyk, to znaczy Sielczyk od paru dni nie ma do niej dostępu.

— Ładnie się spisałaś — pochwalił. — Rozmawiałaś z Rowakiem?

— Był gdzieś na inspekcji. Klucz od pokoju i szafy miał woźny. Szeffie — powiedziała po chwili — mam jeszcze jeden pomysł. Czarna peruczka i słoneczne okulary nie są takie trudne do zdobycia. Mam listę i trzy pajacyki. Wie pan, co mam na myśli?

— Chcesz zarobić trochę pieniędzy dla Komendy? I tak nam ich

nie dadzą, a jeśli masz ochotę, to może być zabawne. Ciekaw jestem, ile ci panowie płacą za szmacianego pajacyka. Czy te półtora tysiąca to jest górna czy dolna stawka? Wpadnij przede wszystkim do państwowych komisów. Prywatni interesują mnie w tej chwili mniej.

Po jej wyjściu z przerażeniem zobaczył, że dochodzi jedenasta. Na stojąco wypił w sekretariacie swoją czwartą dziś kawę. W parku nad stawem czekał na niego Lasociak. Drobił bułkę i rzucał zgłodniałym karpom.

— Trzeba je trochę utuczyć, żeby były na wigilię w sam raz — Lasociak uśmiechnął się łobuzersko. Był w dobrym humorze, znaczyło to, że coś przynosi.

— Jak was złapią, Lasociak, nie liczcie na moje wstawiennictwo.

Wiedział, że ten lump wynalazł sobie ciekawą zabawę. Przez nogawkę spodni wpuszcza do stawu żyłkę nylonową zakończoną haczykiem z przynętą. Gdy któryś z karpów się złakomi, Lasociak wyciąga go przez dziurę w kieszeni na brzég. Potem jeden zręczny ruch i ogłuszony karp spoczywa w ceratowej teczce Lasociaka. Prawdopodobnie smażą go wieczorem w mieszkaniu Hrabiny. Olszak przypomniał sobie, że zawsze śmierdzi w tej norze spalenizną. A z daleka wygląda to całkiem niewinnie. Starszy jegomość karmiący rybki w stawie.

— Szefie — powiedział Lasociak — ja to tylko czasem dla żartów. Pan wiesz, że mam z czego żyć.

— Przyniosłeś coś?

— Wiem, gdzie jest zegarek, który ma na kopercie tę datę. Kosztowało mnie to sporo czasu i musiałem postawić paru takim wódkę. A wiesz pan, jak jest — samej czystej nie sprzedają, trzeba zagrychę. W

sumie osiem bigosów, dwa i pół litra „strażackiej”, nie licząc straconego czasu.

— Gdzie ten zegarek?

— U Irenki, tej, co chodzi wieczorem niedaleko „Róży Wiatrów”, wie pan? Taka czarna, wysoka. To jest warte ćwiartkę, inspektorze, nie? A drugą postawi pan, jak się dowiem, od kogo ona ma ten zegarek.

— Postawię.

Lasociak uśmiechnął się szeroko, pokazując mocno wyszczerbione uzębienie. Zatarł ręce z zadowolenia.

— Ten zegarek to Irenka dostała od Zenka Babuli, wie pan, tego, co ma wariackie papiery i za dwadzieścia złotych bije w mordę każdego. Za mundurowego — zachichotał — bierze pięć dych.

— A Babula?

Jak przez mgłę przypomniał sobie tego zwalistego chłopca o nieco mongolskich rysach twarzy, lumpa z dziada pradziada, któremu, choć łapano go nieraz, niewiele można było zrobić, ponieważ psychiatrzy z zadziwiającą jednomyślnością stwierdzili u faceta daleko posunięte głuptactwo. Był zbyt zdrowy, by go można zamknąć w zakładzie, zresztą zakłady są przepełnione, a jednocześnie wystarczająco chore, by każdy sąd stosował wobec niego nadzwyczajne złagodzenie kary. Obciążony dziedzicznie, alkoholik i dziecko alkoholików, nigdy nie pracował dłużej niż parę godzin, o potrzebach, zwierzęcia: zeżreć byle co i pospać; tak nasycony alkoholem, że małe piwo zwałło go z nóg.

— Babula ściągnął go komuś.

— Wiem, że nie kupił — odparł Olszak. — Co ci powiedział?

— Wypił pół piwa i zaczął bełkotać jakieś głuptstwo, wiesz pan,

jaki on jest — głowę ma słabą jak dziecko — że żal mu było zostawiać, że jakby spadł z ósmego piętra, toby się na pewno rozbił. Jednym słowem, głupi, kto by wyrzucał zegarki z ósmego piętra?

Olszak miał ochotę natychmiast zostawić Lasociaka i biec do Komendy, ale nie chciał, żeby Lasociak zorientował się, jakiej wagi informacji przed chwilą dostarczył. Pogadał z nim jeszcze chwilę, zmienił temat, jakby go sprawa zegarka zupełnie nie interesowała, zapytał, co ze srebrami jubilara Brokata, ale lump zaczął przysięgać na wszystkie świętości, że w żadnej melinie na ślad sreber nie trafił i nie wie, który z chłopaków organizował ten skok do jubilara.

— A może to ktoś z amatorów — powiedział z niesmakiem, skrzywił się przy słowie „amator”, nie lubił tych młodocianych przestępców, chłopców z dobrych domów, którzy partaczą robotę i im, porządny złodziejom i włamywaczom, odbierają kawałek chleba.

Olszak zostawił go nad stawem, był niemal pewien, że za chwilę Lasociak zapoluje sobie na karpia, ale mało go to w tej chwili interesowało. Sprawa zaczynała się wyjaśniać, Babula, któremu żal było, że zegarek się stłucze przy upadku z ósmego piętra, to już na pewno było coś. Z zaparkowanej w alei warszawy połączył się z Komendą, złapał Kulicza i kazał mu wysłać ludzi na poszukiwanie Babuli. Wiadomo, że sprawa nie była prosta. Tacy jak Babula nie bywają meldowani, a jeśli nawet, to rzadko można ich zastać pod adresem z dowodu osobistego. Trzeba przetrząsnąć nieraz kilkanaście melin, żeby trafić na takiego jak on. Olszak wiedział to wszystko, ale zdenerwowało go marudzenie Kulicza, że nie wie, czy mu się to uda przed nocą.

— Wyciągnij go spod ziemi, ale muszę go mieć dzisiaj.

Odłożył słuchawkę radiotelefonu i kazał się wieźć do sklepu Spawacza. Właściciel prywatnego sklepu pachniał, jak zwykle, lawendą, był dziś w niebieskiej muszce w białe grochy i tweedowej marynarce. Blondyny nie było, sam stał za ladą.

— Czym mogę służyć panu kapitanowi?

— Proszę zamknąć sklep, nie na długo, na dziesięć minut. Porozmawiamy.

Zauważył, że ruchy Spawacza stają się mniej wykwintne, bardziej nerwowe, i ucieszyło go to, bo chociaż się do tego nie przyznawał, trochę go onieśmiał ten podstarzały dandys o polerowanych, wypielęgnowanych jak u kobiety paznokciach.

— Pan kapitan zdaje się lubi martini, przecież nie zapomniałem? A może coś mocniejszego?

— Dziękuję, tym razem tylko na rozmowę. — Zauważył, że pajacyk spoczywa na swoim zwykłym miejscu. Postanowił uderzyć frontalnie.

— Ile pan płaci miesięcznie\*?

— Nie rozumiem. Pyta pan o podatek?

— Od biedy można to i tak nazwać. Ile pan płaci miesięcznie za pajacyka?

Spawacz usiadł ciężko, nie usiłował już zgrywać lorda. Skapcał w jednej chwili, jakby to pytanie wypuściło z niego całe powietrze.

— Panie kapitanie — zaczął niepewnie.

— Ile? — prawie krzyknął.

— Dwa.

— Miesiąc w miesiąc?

— Od trzech i pół lat.

— Więc ma pan już sporo tych pajacyków?  
— Ten na półce jest czterdziesty drugi — powiedział ponuro. — Co miałem robić? Szantażowali mnie...

— Mógł pan przyjść do Komendy, złapalibyśmy szantażystów, miałby pan spokój.

Spawacz milczał. Wiadomo, co oznaczało to milczenie. Szantażysta wiedział, że Spawacz nie pójdzie do milicji, że nie może pójść, jeśli nie chce, żeby wyszły jakieś grzechy, które ma na sumieniu. Musiały to być grzechy spore, jeśli posłusznie płacił dwa tysiące miesięcznie. To dużo pieniędzy, więcej niż połowa pensji Olszaka, sporo więcej niż pensja jego żony.

— Nie powie mi pan, oczywiście, czym panu grożono, co obiecywał szantażysta ujawnić milicji, jeśli go pan wyda.

— To była kobieta.

— Brunetka w słonecznych okularach.

— Tak. Ona przynosiła pajacyki. I ona przyszła wtedy po włamaniu, ale czasem telefonował też mężczyzna.

— Więc włamanie jednak było?

— Tak, w maju. Miałem kiepskie obroty, wie pan, ludzie odkładają na wakacje, nikt nie kupuje sweterków na lato, w każdym razie to martwy sezon. Chciałem płacić mniej, ale ona się nie zgodziła i w parę dni potem było włamanie. Tej samej nocy ona zadzwoniła, powiedziała mi o tym włamaniu i zapytała, czy nie zmienilem zdania. Przyjechałem do sklepu, żeby sprawdzić. Brakowało towaru na dwadzieścia parę tysięcy.

— Nie myślał pan o zawiadomieniu milicji?

Znów to milczenie. Wyciągnął z paczki chesterfielda, zapominając o dobrych manierach nie poczęstował Olszaka. Zaciągnął się głęboko.



— Przyszła rano. Powiedziała, że zwrócą mi cały towar, zapłacę dziesięć tysięcy, żebym miał nauczkę, wyraziła się — że oni lubią regularnych płatników.

— I zwrócili wszystko?

— Brakowało dwóch czy trzech sweterków. Oczywiście zapłaciłem. Co miałem robić?

— Niedawno pił pan wódkę w „Orbisie” z zaopatrzeniowcem fabryki włókien sztucznych. A pan handluje sweterkami nie tylko wełnianymi, prawda?

Skulił się, w jednej chwili zmałał. Pociągnął muszkę, jakby go dusiła.

— Mam rachunki, wszystko legalnie.

— A jednak im pan płacił. Powolutku dojedziemy dlaczego. Na tej wódce w „Orbisie” był jeszcze ktoś. Przypomina pan sobie?

— Być może, mój stary znajomy.

— Który pracuje jako starszy kontroler PIH-u i nazywa się Tadeusz Rowak. Niech pan się zastanowi, kto mógł mieć informacje o pewnych, powiedzmy, nieformalnościach, których ujawnienie mogłoby sprawić panu kłopoty? — W oczach Spawacza dostrzegł jakiś błysk. Zrozumiał, że myślą o tym samym człowieku. — Czy pański sklep kontrolował zawsze inspektor Rowak?

— Oh, nie. Kontrolerzy PIH-u zmieniają się często. Dopiero od paru lat ustabilizowali się, że się tak wyrażę. Przedtem ich zwalniano, kilku poszło siedzieć.

— A w ostatnich latach?

— Kilka lat temu wpadał nieboszczyk Sielczyk. Mogę pana zapewnić, że nigdy nie znalazł u mnie żadnych uchybień. Gdyby go pan znał, wiedziałby pan, jaki to skrupulat, nie przepuścił niczego. Kupcy bali się go jak ognia. Kiedy zaczął pracować, kilku usiłowało dać mu

jakieś prezenty. Przecież wszyscy wiemy, że oni kiepsko zarabiają. Zagroził, że przy powtórnej próbie odda sprawę prokuratorowi. Zdaje się, że raz czy dwa spełnił groźbę.

— A inspektor Rowak nie składał doniesień o próbach oferowania mu prezentów? A może jemu nie proponowano?

— Nic o tym nie wiem. Powiedziałem już, że to mój stary znajomy.

— Odzyskiwał spokój i pewność siebie.

— Zapewne się jeszcze spotkamy nieraz, panie Spawacz. Prawdopodobnie będą z panem chcieli porozmawiać koledzy z wydziału przestępstw gospodarczych. Na wszelki wypadek byłbym wdzięczny, gdyby pan nie opuszczał miasta bez porozumienia się z nami.

— O co jestem podejrzany?

— Mówiliśmy już o tym. Ukrywanie przestępstwa jest także przestępstwem. Nasz kodeks ujmuje to w paragrafy. Oczywiście dużo zależy od pańskiej szczerości. Żegnam pana, panie Spawacz — mimo woli wpadł w ton tamtego. — Przykro mi, że zabrałem panu trochę czasu.

Szarpnięcie pociągu na zakręcie wyrwało Olszaka z zamyślenia. Trzej zaopatrzeniowcy ściszyli głosy, opowiadali coś sobie szeptem, wybuchając śmiechem. Jedna pointa, wypowiedziana nieco głośniej, dotarła do uszu Olszaka, uśmiechnął się, znał już ten kawał. Kelner, poruszający się po wagonie z gracją linoskoczka, zabrał już opróżniony talerz po zupie, za chwilę powinien nadejść zamówiony schaboszczak. Zastanowił się, czy może sobie pozwolić na jeszcze jedną kawę, ale przecież dzień miał dziś wyjątkowo pracowity, więc postanowił zamówić.

Gdy wrócił od Spawacza, w Komendzie czekał już na niego Kielka, którego wysłał z listą pasażerów samolotu z Paryża do Warszawy.

Chłopak miał minę zadowoloną — nie wracał z pustymi rękami. Tylko jeden z pasażerów lotu 114 odwiedził to miasto i zatrzymał się w hotelu „Centralnym”. Rezerwacji dokonał Konrad Sielczyk dwa dni przed przyjazdem obywatela francuskiego Jeana Rombec. Francuz zameldował się trzeciego około wpół do dziesiątej wieczorem, należność uregulował nazajutrz rano, płacąc kuponami „Orbisu”. Tego samego dnia opuścił hotel. Portier przypomniał sobie, że przywoływał dla cudzoziemca taksówkę i że tamten kazał się wieźć na dworzec. Wysłał pilny radiogram do biura rejestracji cudzoziemców przy Komendzie Głównej i po dwu godzinach otrzymał odpowiedź, że Francuz Jean Rombec zatrzymał się w hotelu „Europejskim” i zajmuje apartament numer 37 na trzecim piętrze.

Dlatego właśnie Olszak jedzie teraz pociągiem. Do odjazdu ekspresu miał zaledwie dwadzieścia minut, nie zdążył nawet zadzwonić do Grażyny, poprosił jedynie sekretarkę, żeby zawiadomiła ją, że wróci nazajutrz rano.

Kawa, jaką przyniósł mu kelner-ekwilibrysta, była nadspodziewanie dobra. Olszak popijał ją małymi łydkami, żeby przedłużyć przyjemność, i czuł, jak z każdym łykiem odchodzi od niego senność wywołana obfitym obiadem.

Co ma wspólnego Jean Rombec z Konradem Sielczykiem? Czyżby ten Francuz był człowiekiem w „fikuśnych butach”, które utkwiły w pamięci dozorczyńni pochylonej przy zmywaniu windy? Widziała te buty przed wpół do dziesiątej wieczorem, pociąg przychodzi o 21.07, więc to by się zgadzało. Zresztą związek tych dwóch ludzi nie może ulegać wątpliwości, choćby z racji rezerwowania pokoju w hotelu.

Czyżby ten Francuz przyjeżdżał specjalnie do Sielczyka? A jeśli tak, to dlaczego zanocował w hotelu? Co prawda w kawalerce Sielczyka był tylko jeden dość wąski tapczanik, ale w takich wypadkach polska gościnność nakazuje przyjąć gościa w domu, a samemu przespać się gdzieś na mieście, choćby u Jolanty.

Właśnie Jolanta. Dlaczego nic nie wspomniała o przyjeździe cudzoziemca? Powiedziała tylko, że Sielczyk spojrział na zegarek, zerwał się i wybiegł, zabierając kluczyki od syrenki. Sielczyk był małomówny i skryty — tak go określiła — zamknięty w sobie, ale w końcu odwiedziny cudzoziemca są przecież wydarzeniem w życiu magistra ekonomii dość niecodziennym. Narzeczona powinna coś wiedzieć. Dlaczego więc nie powiedziała?

Wrócił do przedziału — miał tylko dwóch współpasażerów: księżdzę zatopionego w lekturze brewiarza i starszą panią, pochłaniającą postrzępiony kryminał. Poznał charakterystyczną okładkę „Srebrnego Klucza” i pomyślał, że dobrze by, było, gdyby o sprawie, którą musi rozsupłać, mógł kiedyś przeczytać w książce, choć wie, że nie byłaby to ta sama sprawa, bo zamiast niego — Olszaka — występowałby zapewne elegancki detektyw z fajką, który od początku by miał parę teorii, wybrałby najbardziej prawdopodobną, i olśnił czytelnika niespodziewanym zakończeniem. On nie ma żadnych teorii, ma tylko wątpliwości, wokół niego jest właściwie mgła, fakty nie trzymają się kupy, żadnej logicznej konstrukcji dopatrzeć się w nich nie może. W ogóle cała ta sprawa zdaje się rozwijać mimo jego woli, czuje się, jakby ktoś kierował jego poczynaniami, a on był bezwolną marionetką,

pajacykiem, właśnie pajacykiem, w czyichś rękach.

Kiedy badał okoliczności śmierci Sielczyka, nie mu nie mówił szmaciany pajacyk leżący na tapczanie. Był dysonansem w tym wnętrzu, ale skąd miał wiedzieć, że laleczka może mieć jakieś znaczenie? Potem Kozłowski, ten dziwny wypadek na dworcu i adres: „Żołnierska — ósme piętro”. Przypadek sprawił, że chłopak chciał rozmawiać właśnie z nim, a on myślami tkwił na Żołnierskiej, na ósmym piętrze. A potem się okazało, że to wcale nie musiał być adres Sielczyka, tylko na przykład Basi Kralskiej. Ale zamiast wyjaśnienia nowa komplikacja. Kozłowski usypia dziewczynę i wychodzi z jej kluczami. I to akurat w noc morderstwa, bo Olszak nie ma już wątpliwości, że to jest morderstwo. Ten Babula, któremu żal się zrobiło tissota, bo mógłby się roztrzaskać przy upadku z ósmego piętra. Lasociak pomyślał, że tamten bredzi, bo któż wyrzuca zegarki z ósmego piętra. Ale Olszak wie, że zegarek mógł być wyrzucony razem z właścicielem. „Dałem tylko Staszкови klucz” — powiedział Kozłowski. Psiakrew, żebym mógł z niego wyciągnąć więcej. Komu dał te klucze — Babuli? Nie, Babula ma na imię Zenon. Więc komuś, kto ma na imię Staszek i oddał je Babuli. Powiedzmy. Babula wszedł i wyrzucił Konrada Sielczyka przez okno, zdejmując mu uprzednio zegarek z przegubu. Teoretycznie możliwe, Sielczyk był raczej szczupły, mógł ważyć 65-70 kilogramów i dla Babuli fraszką byłoby wyrzucić takiego faceta z balkonu. Ale musiałby potem wyjść, a drzwi były zamknięte, nawet łańcuch był założony. Przez balkon? Przez mieszkanie Kralskiej? Po to ją Kozłowski uśpił?

To się zaczyna trzymać kupy. Gdyby nie jeden drobiazg — list

pożegnalny samobójcy. „Proszę nikogo nie winić”. Nie może być żadnej pomyłki pismo Sielczyka. Żadnych sztuczek, w rodzaju wycięcia jednego zdania z większej całości. Na dużej kartce papieru listowego wyraźne litery. Autor powieści kryminalnej ułatwiłby sobie zadanie pisząc, że Sielczyka ktoś na przykład zahipnotyzował. Olszak nie może sobie pozwolić na taki numer. Nie, dla Kercza takie numery i nie dla Stefaniaka. Oczywiście Sielczyka można by uspić, wtedy wyrzucenie byłoby łatwiejsze, a wykrycie środków usypiających po paru godzinach jest niemal niemożliwe. Zresztą znowu ten list. Napisał list pożegnalny, łyknął środek nasenny i czekał, aż go ktoś wyrzuci przez okno? Nonsens!

Starsza pani z naprzeciwka miała wypieki na twarzy. W pewnym momencie nie wytrzymała i zaczęła kartkować ostatni rozdział książki. Nie wytrzymała, chciała się dowiedzieć, jak to było naprawdę. Olszak także dużo by za to dał. Ale ostatni rozdział w rzeczywistości, w której uczestniczy, nie został jeszcze napisany. Może nigdy nie zostanie napisany. W archiwach policji wszystkich krajów leżą tony nikomu niepotrzebnych akt. To sprawy, których nie rozwikłano do końca. Niekiedy wyjaśnienie przychodzi samo po latach, ale większość z nich na zawsze będzie zagadką. Może i ta, którą prowadzi Olszak, wzbogaci zbiór?

Spróbujmy ugryźć rzecz z drugiej strony. Pajacyki. Ktoś, kto prawdopodobnie z racji swych obowiązków, na przykład pracy w PIH-u, zetknął się z drugą, szczerze przed okiem ciekawskich zasłanianą stroną życia handlowego, zdobył materiały obciążające wielu kupców i kierowników sklepów. Przynajmniej czterdziestu dziewięciu,

bo lista znaleziona w mieszkaniu Machulewicza nie musi być wcale kompletna. Przecież szantażowano, a przynajmniej usiłowano szantażować jubilera Brokata, którego na liście nie znalazł. Drogą szantażu ten ktoś wymuszał okup w postaci miesięcznego haraczu, a pajacyki były swoistym pokwitowaniem. Pajacyki i lista zdają się świadczyć przeciw Machulewiczowi, ale czy ten playboy, uganiający się za dziewczynami i kompletujący big-beat, mógł mieć takie materiały, których ujawnienie postawiłoby w niewygodnej sytuacji prywatnych kupców i kierowników państwowych sklepów? Skąd? Lista sporządzona została na maszynie w pokoju kontrolerów PIH-u. Ślad jest wyraźny, więc któryś z nich. Sielczyk albo Rowak. Każdy z nich wiedział dostatecznie dużo, przynajmniej mógł wiedzieć, aby zebrać materiał przyprawiający kupców o błądy strach. Czyżby nieprzekupny Sielczyk zaczął coś podejrzewać? Skąd u niego ten pajacyk? A Rowak? Te jego tęsknoty za milionem, to żałosne pragnienie użycia. Mówi, że chciałby mieć wielkie pieniądze, a może już je zdobył? Pięćdziesięciu kupców po półtora tysiąca — średnio siedemdziesiąt pięć tysięcy miesięcznie, blisko milion rocznie. Jak długo to trwało? Spawacz płacił od trzech i pół roku, a inni? Trzeba to zbadać.

Rowak działał w konspiracji, miał małą grupkę oddanych sobie ludzi. Może chciał powtórzyć eksperyment, tym razem na własną rękę? Kozłowski mógł być jednym z nich. Ten jego strach przed czymś, to jego nie przekonujące tłumaczenie, że potknął się i wpadł pod nadjeżdżającą akurat lokomotywa, a jednocześnie pragnienie obciążenia się włamaniem, o którym milicja nawet nie wiedziała. Czy po to, żeby skryć się w więzieniu? Czego się bał? Rowak był wtedy na

dworcu. Komu Kozłowski oddał klucze? I znowu dochodzimy do Babuli, do tissota, który mu było żal wyrzucić z okna ósmego piętra, ale te nie wyjaśnia sprawy listu, jaki Sielczyk napisał przed śmiercią.

Chyba się zdrzemnął, bo zobaczył Rowaka, który pochylał się nad nim i szturchał go rozpylaczem szepcząc: — Ja się brzydzę tymi facetami o zbyt czystych rękach. Brzydzę się, rozumie pan?

Musiała upłynąć dobra chwila, nim uświadomił sobie, że to nie Rowak, ale konduktor, który domaga się okazania biletu do kontroli.

— Ale ma pan sen — powiedział z uznaniem. — Dojeżdżamy do Warszawy.

Przed dworcem, jak o to prosił w telefonogramie do Komendy Głównej, czekała milicyjna warszawa. Zażywnego, czterdziestoparoletniego mężczyznę o głowie łysej jak jajko Olszak znał, parę razy zetknęli się w robocie.

— Serwus, stary — powiedział kapitan Biedrzycki. — Pomyślałem, że mogę ci się na coś przydać. Chcesz wziąć na ząb jakiegoś Francuza? — Był repatriantem, dobre parę lat fedrował w Nordzie, jego pomoc mogła okazać się nieoceniona, a Olszak nie miał czasu nawet pomyśleć, że jego francuszczyzna ogranicza się do paru słów wymawianych z fatalnym akcentem.

— Dziękuję — mocno uściśnął dłoń Biedrzyckiego.

— Aż do ciebie jeździł, żeby coś przeskrobać? — zdziwił się. — U nas zachowuje się niezwykle grzecznie. Prawie nie wychodzi z hotelu. Na wszelki wypadek dyskretnie mu się przyglądamy. Nie wiemy, po co ci on potrzebny. Aha, byłbym zapomniał. Przysłali radiotelegram, jakieś nowe fakty, ustalone już po twoim wyjeździe. Jedź do hotelu



„Europejskiego” — powiedział do kierowcy, podając równocześnie Olszakowi zrolowaną kartkę dalekopisu.

Czytał przyświecając sobie kieszonkową latarką:

„Francuz zameldował się około 21.30, zostawił walizkę i potem wyszedł. Wrócił po upływie półtorej godziny, portier odprowadzał go na górę. O północy zadzwonił do recepcji, prosząc o przywołanie lekarza, ponieważ poczuł się źle. Wezwano pogotowie, które przyjechało o godzinie 0.22. Sprawdzono w rozkładzie pracy pogotowia. Rozmawiałem z lekarzem. Prawdopodobnie kolka nerkowa. Był u niego do godziny 1.30. Dał mu zastrzyk uśmierzający ból. O dziewiątej Francuz kazał podać sobie śniadanie do pokoju, zaraz potem opuścił hotel. Nic więcej nie udało się ustalić. Mam Babulę, coś kręci z tym zegarkiem. Twierdzi, że znalazł w tramwaju dwa dni przed wypadkiem na Żołnierskiej. Kozłowski w szpitalu więziennym już oprzytomniał, ale doktor zabronił rozmowy. Kulicz porucznik”. I dopisek pod spodem: „Wysłałam wóz na poranny ekspres. W razie zmian za wiadomcie”.

Dzielny chłop ten Kulicz, nie próżnował przez te kilka godzin. Olszak wie, ile roboty wymaga ustalenie paru faktów, które zmieszczą się na pół strony maszynopisu, a Kuliczowi nie brak przecież własnych, pozasłużbowych kłopotów. Te wrzeszczące bliźniaki, które zostawia w domu z chorą żoną.

Kierowca z fantazją zahamował przed frontonem hotelu.

— Jesteśmy na miejscu. Chodź, brachu, zaraz się przekonamy, czy nie zapomniałem po katańsku.

Wprowadził Olszaka do marmurowego hallu hotelu, zamienił kilka słów z młodym człowiekiem w zamszowej marynarce, z fajką w

zębach, pochylonym nad *New York Timesem*, i wrócił do Olszaka.  
— W porządku, nasz klient jest u siebie.

## 13

Obudził się z potwornym bólem głowy. Za oknem zaczynało świtać. Spojrzał na zegarek — za pół godziny będzie w domu. Wygramolił się z niewygodnego posłania. Nie lubił slipingu, ale nie miał innego wyjścia. Wiedział, że od rana czeka go potworna orka. Właściwie nigdy nie mógł spać w slipingu, ale tym razem mu się udało. Był już nieźle zmęczony podróżą do Warszawy, miary dopełniła kolacja u Biedrzyckich. Kapitan, gdy dowiedział się, że Olszak ma do odjazdu pociągu blisko cztery godziny, zaciągnął go do siebie. Zjedli sutą kolację, nie obeszło się bez paru kieliszków domowej nalewki na smorodinie, w rezultacie znowu omal nie spóźnił się na pociąg, ale za to usnął natychmiast i spał do tej pory, co mu się jeszcze nigdy w slipingu nie zdarzyło. Ubrał się szybko, żeby zdążyć wypić kawę u konduktora, auto z Komendy czekało, jak było umówione.

Do mieszkania wszedł na palcach, ale ostrożność okazała się niepotrzebna, bo Grażyna już nie spała, a snu Janka nie przerwałyby nawet artyleryjska kanonada. Cmoknął żonę w policzek, pogładził po włosach, wypił przygotowaną kawę, wziął tusz i dopiero wtedy właściwie obudził się na dobre. Z przyjemnością stwierdził, że piecyk był naprawiony, widocznie wczoraj żonie udało się dopaść montera. Gójąc się przed lustrem przypominał sobie wczorajszą rozmowę w pokoju

numer 37 warszawskiego hotelu „Europejskiego”.

Francuzik był niewielki, wzrostu mniej więcej Sielczyka, nosił gładko przylizane włosy i wąsik. Właściwie słowo Francuzik jest niezbyt odpowiednie, kapitan Biedrzycki okazał się zbędny, ponieważ *monsieur* Jean Rombec urodził się w Stalowej Woli i nazywał się zwyczajnie Jan Rombek, dopóki jako dziecko nie trafił z rodzicami do Francji. Mówił po polsku całkiem poprawnie, wtrącając tylko niekiedy francuskie zwroty. „Ni to, ni owo — powiedział potem kapitan Biedrzycki — po polsku już prawie zapomniał, a po francusku się jeszcze dobrze nie nauczył. Taki los, brachu — dodał — dzieci emigrantów. Między innymi dlatego zdecydowałem się na powrót do Polski”.

Rombeca zastał Olszak siedzącego w fotelu, był tylko w skarpetkach, co nawet nieco zdziwiło Olszaka, który pamiętając o zeznaniu dozorczyńni, odruchowo spojrzął na nogi Francuza. Po chwili jednak zobaczył buty, o których mówiła dozorczyńni, stały obok tapczanu. Rzeczywiście, fason nie spotykany w Polsce. Olszak przynajmniej takich nie widział. Nic dziwnego, że rzuciły się w oczy dozorczyńni. Z podwójnym szyciem i fantazyjną klamerką, robiły wrażenie mniej-szych, niż muszą być w istocie, jeśli mieści się w nich noga Francuza.

— *Oh, pardon* — uśmiechnął się — zapomniałem rannych pantofli. Czym mogę panom służyć?

Przed chwilą Olszak pokazał mu swoją legitymację. Mile go zaskoczyło, że z Francuzem może się porozumieć bez pośrednictwa tłumacza.

— Pan odwiedził kilka dni temu pewnego człowieka w mieście, w którym pracuję.

— Tak — powiedział. — Byłem u mojego kuzyna, Konrada Sielczyka. Czy coś się stało?

— Konrad Sielczyk zginął tragicznie w nocy z trzeciego na czwartego września. Prowadzę śledztwo w tej sprawie. — Nie chciał temu człowiekowi powiedzieć wszystkiego, pomyślał, że lepiej dawkować informacje. Zaskoczyła go wiadomość, że Francuz jest kuzynem Sielczyka. Teraz, przyjrząwszy mu się uważnie, dostrzegł nawet jakieś podobieństwo do fotografii denata, którą otrzymał nazajutrz po wypadku przy ulicy Żołnierskiej.

— *Oh, terrible!..* To straszne — poprawił się po chwili. — To straszne — powtórzył — chociaż może powinienem był się tego spodziewać.

— Chcę, żeby pan powiedział wszystko, co pan wie.

— To mój brat cioteczny. Korespondowaliśmy ze sobą od kilku lat. Nigdy go przedtem nie widziałem, chyba w dzieciństwie. Ale nie pamiętam. Zobaczyłem go dopiero trzeciego września, tak, to było trzeciego września, w dniu mojego przyjazdu. Umówiliśmy się listownie, że będzie czekał na mnie na dworcu. Był samochodem. Nie wiedziałem, że ma samochód, i zdziwiłem się, ale wyjaśnił, że to samochód jego — zawahał się, jakby szukał słowa — przyszej żony — wybrnął z kłopotu.

— Jak panowie się poznali?

— Przewidzieliśmy tę trudność. Wymieniliśmy zdjęcia. Pan powiedział — zwrócił się do Olszaka — tragicznie zginął. Czy to samobójstwo?

— Pozwoli pan, że najpierw ja zadam panu parę pytań.

— *Bien*, rozumiem. Policja na całym świecie taka sama. Woli pytać niż dawać odpowiedzi. — Uśmiechnął się blade. Wyglądał na zderwanego, choć usiłował się opanować. Wiadomość o śmierci

kuzyna musiała nim wstrząsnąć. Wyciągnął paczkę papierosów, gauloisy — zauważył Olszak. Poczęstował Biedrzyckiego i inspektora, zapalił sam.

— Powiedział pan, że właściwie powinien się pan był tego spodziewać. Czy dobrze zrozumiałem? Narzeczona pana Sielczyka i wszyscy z jego otoczenia, z którymi rozmawialiśmy, byli zaskoczeni tą śmiercią.

— Był bardzo zdenerwowany — zakaszłał nagle i przerwał. Zakrztusił się dymem. — Usiłowałem dowiedzieć się, co go gnębi — ciągnął po chwili. — Myślałem, że mój przyjazd nastąpił nie w porę, czasem to się zdarza, prawda? — Mówił powoli, starannie dobierając słowa, tylko czasami fałszywie postawiony akcent zgrzytnął, jak pociągnięcie metalu po szkłe. — Nic mi nie chciał powiedzieć, ani w samochodzie, ani potem w domu. Dopiero przy kolacji, zupełnie nagle, poprosił mnie, nie, to niedobre słowo, zażądał, żebym mu dał tysiąc dolarów. Byłem zdumiony, nie spodziewałem się tego. Konrad nigdy o nic nie prosił, przeciwnie, przysyłał mi jakieś książki i płyty, a gdy raz, chcąc mu się zrewanżować, posłałem mu jakieś drobiazgi, wie pan, takie koszule z nylonu, które u was są drogie, a u nas tanie, był niemal obrażony. Pisał, że mu się dobrze powodzi, że pracuje, kupił właśnie mieszkanie i jest zadowolony z życia. Dlatego mnie tak zdziwiło jego żądanie. Tysiąc dolarów to pięć tysięcy franków, to fura pieniędzy, prawie samochód, oczywiście tani samochód. Ja nawet dobrze zarabiam i mam kilkanaście tysięcy w banku, ale ta obsesowa propozycja zaskoczyła mnie. Zapytałem, po co mu te pieniądze. Początkowo nie chciał nic mówić, a potem dosyć mętnie wspomniał o jakimś szantażu, że ktoś żąda od niego pieniędzy i jeśli nie zapłaci,

jego kariera będzie skończona.

— Dał mu pan te pieniądze?

— Ależ, *monsieur inspecteur*, któż nosi przy sobie tyle pieniędzy?! Wyjeżdżając do Polski, wykupiłem w biurze podróży kupony „Orbisu” na opłacenie hoteli i restauracji. Miałem oczywiście kilkaset franków i książeczkę czekową na Crédit Lyonnais, ale Konrad nie mógłby w Polsce tego czeku zrealizować. Poradziłem mu, żeby poszedł do policji, do milicji — poprawił się.

— Co on na to?

— Powiedział, że jeśli nie zdobędzie tych pieniędzy, to pozostanie mu tylko samobójstwo. Dlatego zapytałem, czy to było samobójstwo. *Mon Dieu*, gdybym wiedział, że on to zrobi, wydobyłbym te pieniądze, sprowadziłbym je do Polski... Ale wie pan, znajomi ostrzegali mnie przed wyjazdem, że niektórzy nasi rodacy, nie wszyscy oczywiście — zastrzegł się — myślą, że my tam na Zachodzie zbieramy dolary na ulicy. Powiedziałem mu to, uniosłem się trochę, byłem zły na niego, proszę mi wybaczyć, wyjechałem z kraju jako dziecko i zaraz pierwszego dnia pobytu taka historia. Rozstaliśmy się bez pożegnania. Czuję się obrażony. Myślałem, że przyjdzie do hotelu, żeby mnie przeprosić, ale nie zjawił się. Jednak ta historia mnie zmęczyła. Zdenerwowałem się i jak to mi się czasem zdarza, dostałem bólu tu — wskazał dłonią i okolice nerki — zapomniałem, jak to się nazywa, coś podobnego do kolka.

— Kolka nerkowa — wtrącił Olszak.

— Właśnie tak powiedział ten doktor z pogotowia, bardzo uprzejmy człowiek, bardzo życzliwy. Siedział u mnie w pokoju przez kilka godzin.

— Do 1.30.

— Pan to już wie? Ach, rozumiem, czytuję czasem kryminały. U nas jest taki pisarz — Simenon, słyszał pan? Jego bohaterem jest komisarz Maigret. Wyobrażam sobie, że jest podobny do pana, tylko on pali fajkę, przynajmniej na filmach. — Przerwał, jakby sobie coś przypomniał. — Biedny Konrad — rzekł po chwili. — Czy wiecie panowie, dlaczego on to zrobił? Czy znaleźliście tych szantażystów? A może nic nie wiecie o szantażu? Mogę przysiąc, że coś go dręczyło, że tego wieczoru padło słowo szantaż. To naprawdę straszne. — Wstał, podszedł do okna, otworzył je szeroko.

— Wspomniał pan o przyszłej żonie Konrada Sielczyka. Czy mówił panu coś o niej?

— Pisał w listach, że zamierzają się pobrać. Myślałem, że mi ją przedstawi, i tak pewnie by się stało, gdyby nie ta dziwna rozmowa zaraz po przyjeździe. Zamierzałem zatrzymać się tam przynajmniej trzy, cztery dni, a potem dopiero Kraków, Zakopane, Warszawa. Przyjechałem tylko na dziesięć dni, mój szef nie chciał mnie puścić na dłużej. Jestem dyrektorem działu reklamy wielkiej firmy produkującej urządzenia elektroniczne. To bardzo dobra posada, ale człowiek właściwie żyje bez wakacji.

— Więc nie poznał pan Jolanty Kasztel?

— Ona miała na imię Jolanta, tak, przypominam sobie. Już panu mówiłem, że nie wiem nawet, jak wygląda. Szkoda. Konrad mi pisał, że to wspaniała dziewczyna, że się świetnie rozumieją...

— Kiedy pan wraca do Francji?

— Za trzy dni. Wykupiłem bilet powrotny od razu w Paryżu. Ale postanowiłem, że przyjadę znowu do Polski. To piękny kraj, bardzo się

zmienił. Być może moja firma będzie z wami handlować. Szkoda Konrada... Nie mam już nikogo w Polsce.

— Jeszcze raz wróćmy do tej wieczornej rozmowy. Niech pan się skupi, niech pan spróbuje sobie przypomnieć, czy wymienił jakieś nazwisko, a może jakiś szczegół o tym człowieku, który go szantażował? Coś, co mogłoby nam pomóc.

— Spróbuję. On powiedział: „To straszny człowiek, zimny i bezwzględny”. Już wiem! — zerwał się. — Ten człowiek gra w szachy. On powiedział: „Zimny, wyrachowany szachista, który potrafi przewidywać pięć ruchów naprzód”. I przypominam sobie — dodał jeszcze: „Albo on mnie zabije, albo będę musiał popełnić samobójstwo”...

Przed wyjściem poprosił Francuza o jego zapalki. Wyjaśnił, że syn jest filumenistą, zbiera zagraniczne naklejki. Dał bez wahania. Ledwo wyszli z hotelu, Olszak zawinął je starannie w przygotowaną serwetkę. Trzeba będzie zdjąć odciski palców z paczki zapalek i porównać z tamtymi znalezionymi w mieszkaniu. Chociaż facet nie zaprzecza, że tam był, formalności musi stać się zadość.

Olszak skończył się golić, ubierał się właśnie do wyjścia, kiedy za-  
terkotał telefon. Dzwonił Kulicz.

— Szefie, Babula śpiewa!

Rzeczywiście, Babula śpiewał. Kulicz czekał już na szefa w jego gabinecie, protokolant pochylał się nad maszyną. Ale Babula nic sobie z tego nie robił. Siedział nieco rozkraczony na krześle przeznaczonym dla klientów.

— Nic mi nie zrobicie — zachichotał, gdy wchodził Olszak — nic mi nie możecie zrobić.



— Opowiedz jeszcze raz, jak to było, przy panu inspektorze. On też chciałby usłyszeć — powiedział Kulicz. Miał podkrążone oczy, widocznie bliźniaki w nocy dokazywały.

— Mogę opowiedzieć, czemu nie? Nic mi nie zrobicie. Więc on miał klucze i zatrzymał swój samochód przed takim wysokim domem, sami wiecie przed jakim, no nie? Na tym nowym osiedlu. Trudno się połapać, jaka tam ulica. Więc podjechaliśmy tym samochodem, a potem windą do samej góry. On mi dał te klucze, kazał otworzyć drzwi, a przedtem sprawdził, czy mam rękawiczki, i powiedział, że-  
bym niczego nie dotykał. Potem kazał zamknąć te drzwi na łańcuch od środka i klucz przekręcić, no to zrobiłem, a on sam wszedł do sąsiedniego mieszkania, tuż obok, też miał klucze. I zobaczyłem go potem już na balkonie, bo tam był wspólny balkon, tylko ścianka dzieliła. No więc ja przyciągnąłem tego nieboszczyka, tak jak mi kazał, położyłem go na barierze, a potem on mi podał rękę i przelazłem na ten balkon drugi. Bałem się patrzeć w dół — zachichotał — cholernie wysoko. Nogi mnie świerzbią, jak z mostu patrzę. Więc on mi kazał nie patrzeć, tylko trzymać się muru i jego ręki. Jakoś przelazłem. A potem wystarczyło się trochę wychylić, podnieść nieboszczykowi nogi i rymnął głową w dół.

— Nieboszczykowi? — dopiero teraz zapytał Olszak. Już wcześniej zamierzał zadać kilka pytań, ale wiedział, że takiemu jak Babula lepiej nie przerywać.

— A jakże, żywego bym przecież nie wyrzucał. A nieboszczykowi to wszystko jedno.

— A przedtem ściągnąłeś mu zegarek?

— Zgadza się. Pan by wytrzymał? Szkoda mi się zrobiło.  
— Skąd wiedziałeś, że on nie żyje?  
— On mi powiedział.  
— Jaki on?  
— No, mówiłem już, pan Machulewicz, który mnie przywiózł gablotą.

— Ten facet nieboszczykiem został dopiero na dole. Wtedy kiedy zdejmowałeś mu z ręki zegarek, jeszcze żył.

Olszak myślał, że te słowa przestraszą Babulę, że zacznie udowadniać, że on o tym nic nie wiedział, gadać i gęsto się tłumaczyć, albo przeciwnie — zatnie się w milczeniu. Ale nie spodziewał się zupełnie reakcji, jaka nastąpiła. Babula ściągnął brwi, na twarzy jego odbiło się coś w rodzaju myślenia.

— Możliwe — powiedział wreszcie spokojnie. — Ja to zaraz mówiłem, na tym balkonie, jakieś tam obaj siedzieli, a potem w mieszkaniu, gdzie leżała taka ładna pani. Pan Machulewicz nie pozwolił mi jej nawet dotknąć. W ogóle siedzieliśmy cicho jak myszy ze dwie godziny co najmniej.

— Więc powiedziałaś Machulewiczowi, że wydaje ci się, że ten facet żyje?

— Tak jakby dychał — powiedziałem mu. Ale on powiedział, że głupi. Sam wiem, że głupi. I dlatego nic mi nie możecie zrobić.

— Ile dostałeś?

— Pięć, jak było umówione. Jakbym wiedział, że on jeszcze żyje, toby mi musiał dać choć ze dwa patyki.

— Przecież dostałeś pięć — wtrącił Kulicz.

— Pięć setek — wyjaśnił cierpliwie Babula. — Więc mówicie panowie, że on mnie oszukał, że ten facet jeszcze dychał? — Pokręcił

głową z niedowierzaniem. Kręcił nią jeszcze, gdy kapral wyprowadzał go z pokoju Olszaka.

— No i co? — zapytał Kulicz.

— Dobra robota — pochwalił Olszak. — Machulewicza natychmiast zamknąć. Porozmawiaj z nim, jeśli masz siły, zanim wrócę. Potem ja go wezmę w obroty. Kiepsko wyglądasz.

— Ciekaw jestem, jak ty byś wyglądał, gdybyś uprał i uprasował sto dwadzieścia pieluch. Gdyby chociaż urodziła czworaczki, jak ta spod Poznania. Dostalibyśmy pielęgniarkę, a tak, męcz się sam, człowieku.

## 14

W drodze do biura Jolanty Kasztel usiłował uporządkować wrażenia. Czuł, że sprawa zbliża się do końca, że wyjaśnienie brakujących ogniów jest kwestią niedługiego czasu.

Więc tak: ktoś posiadający dostęp do materiałów obciążających wielu tutejszych kupców i kierowników sklepów uspołecznionych postanawia dojść do pieniędzy. Jest to człowiek umiejący kalkulować, szachista, który przewiduje kilka ruchów naprzód. Zna warunki pracy konspiracyjnej, okres okupacji wspomina jako najpiękniejszy w swoim życiu. Postanawia zorganizować gang szantażystów. Wiadomo, że pozyskał Machulewicza, być może miał na niego także jakiś materiał.

Wiadomo także, iż w gangu była jakaś młoda kobieta, brunetka w ciemnych okularach. Olszakowi, nie wiadomo dlaczego, przypomniała się dziewczyna, z którą widział Janka kiedyś na ulicy, odpędził od

siebie ten obraz jako całkiem niedorzeczny. Kolor włosów o niczym nie świadczy, perukę może założyć każda kobieta. Pozostaje głos, który będzie można zidentyfikować po konfrontacji z kupcami. Na razie nie ma z kim kupców konfrontować, jest to zresztą sprawa na później, trzeba będzie długo grzebać, zanim paru z tych panów uda się ulokować na państwowym wikcie. Więc w gangu jest Machulewicz, który prawdopodobnie styka się z autorem pomysłu, dostarcza pajacyki, trzeba wyjaśnić — komu, samemu szefowi czy dziewczynie. I jeszcze jedna wątpliwość: czy zna dziewczynę? Jeśli organizator całej imprezy potrafi rzeczywiście kalkulować bezbłędnie, będzie się starał jak najmniej osób wtajemniczać w swoją rzeczywistą rolę, więc może zna tylko Machulewicza.

Nie, coś mu tu nie gra. Dziś rano dzwonił Lasociak z informacją, która w całkiem nowym świetle stawia zeznania jubilera Brokata. Otóż znalazło się skradzione srebro. Wysłany natychmiast wywiadowca przeprowadził rozmowę z Brokatem. Jubiler kręcił początkowo, potem jednak przyznał, że istotnie — znalazł podrzuconą paczkę pod tylnymi drzwiami do sklepu. Twierdzi, że nie zapłacił gangowi żadnego okupu, skąd więc ta szlachetność? Metoda oddawania skradzionych uprzednio rzeczy została już sprawdzona na Spawaczu, ale domorosłego lorda drogo to kosztowało.

A może — zrodziła się w Olszaku myśl niemal absurdalna — zwrot sreber był zapłatą za przysługę, jaką oddał jubiler denuncjując milicji mechanizm działania gangu? To tłumaczyłoby dziwny strach jubilera, tłumaczyłoby jakieś trudne do nazwania uczucie, które nękało Olszaka

od początku tej sprawy, że ktoś mu towarzyszy w jego usiłowaniach dojścia prawdy, że ktoś mu podsuwa, mniej lub bardziej zręcznie, materiały do rozpracowania gangu. Czyżby konkurencja? A może ktoś z kierownictwa skłócony z szefem? Ktoś mu chce sprzedać gang, ale po co? A może — znów całkiem absurdalne podejrzenie — sam szef prowadzi tę grę? W jakim celu? Czyżby miał coś jeszcze w zanadrzu? Czyżby chciał odwrócić uwagę od czegoś innego? A może bawi go sama gra? Maniak, psychopata, który uwierzył, że mu się uda...

Cóż z tego? To wszystko są domysły, przypuszczenia, cienie poszlak, żadnego dowodu, nie może nawet aresztować Rowaka. Czyżby on zdawał sobie z tego sprawę i postanowił rozegrać grę do końca w ten sposób, by zniszczywszy cały, pracowicie przez siebie skonstruowany mechanizm, samemu pozostać w cieniu? Ale przecież jest Machulewicz, zebrało się przeciw niemu sporo. Jego już można oskarżyć. Przyduszony, powie o szefie, chyba żeby nie znał szefa, i sam też był tylko pionkiem...

Teraz Sielczyk. Rombecowi powiedział o szantażu, a Jolancie nie? Trzeba ją zapytać. Odciski palców z pudełka od zapalek były identyczne z tymi, które znaleziono w mieszkaniu Sielczyka i które kazał zdjąć z niedopałka rzuconego na balkonie. Cóż z tego? Spodziewał się, że tak będzie. Od Francuza dowiedział się jedynie, że Sielczyk bał się szachisty. Coś musiał wywęszyć, taki skrupulat jest niebezpieczny dla otoczenia. Może miał jakieś dowody? Może jego także trzymano w szachu, bo skądże ten pajacyk? Oczywiście sprawa morderstwa pozostaje nadal nie wyjaśniona. No i tego listu, napisanego przez człowieka, który został wyrzucony z balkonu.

Tylko jedno mogłoby wszystko tłumaczyć, gdyby to Sielczyk, a nie Rowak był mózgiem gangu. Wiedział tyle samo co Rowak, mógł zdobyć dość materiału do szantażu. Jego opinia nieposzlakowanego wcale by nie przeszkadzała, przeciwnie — byłby poza podejrzeniami. I pewnego dnia Sielczyk konstatuje, że znudziło mu się życie. Pisze list pożegnalny, zażywa proszek nasenny, przedtem udaje zdenerwowanego wobec Jolanty i jej przyjaciółki, przeprowadza idiotyczną rozmowę ze swoim kuzynem, ponieważ wie, że prędzej czy później wpadniemy na ślad pobytu Rombeca w mieście. Załatwia przedtem z Machulewiczem sprawę wyrzucenia przez okno faceta mieszkającego przy ulicy Żołnierskiej.

Machulewicz nie wie, o jakiego faceta chodzi, jeśli nie zna szefa, to nie może wiedzieć, że szefowi chodzi o wyrzucenie jego samego. Zresztą zabezpiecza się na wszelki wypadek w ten sposób, że każe Machulewiczowi być na sąsiednim balkonie, w mieszkaniu zaś buszuje Babula, który oczywiście nie ma pojęcia, kim jest Sielczyk. Pisze piękny list pożegnalny i po zażyciu proszków nasennych spokojnie czeka, aż Babula przyjdzie i wyrzuci go przez okno. Nie ma co, piękny sposób samobójstwa! A jaka łamigłówka dla milicji! Ale po co? Jest sto innych sposobów odebrania sobie życia. Oto do czego prowadzą teorie — uśmiechnął się do siebie, ale nie mógł się oprzeć wrażeniu, że tylko taka, zupełnie idiotyczna teoria wyjaśniłaby istnienie listu pożegnalnego samobójcy, nie obalając równocześnie potwierdzonej zeznaniami Babuli tezy morderstwa.

Staął przed wieżowcem mieszczącym kilka instytucji. W jednej z nich — wiedział — pracowała Jolanta Kasztel. Niestety, w sekretariacie naczelnego dyrektora, gdzie spodziewał się ją zastać, zobaczył

starszą, tęgą panią, która wprawiała Olszaka w zdumienie szybkością, z jaką uderzała w klawisze maszyny. Gdyby mógł, dałby jej podwójną pensję i natychmiast zaangażował do siebie. Ale wiedział, że to niemożliwe, etat maszynistki wynosi ileś tam złotych i nikt nie jest w mocy przekroczyć określonego pułapu, tak że ma niewielkie szanse skaperowania starszej pani do pracy w Komendzie. Dobięła do końca zdania, spojrzała pytająco na Olszaka, nie odrywając rąk od klawiatury. Wyjaśniła, że panna Kasztel jest chora, ma zwolnienie lekarskie. Już na korytarzu, słysząc stukot jej maszyny, pomyślał, że tylko taka stara maszynistka może jeszcze powiedzieć zwyczajnie, że ktoś jest chory. Jego Jadzia z sekretariatu — gotów byłby się o to założyć — powiedziała, że panna Kasztel jest „na chorobie”.

Nie wyglądała na chorą. Otworzyła mu drzwi, ubrana w powiewny szlafroczek, wcale nie zaskoczona jego wizytą. Zajmowała pokój sublokatorski w dużym przedwojennym mieszkaniu, pustym o tej porze, bo gospodarze byli zapewne w pracy. Zaprosiła go do swego pokoiku, przepraszając za bałagan, rzeczywiście w pokoju panował nieład. Na stole stała walizka wypełniona fatalaskami.

— Przepraszam pana kapitana, ale wyciągałam właśnie zimowe rzeczy z walizek, mamy tylko jedną szafę, więc dwa razy do roku dokonuję takiej operacji.

Olszak przeprosił za najście, o którym nie miał czasu uprzedzić. W tym miejscu skłamał, ponieważ zależało mu na zaskoczeniu Jolanty, nie chciał dać jej czasu na przygotowanie się do tej rozmowy i zdziwiło go, że bynajmniej nie jest zaskoczona. Nie wyglądała, co prawda, na chorą, ale mój Boże, Olszak nie jest inspektorem dyscypliny pracy i rozumie, że młoda kobieta po przejściach, jakie ostatnio miała, może

mieć ochotą na krótki wypoczynek, a domowe porządki są znakomitym relaksem. Ale Jolanta Kasztel nie wyglądała także na przybitą — była spokojna, chłodna, opanowana.

Na maleńkim cepeliowskim biureczku stało zdjęcie Sielczyka, przewiązane skrawkiem czarnej tasiemki. Ten sposób manifestowania żałoby wydał się Olszakowi nieco sztuczny, zabrzmiał jakimś fałszem, ale cóż go to w końcu obchodzi, że Jolanta czci pamięć swego zmarłego narzeczonego. Wziął fotografię oprawioną w szklaną ramkę w rękę, przyjrzał się jej przez chwilę. Zauważył, że fotografia jest podklejona kawałkiem papieru, choć nie była pocięta. Odłożył zdjęcie, rozejrzał się po mieszkaniu.

Na wieszaku wisiał męski kraciasty szlafrok, poniżej duże ranne pantofle. Sielczyk był tu widać zadomowiony.

Dostrzegła jego spojrzenie.

— Nie ruszałam jeszcze niczego, wszystko zostało tak, jakby Konrad miał wejść za chwilę. Chyba będę musiała zmienić mieszkanie. Szkoda, byłam zadowolona z tego pokoju, a pan wie, jak trudno o dobry pokój sublokatorski, w dodatku z telefonem i żeby niezbyt drogi. A dopóki się stąd nie wyprowadzę, nie będę miała siły sprzątnąć jego rzeczy.

— Rozumiem — bąknął Olszak. — To straszne przeżycie. — Przez moment miał nieprzepartą ochotę zapytać ją znienacka, czy używa niekiedy czarnej peruki. Z trudem się powstrzymał. — Pani Jolanto — powiedział — sprawa się komplikuje. Muszę pani zadać kilka pytań.

— Jeśli będę mogła panu w czymś pomóc... Niech mi pan powie prawdę, pan podejrzewa, że to nie było samobójstwo? — A gdy milczał, dodała: — Bałam się tego. Ale jak to możliwe — powiedziała po



chwili — przecież ten list...

— Sam bym to chciał wiedzieć. W pani wozie — przypomina sobie pani zapewne — znalazłem skrawek kwitu bagażowego. Pytałem, czy mogłaby mi pani coś na ten temat powiedzieć.

— Nie mam pojęcia — przerwała mu. — Może Konrad wiózł kogoś.

— Wiem nawet kogo, swego kuzyna z Francji, jeśli dobrze pamiętam, agenta reklamowego jakiejś wielkiej firmy. Ten pan o nazwisku Jean Rombec był w dniu śmierci pani narzeczonego w naszym mieście. Pan Sielczyk czekał na niego na dworcu i pani syrenką przywiózł go do siebie do domu. Dlaczego ukryła to pani przed nami?

Jej oczy wyrażały zdumienie.

— Przyjechał Jean? Właśnie tego dnia? Konrad mi nic nie mówił.

— Ale wiedziała pani, że Sielczyk ma kuzyna we Francji, który zamierza go odwiedzić?

— Wiedziałam o istnieniu Jeana, ale nie miałam pojęcia, że wybiera się do kraju. Wiem, że korespondowali ze sobą, i — zawahała się chwilę — właściwie nic więcej. On był taki skryty.

— Nie znaleźliśmy żadnej korespondencji w mieszkaniu na Żołnierskiej.

— Och, mówiłam panu, był taki pedantyczny, aż do przesady. Nie powinno się właściwie mówić źle o umarłych, ale denerwowała mnie ta jego posunięta do przesady pedanteria. Niszczył wszystkie niepotrzebne papiery, nawet listy ode mnie.

— Powiedziała pani, że się spieszył tego wieczoru, spojrzal na

zegarek, wykrzyknął, że ma tylko dwanaście minut czasu, i wybiegł. Czy naprawdę nie zainteresowało pani, dokąd się tak spieszył?

— Mieliśmy do siebie zaufanie, proszę pana — powiedziała zimno. — Nigdy nie pytaliśmy się o nic. Jeśli jedno z nas miało drugiemu coś do powiedzenia — mówiło. Konrad wiedział, na przykład, że lubię tańczyć. Czasami mówiłam mu, że idę do „Sputnika”. On gardził takim spędzaniem czasu, wołał pracować nad swoją rozprawą doktorską albo czytać jakieś grube dzieła ekonomiczne, z których nie rozumiałam nawet tytułu. Kochaliśmy się i ustaliliśmy, że ponieważ mamy inne zainteresowania, będziemy je wzajemnie szanować. Postanowiliśmy być nowoczesną parą.

— Czy pan Sielczyk skarżył się pani na trudności finansowe? Czy miał ostatnio jakieś kłopoty?

— Zarabialiśmy niewiele, ale oboje nie lubimy rozrzutności. Ja mam ciotkę w Anglii, moją chrzestną matkę, przysyłała mi troszkę ciuchów. Wie pan, lubię się ładnie ubrać. Konrad nie dbał ani o ubranie, ani o jedzenie: Bardzo mało na siebie wydawał. Kiedy kupował mieszkanie, zapytałam, czy nie potrzebuje pieniędzy. Miało to być przecież nasze wspólne mieszkanie, a akurat miałam parę tysięcy odłożonych na wycieczkę zagraniczną. Konrad powiedział, że wszystko już zapłacił, żebym się nie martwiła i jechała na tę wycieczkę, o której marzę.

— I pojechała pani?

— To dopiero piętnastego listopada, za dwa miesiące, ale nie wiem, czy pojedę. Całe życie marzyłam, żeby poznać Włochy, żeby zobaczyć Wenecję, Padwę, Florencję, o teraz — dotknęła chusteczką oka... — Sama nie wiem. Nic mi się nie chce, wszystko straciło dla

mnie sens. Konrad ta był wspaniały człowiek. Nie ma pan pojęcia.

— Więc nie miał trudności finansowych? Niech pani pomyśli, na co mógł potrzebować tysiąca dolarów? Dodajmy — pilnie potrzebować.

— Tysiąc dolarów? Strasznie dużo pieniędzy. Ja dostanę — uśmiechnęła się po raz pierwszy podczas tej rozmowy — dwanaście dolarów kieszonkowego. Nie wiem, naprawdę nie wiem.

— Prosił pana Rombeca o tysiąc dolarów. Mówił o jakimś szantażu. Proszę mi powiedzieć — kobieta powinna to wyczuć, szczególnie kochająca kobieta...

— Był niespokojny, jakiś dziwny ostatnio, to prawda. Czy się bał? Teraz, kiedy mi pan to powiedział, zaczynam myśleć, że się naprawdę bał.

— Nie wspominał o szantażu, że ktoś go szantażuje?

— Nie, to słowo nie padło, ale przypomniało mi się coś. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, mówił o jakimś człowieku ze swego biura. Powiedział wtedy: „Ten zimny łajdak mnie nienawidzi”. Zapytałam, czy mówi o swoim szefie. Zaprzeczył. Nic więcej się wtedy od niego nie dowiedziałam. Wieczorem, kiedy po kolacji położyliśmy się obok siebie, zapytał mnie, czy to nie idiotyczne nosić do pasiastej koszuli białą chusteczkę w kieszonce marynarki. Zdziwiłam się. Nie rozumiałam tego pytania, zresztą i teraz nie wiem, o co Konradowi chodziło. Nie próbowałam go nawet pytać, zbyłam jakimś zdawkowym zwrotem, że jeśli się komuś podoba, to czemu nie, bo wiedziałam, że nic z Konrada się wydobędę, że jeśli zechce, to sam mi to kiedyś wyjaśni. Ale już nigdy mi tego nie wyjaśnił. — Patrzyła przez okno, jakby uciekając od spojrzenia Olszaka.

Wstał, w milczeniu uściśnął jej dłoń.

— Powinna pani jednak pojechać na tę wycieczkę — powiedział w drzwiach. — Trzeba zapomnieć, inaczej nie sposób żyć. — I nie wiadomo dlaczego stanęła mu przed oczyma twarz Basi Kralskiej.

## 15

Do następnego dnia, do trzeciej po południu nie było żadnej wieści o Machulewiczu — przepadł. Olszak kazał na wszelki wypadek przekazać jego dane i numer samochodu marki lancia wszystkim posterunkom województwa i patrolom lotnym służby drogowej, licząc się z tym, że w razie potrzeby będzie musiał załatwiać rozesłanie przez Komendę Główną listu gończego. Ale okazało się to niepotrzebne, bo Machulewicz zjawiał się niespodziewanie w swoim mieszkaniu, gdzie czekali na niego od wczoraj Kulicz ze swoimi ludźmi. Był zaskoczony aresztowaniem, ale nie przestraszony. Nie miał pojęcia, o co jest podejrzewany. Marysia Kleja musiała nieźle zagrać rolę prowincjonalnej gąski, jeśli Machulewicz niczego nie spostrzegł.

Jej charakterystyka była całkiem traźna, skonstatował Olszak, gdy przyprowadzono mu Machulewicza. Posadził go na tym samym krześle, na którym wczoraj siedział Babula.

— Nie rozumiem, panie kapitanie, czego ode mnie chcecie. Firmę prowadzę porządnie. Moje przedsiębiorstwo przynosi państwu dewizy, zawarłem znowu kontrakt na produkcję eksportową.

— Czy będzie pan sprzedawał pajacyki? — zapytał z niewinną miną Olszak, kładąc przed nim szmacianą laleczkę. — To pan produkuje, prawda?

— Tak — przyjrzał się pajacykowi — produkowałem. Rok temu skończyłem produkcję wobec braku zbytu. Pozostało mi jeszcze kilkaset sztuk nie sprzedanych. No cóż, ryzyko handlowe — uśmiechnął się swobodnie. — Tajemnice gustu publiczności, jednego dnia pajacyki idą jak woda, drugiego nikt nie chce na nie patrzeć. Niestety, Wydział Finansowy nie potrafi zrozumieć trudności, jakie spotyka prywatny przedsiębiorca, i ryzyka, jakie ponosi, oraz tego, że to ryzyko musi być wkalkulowane w cenę.

— To ryzyko musiało być wielkie — powiedział Olszak — sądząc z ceny, jaką wyznaczył pan za to szmaciane brzydactwo.

— Nie rozumiem, o czym pan mówi — roześmiał się. — Cena hurtowa pajacyka, zatwierdzona przez Komisję Cen, wynosiła dziewięćnaście złotych, jeśli dobrze pamiętam. Przy zakupie ponad pięćset sztuk udzielałem ponadto pięcioprocentowego rabatu. Niestety, tylko raz miałem tę przyjemność: sprzedałem jednorazowo dwa tysiące sztuk, myślałem, że pajacyki pójdą dobrze, ale potem okazało się, że to pomyłka.

— Komu pan sprzedał te dwa tysiące?

— Ach, panowie o tym. Męczył mnie już o to PIH i Wydział Finansowy. Zjawiała się u mnie kiedyś młoda kobieta, która powiedziała, że pragnęłaby nabyć dwa tysiące pajacyków. Oczywiście nie miałem tyle na składzie, podpisaliśmy umowę, a ściśle mówiąc, zawarliśmy, ponieważ unikam zbędnych formalności, które nas tak denerwują w handlu uspołecznionym. I rzeczywiście ta pani przyjechała za tydzień,

wypłaciła rai należność minus rabat, zabrała pajacyki i tyle ją widziałem. Zaginęła mi gdzieś kopia rachunku, więc po paru tygodniach napisałem pod adresem, jaki mi pozostawiła: Warszawa, pawilony przy Marchlewskiego numer 49. Ale otrzymałem odpowiedź, że adresata nie można odszukać. Zdziwiło mnie to bardzo i przy najbliższej bytności w Warszawie poszedłem do Stołecznego Wydziału Handlu, gdzie mi jednakże oświadczone, że nikt o nazwisku, jakie podała mi ta pani, nie prowadzi w Warszawie sklepu. No i oczywiście nie miałem kopii rachunku, co wścibskiemu inspektorowi Rowakowi z PIH-u wydało się natychmiast mocno podejrzanym.

— A panu nie? — zapytał. — Ktoś kupuje dwa tysiące pajacyków i znika bez śladu?

— Zapłaciła gotówką, panie kapitanie. Zdziwiło mnie to troszeczkę, ale pomyślałem, że może ma na przykład dwa tysiące dzieci — uśmiechnął się swobodnie, zadowolony ze swego dowcipu.

Zachowuje się tak — pomyślał Olszak — jakby oczekiwał moich pytań i miał na nie przygotowane odpowiedzi.

— Ta pani to brunetka w ciemnych słonecznych okularach, nieprawdaż?

— Oczywiście — odparł machinalnie.

— Dlaczego oczywiście? — zaatakował Olszak.

— Osoba znikająca po nabyciu dwóch tysięcy pajacyków powinna wyglądać tajemniczo, nieprawdaż? Pan inspektor świetnie ją sobie wyobraził.

Drwił w żywe oczy. Olszak miał tego dość. — Dajcie go — warknął w słuchawkę. Ale Machulewicz nie zmieszał się wejściem Babuli.

— To ten? — zapytał Olszak.

— A jakże — potwierdził spokojnie Babula. — Jaki miał być? Powiedziałem, że pan Machulewicz.

Wskazał gestem, żeby wyprowadzili Babulę.

— Zna pan tego człowieka?

— Tego debila? Owszem. Zatrudniam go czasem dorywczo w magazynie, kiedy potrzeba przenieść coś ciężkiego. Silna bestia.

— Dlatego pan go wynajął do wyrzucenia przez okno Sielczyka?

Poruszył się niespokojnie.

— Co pan robił w nocy z trzeciego na czwarty września?

— Nie pamiętam. A pan pamięta?

— Tak — powiedział Olszak. — Oglądałem ciało faceta, który wyskoczył z okna, to znaczy myślałem, że wyskoczył, a został wyrzucony przez Babulę, któremu zapłacił pan pięćset złotych, a potem pomógł przedostać się z balkonu Sielczyka na balkon sąsiedni, należący do mieszkania państwa Kralskich. Pani Barbary Kralskiej — poprawił się nie wiadomo dlaczego.

— Proszę pana — Machulewicz pochylił się w jego stronę — wydawało mi się, że wyrośliśmy już z okresu, w którym porządnemu człowiekowi można było zarzucić cokolwiek, a on musisi udowodnić swoją niewinność. Na tak poważne oskarżenie mogę powiedzieć jedynie, że gotów jestem panu przyprowadzić trzech moich znajomych, z którymi spędziłem noc z trzeciego na czwarty września. Graliśmy w brydża, piliśmy wódkę, w razie potrzeby przysięgną, że nie wychodziłem z domu. Co pan na to? Co pan przedstawi sądowi? Zeznania takiego debila, którego niepoczytalność stwierdzono wielokrotnie i któremu można zasugerować wszystko.

— Postaram się — odpowiedział spokojnie Olszak — spowodować aresztowanie pańskich przyjaciół pod zarzutem krzywoprzysięstwa i udowodnić im to. Przedstawię sądowi zeznania Wojciecha Kozłowskiego vel Tadka, który stwierdził, że panu wręczył klucze skradzione Barbarze Kralskiej, a także zeznanie sąsiadki zmarłego — zabluffował — która widziała pana wchodzącego do mieszkania Barbary Kralskiej około pierwszej w nocy.

Machulewicz sięgnął po papierosa z paczki leżącej przed Olszakiem. Kapitan podsunął mu zapalki, poczekał, aż tamten przypali.

— W porządku — powiedział spokojnie Machulewicz. — Życ krótko, ale intensywnie — to moja dewiza. Co pan chce wiedzieć? Wiem, że szczerze przyznanie się zostanie wzięte pod uwagę przez sąd. Jestem prawnikiem, co prawda bez magisterium.

— Dlaczego pan to zrobił?

— Dostałem rozkaz. Sielczyk był martwy. Chodziło o upozorowanie samobójstwa.

— Był tylko uśpiony, to było morderstwo. A pan w nim współdziałał. Kto panu wydał rozkaz? Czyich rozkazów pan słucha?

— Człowieka, który miał mnie w rękę, który mógł mnie... mniejsza zresztą o to.

— Mógł pana posadzić na parę lat do więzienia, co zresztą pana nie minie. Współdziałał w morderstwie to nie przelewki, a życie w więzieniu wcale nie jest krótkie i bynajmniej nie intensywne.

— Mogę przysiąc, że nie wiedziałem, myślałem, że nie żyje. Tak mi powiedział... — zawahał się.

— Szef — dokończył Olszak. — Kto to jest?

— Nie wiem. Nigdy go nie widziałem.



— Rozkazy wydawał panu przez telefon? — zapytał ironicznie Olszak.

— Niekiedy tak, ale zwykle spotykaliśmy się.

— Więc musiał go pan widzieć?

— Nie, nigdy. To było zorganizowane w ten sposób, że w umówiony dzień o umówionej godzinie zatrzymywałem się na dwudziestym kilometrze szosy warszawskiej, zawsze z wygaszonymi światłami. Czekałem kilka minut, potem zjawiał się on, otwierał drzwiczki i siadał na tylnym siedzeniu za mną. Nie wolno mi się było odwracać. Wsteczne lusterko musiałem przedtem zawiązywać chusteczką i wtedy wszystko ustalaliśmy, to znaczy on dawał mi polecenia i wypłacał pieniądze.

— Dużo?

— Dziesięć tysięcy miesięcznie.

— Jakie to były polecenia?

— Nastraszyć jakiegoś kupca, zorganizować włamanie. Miałem grupkę chłopczków, takich jak Kozłowski.

— A co pan robił ze skradzionymi rzeczami?

— Oddawałem szefowi.

— Kiedy pan otrzymał rozkaz zamordowania Sielczyka?

— Nie zamordowania — żachnął się. — Miałem zorganizować wyrzucenie przez okno trupa. Nigdy bym się nie zdecydował, gdybym wiedział... — Urwał, jakby uświadomił sobie nagle, że zdecydowałby się na wszystko, ponieważ tamten miał go w ręku. — W zeszlą środę — powiedział po chwili.

— Tydzień temu — skonstatował Olszak. — Miał pan niewiele czasu na przygotowania. Także na szosie warszawskiej, w ciemnym samochodzie?

— Tam spotykaliśmy się zawsze, co tydzień. To znaczy, szef niekiedy

się nie zjawiał, ale ja musiałem zawsze o 22.30 czekać na niego. Raz zjawił się dopiero po miesiącu.

Olszak spojrział na zegarek. Była dopiero piąta. Zostało trochę czasu. Dziś jest środa. Oczywiście, może się nie zjawi, ale istnieje cię szansa, że przyjedzie.

— Pańskie kluczyki od wozu. Pożyczymy go dzisiaj od pana. Mam nadzieję, że nie ma pan nic przeciwko temu? Pomoc w ujęciu przestępcy może być także wzięta pod uwagę przez sąd.

— Wiem — powiedział Machulewicz. — Kluczyki są razem ze wszystkimi rzeczami, które mi zabrano przy aresztowaniu.

Olszak zdążył się jeszcze zdrzemnąć przed akcją, ale to nie poprawiło mu nastroju. Właściwie to już tylko formalność. Olszak wie, kto na niego będzie czekał na dwudziestym kilometrze szosy warszawskiej, ale coś nie pozwalało mu się cieszyć. Może za łatwe to wszystko? Zbyt natrętnie pcha mu się w ręce rozwiązanie. Będzie miał nieuchwytnego szefa gangu, który sterroryzował środowisko kupieckie w tym mieście, człowieka, który wydał rozkaz zamordowania Sielczyka. Podczas dalszego przesłuchania Machulewicz zeznał, że Sielczyka znał tylko ze słyszenia, że nie miał żadnych powodów, aby życzyć mu czegoś złego. Wykonywał tylko rozkaz. Rozkaz człowieka o mózgu szachisty. Złapanie tego człowieka nie wyjaśni zagadki samobójczego listu Sielczyka, który przecież nie był samobójcą. I to jeszcze niepokoi Olszaka. Jak ciernie tkwią mu w mózgu jakieś spostrzeżenia, strzępki dialogów, których nigdzie nie może przykleić, a jednak go niepokoją. Dlaczego ten Francuz siedział tylko w skarpetkach? Bzdura — jestem

przepracowany — powiedział sobie schodząc ze schodów. Przed domem, jak było umówione, stała lancia Machulewicza, w zaparkowanej obok czarnej wóldze dostrzegł Kulicza. Kiwnął mu ręką.

Z przyjemnością zagłębił się w miękkim fotelu samochodu. Ledwie dotknął pedału gazu, wóz skoczył naprzód. Olszak aż drgnął. Rzadko prowadził, a kiedy już zasiadał za kierownicą samochodu, była to najczęściej sfatygowana milicyjna warszawa, która startem przypominała trucht cielnej krowy. Ale po chwili czułość maszyny zaczęła mu sprawiać, przyjemność. Dobrze, że nie widzi go teraz żona, która marzy o samochodzie. Ledwie wyskoczył za rogatki, pozwolił sobie na mocniejsze dociśnięcie pedału. Samochód sunął cicho, jednostajny szum opon usypiał, długie światła rozgarniały ciemność. Rzucił okiem na licznik i przeraził się — sto czterdzieści. Myślał, że jedzie najwyżej osiemdziesiątką. Choćby żył sto lat, nigdy nie będzie miał takiego wozu. A miał go Machulewicz. Jedyną pociechą jest to, że Machulewicz pójdzie teraz na kilkuletni odpoczynek, a on będzie się cieszył wolnością. Jednak kupimy tę syrenkę — zdecydował i zwolnił. Tu gdzieś powinien być ten dwudziesty kilometr. Zawrócił, Machulewicz stał zawsze po prawej stronie szosy, zwrócony przodem ku miastu. Zgasił światło i spojrzął na zegarek. Jeszcze dziesięć minut. Wiedział, że opodał za zakrętem skryła się w krzakach wołga z Kuliczem. W pobliskich zaroślach leżą przyczajeni jego ludzie. Czy będą czekali na próżno, czy facet się zjawi? Po co mu były te pieniądze? Wtedy w „Sputniku” mówił, że marzy o milionie, że mógłby wówczas podjeżdżać własnym samochodem i zabierać z lokalu dziewczyny bez pryszczy. A może pasjonowała go gra?

Przełożył rewolwer do kieszeni marynarki. Jeśli facet wpadnie w panikę, gotów będzie na wszystko. Machulewicz zeznał, że podczas rozmowy z szefem czuł na plecach nacisk twardego przedmiotu. Więc facet ma broń.

Najbardziej by się ucieszył, gdyby człowiekiem, który wsiądzie do samochodu, nie okazał się starszy kontroler Państwowej Inspekcji Handlowej Tadeusz Rowak, bo w jakiś sposób polubił tego faceta, ale tak wiele zebrało się przeciwko niemu. Żadnych dowodów, same poszlaki, ale tyle ich, że to przecież nie może być przypadek. Tylko dlaczego wszystko odbywa się tak bez zgrzytów? Wystarczyło przecież zabrać z mieszkania Sielczyka szmacianego pa jacy ka, a wtedy sam diabeł nie wpadłby na powiązanie tej śmierci ze sprawą gangu, o którym w momencie śmierci Sielczyka milicja nic nie wiedziała. Miałem szczęście — pomyślał — ale to pozornie racjonalistyczne wyjaśnienie bynajmniej go nie uspokoiło. Spojrzał na zegarek, brakowało trzech minut.

Dobrze — kontynuował rozmyślenia — chciał mieć pieniądze, chciał zakosztować życia takiego jak Machulewicz, chociaż to zupełnie inny typ, bo Machulewicz cieszył się swoim życiem, jest za głupi, żeby się nim nie cieszyć, wystarczyło mu w zupełności. Ale przecież Rowak jest inteligentny, na swoje mizerne sukcesy potrafi patrzeć autoironicznie. Musiał wiedzieć, że wywożenie ze „Sputnika” najładniejszych nawet dziewcząt nie da mu tego, czego pragnie. Zresztą pieniądze. Gdyby zarabiający 2.800 złotych starszy kontroler Rowak zaczął robić się po mieście samochodem, wkrótce przestałby być pracownikiem PIH-u, a pewnie także wolnym człowiekiem. W Polsce trzeba

udowodnić, skąd się ma pieniądze, nie wystarczy je mieć. Rowak nie odmawia zapewne drobnych przysług kupcom, może przymyka niekiedy jedno oko na jakieś uchybienia. Tak, na to Olszak by się zgodził, to by do niego pasowało. Ta kolacyjka w towarzystwie Spawacza mogłaby to potwierdzić, ale miliony? Trzeba nie mieć wyobraźni, żeby serio pragnąć milionów. Jeden człowiek by mu pasował do tego obrazu, ale on nie żyje — został wyrzucony z ósmego piętra i właściwie dotąd Olszak nie wie dlaczego. A może — błysnęło mu nagle — chciał z tymi pieniędzmi prysnąć za granicę?

Od dłuższego czasu — przypomniał sobie Olszak — notowano na czarnej giełdzie wzmożony run na dolary. Ktoś skupywał wyłącznie duże odcinki, najmniej pięćdziesiąt dolarów. Wydział zajmujący się przestępczością gospodarczą nie zdołał ustalić, kogo tak interesowały dolary. W każdym razie Olszak pamięta, że hossa skończyła się jakieś dwa tygodnie temu, przedtem cena dolarów na czarnym rynku była najwyższa w Polsce. Dwa tygodnie temu — uświadomił sobie — a więc niedługo przed śmiercią Sielczyka. Za granicę — usłyszał dobrze mu znany sygnał wewnętrznego alarmu — któż to mówił mi ostatnio o wyjeździe za granicę? Aha, Jolanta Kasztel, która marzyła o wycieczce do Włoch, a teraz jej przeszło. Dlaczego uśmiechnęła się ironicznie, kiedy wspomniała o tych dwunastu dolarach kieszonkowego? Polacy, którzy nie byli na Zachodzie, na ogół wyobrażają sobie, że dwanaście dolarów odpowiada przynajmniej wartością złotówkom, jakie trzeba zapłacić za nie na czarnej giełdzie. Znów zobaczył jej pokój, szlafrok i duże ranne pantofle, których — jak twierdziła — nie ma siły sprzątać. Co go w tym wszystkim niepokoi?

Fosforyzujące wskazówki zegarka wskazywały siedem minut po godzinie ósmej. Jeśli nie zjawi się w ciągu trzech minut, będzie mógł odjechać. Machulewicz zeznał, że czekał zwykle tylko dziesięć minut. Szef nigdy nie zjawiał się później. Więc nie zjawi się już dzisiaj. Czy trzeba będzie w następną środę powtórzyć eksperyment? A może przejrzał już Olszaka i postanowił zagrać mu na nosie?

Włączył światła i już miał przekręcać kluczyk stacyjki, kiedy usłyszał szelest kroków biegnącego człowieka. Zgasił światło i czekał. Zaskoczyło go, że człowiek otworzył przednie drzwi zamiast tylnych, usiadł na siedzeniu. Ciężko oddychał, jakby nie mógł wydobyć słowa. Olszak zapalił światło. Dostrzegł zmrużone oczy Rowaka.

— Czy mógłby pan — wykrztusił — podrzucić mnie do miasta? — W pierwszej chwili nie poznał Olszaka.

— Z przyjemnością, panie Rowak — odparł. — Czekałem właśnie na pana. Gra jest skończona.

— To pan, kapitanie? Nie poznałem pana. Zobaczyłem stojący samochód, wołałem, żeby pan nie odjeżdżał. Ta dziwka mnie zostawiła w polu jak psa. Ale ja ją znajdę! Przychodzi do „Sputnika”. Przynajmniej jej nawymyślam.

— Opowie pan to wszystko w Komendzie.

— Już mogę panu opowiedzieć — z trudem łapał oddech. — Najlepsza dziewczyna w „Sputniku”, w dodatku z samochodem. Daje się poderwać, cały wieczór tańczy, potem proponuje, żeby pojechać do jej domku campingowego, i nagle ni z tego, ni z owego wyrzuca człowieka na szosie...

Znów ten idiotyczny alarm. Dlaczego przychodzi mu do głowy możliwość najbardziej absurdalna? — W dodatku, panie kapitanie,

założyłem dziś nowe buty, o numer za małe. Kupiłem, bo podobał mi się fason, pieką mnie okropnie i bałem się, że będę dwadzieścia kilometrów drałował na piechotę. Wie pan, trochę tańczyłem, nogi mi spuchły i gdyby pan kapitan pozwolił, najchętniej bym zdjął pantofle. — Urwał, jakby mu się coś przypomniało. — Przepraszam — powiedział po chwili — pan kapitan mówił, że właśnie na mnie czekał. Czy się przesłyszałem?

Olszak nie odpowiedział. Nacisnął hamulec z taką siłą, że Rowak omal nie uderzył głową o szybę.

— Zapamiętał pan może numer i markę tego samochodu? — zapytał.

— Tak — powiedział Rowak, jeszcze się trzymając tablicy rozdzielczej — to znaczy końcówkę: dziewiętnaście, szara syrenka.

— Idiota! — wycedził przez zęby, a widząc zdumione spojrzenie Rowaka, dodał: — To nie o panu. Dałem się wodzić za nos, a to przecież było takie proste.

— Co? — nie zrozumiał Rowak. Ściągnął właśnie jeden but i masował obolałą nogę.

Olszak nie odpowiedział, nacisnął klakson. Po chwili dostrzegł nadjeżdżającą wołgę. Kulicz biegł w jego stronę.

— Słuchaj — powiedział Olszak — omal nie popełniliśmy cholernego błędu, ale — spojrzął na zegarek — wszystko da się jeszcze uratować, przynajmniej tak sądzę. Zachowywaliśmy się jak te szmaciane pajacyki. Ktoś nami kierował, ale przesolił. Masz, pojedziesz pod ten adres — podał mu kartkę — załatw nakaz rewizji, ale nie musisz niczego szukać. Na małym stoliczku jest fotografia faceta owiązana czarną wstążeczką. Zabierz ją, ona jest podklejona. Tam powinien być

jakiś napis. Daj do laboratorium, postaw ich wszystkich na baczność, muszą odczytać mi ten napis, nawet jeśli jest zamazany czy wywabiony. To bardzo ważne. Zawiadom Warszawę, żeby przygotowali mi grupę operacyjną. Najlepiej, jeśli uda ci się złapać Biedrzyckiego. Ja pojedę wozem Machulewicza, będzie najszybciej. Zawiadom lotną, żeby mnie konwojowali aż do Warszawy, na wypadek gdyby mi wóz nawalił. Muszę być przed świtem, rozumiesz?

Kulicz skinął głową, odwrócił się i pobiegł w kierunku wołgi. Olszak przekręcił kluczyk, zawrócił i niemal w tej samej chwili miał na liczniku osiemdziesiątkę.

— Co pan robi? Dokąd pan mnie wiezie? — zapytał Rowak. Nic z tego nie rozumiał.

— Jak to dobrze, że pan kupił za małe buty — powiedział Olszak i wcisnął pedał głębiej. Nie patrząc na zdziwioną minę Rowaka, dodał: — Zdaje się, że zobaczymy te szachy, które tak się panu podobały.

## 16

Na lotnisku czekał już Biedrzycki ze swymi ludźmi. Przekazał Olszakowi radiogram od Kulicza. Tak jak przypuszczał, na zdjęciu była dedykacja. Kulicz donosił także, że Kozłowski zwierzył się pielęgniarce w szpitalu, kto go zepchnął na szyny. Teraz się wszystko zgadzało.

— Zaraz nadjedzie autokar. Na wszelki wypadek jedzie nim mój człowiek.

— Traci czas niepotrzebnie — powiedział Olszak. Dostrzegł właśnie szarą syrenkę, która ustawiała się na parkingu przed dworcem



zagranicznym. Prawie równocześnie nadjechał autokar „Lotu”. Zachrypiął głośnik informatorki:

— Pasażerowie odlatujący do Berlina i Paryża proszeni są o wejście do hali celem załatwienia formalności paszportowych i celnych...

Potem to samo po angielsku i francusku.

— Zauważyłeś — uśmiechnął się sarkastycznie Biedrzycki — po angielskim i francuskim komunikacie mówią *thank you* i *merci*. Tylko krajowcom nie dziękują.

Olszak kiwał głową, choć naprawdę niczego nie zauważył. Zajęty był obserwowaniem pary wysiadającej z syrenki. Weszli na salę wtopieni w tłum podróżnych, którzy wysypali się z autokaru. Olszak mógł ich teraz obserwować z bliska. Siedział za zasłoniętym muślinową firanką okienkiem informatorki.

— Chyba na mnie czas — powiedział. — Twój ludzie są na miejscu?

Biedrzycki kiwnął głową.

— Lubisz efekty, ale trudno ci odmówić tej przyjemności.

— Wszystko musi być zgrane: ten komunikat i wyjście tego faceta. Zresztą wszystko będziesz widział.

Podchodził do nich powoli. Rozmawiali półgłosem, właściwie mówiła Jolanta. Zauważył, że ma łzy w oczach. On stał obok niej w milczeniu, poważny i skupiony.

— Cieszę się, że pana widzę, *monsieur* Rombec — powiedział. — O, więc odszukał pan narzeczoną swego kuzyna — udał, że zauważył ją dopiero teraz. Zbladła, natomiast mężczyzna nawet nie drgnął. — Zapomniał pan czegoś — sięgnął do kieszeni.

— Nie przypominam sobie, *monsieur inspecteur*.

Olszak rozwarł dłoń. Szmaciany pajacyk był zmięty i jeszcze brzydszy.

I wtedy rozległ się głos informatorki:

— Pan Konrad Sielczyk proszony jest o zgłoszenie się do okienka informacji. Powtarzam: pan Konrad Sielczyk proszony jest o zgłoszenie się do okienka informacji.

Twarz pokerzysty — pomyślał Olszak. — Facet ani drgnął. Wystarczyło jednak popatrzeć na dziewczynę. Oparła się o balustradę. Nagle krzyknęła. W ich stronę zmierzał, podrygując śmiesznie — przyciasne buty ciągle go uwierały — starszy inspektor Rowak. Teraz i mężczyzna go zauważył. Nim Olszak zdołał się zorientować, rzucił się w stronę drzwi wiodących na płytę. Teraz Olszak mógł przyjrzeć się pracy ludzi Biedrzyckiego. Młody człowiek, oparty o framugę drzwi i półsennie ćmiący papierosa, w jednej chwili stracił ospałość ruchów i skoczył w stronę biegnącego, tragarz, uginający się pod ciężarem walizek, rzucił je pod nogi Sielczyka, który upadł. Olszak zatrzasnął kajdanki.

— Weźcie go — powiedział — i nie zapomnijcie o damie. To dobra para. Ja wypiję tu kawę i wracam do domu, nawet nie zawiadomiłem żony o tej eskapadzie.

— Nic z tego — powiedział Biedrzycki — tak cię nie wypuszczę. Pojedziesz teraz do mnie na śniadanie, dostaniesz dużą kawę i opowiesz mi to wszystko po kolei.

— Mój drogi — reasumował opowieść w parę godzin później, dopijając nie wiadomo którą filiżankę kawy — to było bardzo sprytne i gdyby nie parę przypadków, nigdy byśmy tego nie rozwiązali. Sielczyk byłby już teraz gdzieś w Ameryce Południowej, oczywiście jako Jean Rombec, obywatel francuski. Być może gdzieś we Włoszech spotkałby się z Jolantą Kasztel, która zapewne „wybrałaby wolność”,

choć nie wykluczam możliwości, że zostawiłby ją na lodzie. Takich facetów, jak on, niełatwo bierze uczucie. Tego się zresztą nigdy nie dowiemy, jak by było. Prawdopodobnie, żeby nie wzbudzać niczyich podejrzeń ani nadmiernej ciekawości policji francuskiej, napisałby przedtem list do swego patrona, oczywiście na maszynie, w którym by zrezygnował z dotychczas zajmowanego stanowiska i oświadczył, że jedzie na drugą półkulę, gdzie mu proponują lepsze warunki. Czym ryzykował? Patron pomyślałby najwyżej, że jego dyrektor reklamy zwariował, ale w końcu ludzie popełniają różne głupstwa. Machnąłby ręką. A my nie mielibyśmy nic. Sielczyk popełnił samobójstwo albo w najgorszym razie został zamordowany. Zwracam ci uwagę, że zwłoki zidentyfikowała jedynie Jolanta, innym wystarczył charakterystyczny biały golf. Zresztą ktoś rozpozna twarz człowieka, który uderzył głową o beton wypadając z ósmego piętra, zawadziwszy przedtem o dach szopy? A list pisany był niewątpliwie ręką Sielczyka. Ta sama ręka skreśliła życiorys w PIH-u, wypełniła tam ankietę personalną, napisała parę rozdziałów pracy doktorskiej. Czy można mieć jakieś wątpliwości?

Zacząło się kilka lat temu, dokładnie wykaże to śledztwo, które dopiero teraz zacznie się na dobre. Sielczyk, pracując w Inspekcji Handlowej, mógł czerpać drobne korzyści z ujawniania nadużyć, co prawdopodobnie czynił jego kolega Rowak, któremu jednak nie zamierzam tego udowadniać. Ale Sielczyk nie jest detalistą, jego nie interesują małe zyski, on chce być bogaty, naprawdę bogaty. Prawdopodobnie obrona powoła biegłego psychologa, który będzie udowadniał, jaki wpływ miało sieroctwo i ciężkie dzieciństwo Sielczyka na

jego żądze bogactwa. Mniejsza o to. Cóż z tego jednak, że miałby pieniądze, kiedy w Polsce okropnie trudno je wydać. Nasze szczyty to małowitrazowy samochód i domek gdzieś na przedmieściu. Tego Sielczykowi było za mało. Według moich obliczeń, jeszcze zupełnie dowolnych, zebrał drogą ściągania od kupców haraczu około sześciu milionów złotych. Powiedzmy, że kupował na czarnym rynku dolary, średnio po sto złotych za sztukę, zebrał więc około sześćdziesięciu tysięcy dolarów. Nie jest to co prawda fortuna, myślę, że Sielczyk nie był takim idiotą, żeby wierzyć, że z tym wiele osiągnie. Ale on miał do siebie zaufanie. Udany pomysł masowego szantażu utwierdził go w przekonaniu, że zdolny jest do rzeczy wielkich. Prawdopodobnie chciał z tymi sześćdziesięcioma tysiącami dolarów rzucić się w wir spekulacji. Zresztą nie mam pojęcia, jak on to sobie wyobrażał, miejmy nadzieję, że zechce nam powiedzieć. I oto następuje się okazja. Stęskniony za starą ojczyzną kuzyn odnajduje Sielczyka. A może to Sielczyk odnalazł Rombeca? I tak powstaje pomysł, żeby upozorować własną śmierć, wleźć w skórę Francuza i spróbować szczęścia na szerokim świecie. Mógłbyś zapytać, po co mu było to morderstwo. Przecież mógł wyjechać jako Sielczyk, na przykład na zaproszenie kuzyna. Rombec by mu tego z pewnością nie odmówił. Ale z polskim paszportem daleko by nie zajechał. Uciekinierzy z kraju latami czekają na wize wjazdowe. Poza tym pieniądze. Uciekinier dysponujący taką sumą pieniędzy, coś to za gratka dla tamtejszej policji i kontrwywiadu, mogliby podejrzewać Bóg wie co. Są i dodatkowe korzyści. Rombec ma jakieś konto w banku. Kilkanaście tysięcy franków zaokrągli sumkę posiadanych już pieniędzy i nikogo nie zdziwi w Ekwadorze czy w Peru, że obywatel francuski, Jean Rombec, przyjeżdża, by

inwestować tam kapitały. Ale żeby przybrać skórę Rombeca, trzeba było go najpierw zabić. Tak zrodził się ten plan.

Sprawę ułatwiało rodzinne podobieństwo, o którym Sielczyk wiedział z nadesłanych kilku zdjęć. Jedno z nich stało na biurku Jolanty Kasztel z czarną wstążeczką. Było podklejone. Zdjęcia podkleja się, gdy są połamane lub pocięte. To nie było połamane. Ale do tego wrócimy potem. Teraz tylko dodam, że to zdjęcie Rombeca — jak podał mi w radiogramie Kulicz — ma datę sprzed trzech lat. To bardzo ważny szczegół. Trzy lata temu Rombec nie nosił jeszcze wąsików. Ze zdjęć nadesłanych później Sielczyk wiedział, że Rombec je zapuścił. Mówiłem ci, że mnie cholernie dziwiło, dlaczego nieboszczyk golił się tuż przed samobójstwem. Kto się goli przed samobójstwem? Otóż Sielczyk musiał ogolić Rombeca, zgolić mu wąsiki, po podaniu mu przedtem środka nasennego, ponieważ Sielczyk nie nosił wąsików i łatwo mogliby na to wpaść.

To był plan, a teraz wykonanie. Sielczyk uznał, że forsy ma już dość, i postanowił zwinąć manatki. Wymienia ostatnie pieniądze na dolary, mówiłem ci, że jakieś dwa tygodnie temu skończył się run na miękkie, i czeka na kuzyna. Oczywiście Jolanta jest we wszystko wtajemniczona. W tym celu na ten właśnie wieczór zaprasza koleżankę z prowincji po to, aby ta mogła zeznać, że Sielczyk był tego wieczora jakiś zdenerwowany, że zostawił samochód z kluczykiem na ulicy, i rozpoznać jego zwłoki, oczywiście po swetrze, w jakim go widziała, bo widziała go wtedy pierwszy i jedyny raz. Więc wyjeżdża na dworzec, odbiera kuzyna, ładuje bagaże do auta. W drodze mówi, że niestety nie będzie go mógł przyjąć, bo ma tylko jeden tapczan, ale zarezerwował dziś hotel.

Zatrzymuje się przed hotelem, bierze walizkę Rombeca, prawdopodobnie narzuca także jego płaszcz pod pretekstem, że jest zimno, a on nie wziął swojego, bierze także paszport Francuza, wzruszonego tyłoma uprzejmościami kuzyna, i zmierza ku hotelowi. Zaparkował prawdopodobnie w sporej odległości od hotelu, tak że ma czas stanąć gdzieś w bramie i przykleić sobie przygotowany na tę okoliczność wąsik. Melduje się jako Jean Rombec, zostawia walizkę mówiąc, że wróci później, i biegnie do samochodu. Wąsik oczywiście wędruje do kieszeni. W windzie widzi ich dozorczyńni, dostrzega charakterystyczne buty, które potwierdzają nasze przypuszczenie, że ktoś był u Sielczyka tego wieczoru. Prawdopodobnie wysypuje środek nasenny już do pierwszego kieliszka, pamiętaj, że nie miał zbyt wiele czasu. Musiał po uśpieniu Francuza zamienić się z nim ubraniem, oddać klucze Machulewiczowi lub zostawić je w umówionym miejscu, odstawić wóz Jolanty pod jej dom i wrócić do hotelu, oczywiście jako Jean Rombec. Ponieważ jest pedantem, musi na wypadek, gdybyśmy wpadli na ślad Francuza, dać mu niezbite alibi. Pozoruje więc atak kolki nerkowej i przetrzymuje lekarza, aż do czasu, gdy — zgodnie z ustalonym harmonogramem — będzie już po wszystkim. Pamiętaj, jaką rolę odgrywa tu precyzja czasu. Jolanta musiała przybyć dokładnie w tej samej minucie, w której spadało ciało, ponieważ tylko wtedy nikt nawet ani przez chwałę nie będzie miał wątpliwości co do tożsamości zmarłego. Rozkład jazdy był więc precyzyjny.

— Nie, nie bardzo. Nie przewidział, że Babuli żal się zrobi zegarka, który potłukłby się przy upadku.

— Nie mógł tego przewidzieć. Ale mnie wydawało się podejrzane, że w domu tak pedantycznego człowieka, jakim był Sielczyk, nie ma

ani jednego zegarka. To niezwykle w dzisiejszych czasach. W konsekwencji ten zegarek doprowadził nas do Babuli.

— A szachy? — zapytał Biedrzycki.

— Skontrolujemy jego bagaże, na pewno je tam znajdziemy. Każdy człowiek ma jakiś przedmiot, z którym nie lubi się rozstawać. Jedźmy dalej. Następnego dnia rano Sielczyk, już jako *monsieur* Rombec, odjedzie do Warszawy. Wie, że będzie musiał przeczekać dziesięć dni. Po pierwsze — tamten wykupił powrotny bilet lotniczy, po drugie — nie chce na siebie zwracać uwagi. Przyjechał na dziesięć dni — będzie dziesięć dni. Postanawia zamelinować się w Warszawie. Ale już na dworcu ma pecha. Spotyka Kozłowskiego, który musiał mieć okropnie głupią minę, bo gazeta doniosła o samobójstwie. Kozłowski ma w dodatku pietra, ponieważ ukradł dla Machulewicza klucze od mieszkania sąsiadującego z mieszkaniem samobójcy i nagle widzi go żywego. Sielczyk decyduje się w jednej chwili. Nadjeżdża właśnie pociąg. Wpycha Kozłowskiego pod koła. Nie wie, że Kozłowski będzie miał szczęście i dozna tylko lekkich obrażeń. Nie wie, że ta sprawa naprowadzi nas w końcu na właściwy ślad. Zresztą nie boi się tego.

— Nie boi się? — zdziwił się Biedrzycki.

— Znakomitość tego pomysłu polega na tym, że Sielczyk musi być całkiem niezłym szachistą — potrafi przewidywać posunięcia przeciwnika kilka ruchów naprzód. Ja byłem jego przeciwnikiem, więc zaczął myśleć za mnie. I tu wychodzi sprawa pajacyka.

— Właśnie chciałem cię o to zapytać. Po co zostawiał pajacyka, który musiał naprowadzić na ślad gangu?

— Chciał mnie naprowadzić, chciał mi sprzedać gang. Stworzył

potrójny system zabezpieczeń. Najpierw podarował mi samobójstwo. Jeśli zadowolę się tym kęskiem, wszystko w porządku. Pan Rombec wyjedzie spokojnie. Pamiętaj, że on dziesięć dni musi czekać, musi mnie czymś zająć przez ten czas. Ale powiedzmy, że wersja samobójstwa, wskutek jakiegoś przypadku, wyda mi się nieprawdopodobna. Sielczyk umiał przewidywać i dlatego wiedział, że wszystkiego nie można przewidzieć. Słusznie. Brak zegarka i ślady po niedawnym goleniu niepokoiły mnie od początku, więc dał mi pajacyka jako drugą barierę ochronną. Zeznania Jolanty, że był ostatnio jakiś dziwny, niespodziewana wizyta Brokata, wyjaśniająca natychmiast mechanizm działania gangu — prawdopodobnie do tej wizyty zmusił go telefon Jolanty połączony z jakąś groźbą — plus zeznania jego samego, wcielonego w skórę Rombeca, miały mnie przekonać, że Sielczyk padł ofiarą szantażu. Dzięki przypadkowi na ślad pajacyków trafiliśmy wcześniej, ale dopóki nie zjawiał się Brokat (a pamiętaj, że zjawiał się rzekomo dobrowolnie, choć dygotał wtedy ze strachu), miały nas przekonać, że Sielczyk był ofiarą szantażu. Do tego celu służyło także zainspirowane przez Sielczyka spotkanie Machulewicz z Jolantą, Kozłowskim i Basią Kralską w „Sputniku”, chciał nas naprowadzić na ślad Machulewicz. Przedtem dostarczył mu wiadomą listę sklepów, napisaną na maszynie biurowej, i kilkadziesiąt pajacyków, abyśmy, broń Boże, nie mieli żadnych wątpliwości. Na wypadek jednak, gdyby nas to nie zadowoliło, przygotował dla nas supergratkę — samego szefa gangu. Wiedział, że do tej roli najbardziej predestynowany jest Rowak. Dlatego podczas spotkania w hotelu „Europejskim” wspominał o koledze Sielczyka — szachiście, dlatego Jolanta powiedziała o



tej chusteczce. Dlatego wreszcie wywiozła żalostnego podrywacza dwadzieścia kilometrów za miasto, abyśmy udławili się tym prezentem. Na szczęście Rowaka uciskały buty. Kupił o numer za małe. Wtedy przypomniało mi się, że człowiek leżący na betonie podwórza domu przy ulicy Żołnierskiej miał małe stopy, jeden but spadł mu przy upadku. Przypomniałem sobie także Rombeca w hotelu „Europejskim”, który przyjął nas, jak sobie przypominasz, w skarpetkach. A potem duże ranne pantofle w pokoju Jolanty Kasztel. To były rzeczy Sielczyka. Sielczyk miał nogę o numer większą... Także taki drobiazg — Sielczyk nie palił, nie znosił dymu. Pamiętasz, jak Rombec zakrzuszył się gauloisem? Musiał otworzyć okno — nie mogłem tego faktu do niczego przyczepić. I jeszcze jedno. Ta żalobna wstążeczka na zdjęciu w jej pokoju. U nich wszystko musi być zapięte na ostatni guzik. Mogła się spodziewać mojej wizyty w każdej chwili. Chciała mnie przekonać, że facet na zdjęciu jest właśnie Sielczykiem. Niebezpieczeństwo demaskacji było niewielkie, ponieważ zdjęcia w biurze personalnym PIH-u i w dyplomie Sielczyka pochodziły sprzed dziesięciu lat. Ale nadmierna pedanteria mnie denerwuje. I okazuje się — słusznie. — Spojrzał na zegarek. — Na mnie już czas. Masz jeszcze jakieś wątpliwości?

— Tak — uśmiechnął się szelmowsko. — Ta ładna dziewczyna, o której wspomniałeś na początku, a potem nie wracałeś już do niej. Kralaska czy jakoś tak...

— Tę sprawę załatwi czas. Pozna jakiegoś chłopaka, może bardziej interesującego niż ten jej były mąż, będzie z nim miała dzieci. Najlepiej bliźniaki.